UKRAIŃCY WESZLI DO ROSJI „JAK W MASŁO". DOKĄD DOJDĄ?

JAK ODRÓŻNIĆ KOBIETĘ OD MĘŻCZYZNY? ŁOSIEWICZ DORADZA SZEFOWI MKOI

MINISTERSTWO KLIMATU KONTRA POLSKA GOSPODARKA

SPEŁNIONE PROROCTWO EUROPĘ CZEKA WOJNA DOMOWA?

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
34 (612) 2024
19–25 sierpnia 2024
CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)

TUSK ZNOWU RZĄDZI. I ZNOWU MAMY

ZAMACH NA PREZYDENTA

PRÓBUJĄ ODEBRAĆ DOBRE IMIĘ NAJWIĘKSZEMU MĘŻOWI STANU WOLNEJ POLSKI. PO CO TO WŁADZY?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
Numer w sprzedaży do 26 VIII 2024 r.

prasa.pl b044129411

Mnóstwo do czytania na wakacje!

4 e-booki GRATIS!

WAKACYJNE

HISTORYCZNE

Nieznane opowieści o ludziach i wydarzeniach
nietypowe lekcje historii | 121 stron

Pupile historii. Opowieści o słynnych psach
dla wielbicieli historii i… psów | 128 stron

Smaczne Wakacje. 60 przepisów na całe lato
pyszne dania nie tylko z grilla | 92 strony

Wakacje z przyrodą. Wędrówki blisko natury
pomysły na wakacyjne wyprawy | 112 stron

JAK ZDOBYĆ E-BOOKI NA WAKACJE?

Wystarczy wykupić cyfrową prenumeratę tygodnika Sieci już od 5,90 zł

Zamów na:

siec.wpolityce.pl/oferta

Każdy nowy subskrybent znajdzie e-booki w zakładce Moje wydania/Sieci Extra

eprasa.pl b044129411

Sędzia z serduszkiem Tuska

Sędzia Krzysztof Chmielewski to prawdziwy fan Donalda Tuska, Romana Giertycha i Platformy Obywatelskiej. Od lat kibicuje tej formacji, i to do tego stopnia, że jego zdjęcie profilowe na platformie X (d. Twitter) miało znak serduszka z plakatów PO. Wielokrotnie życzył zwycięstwa obecnemu premierowi i znanemu adwokatowi, którego Platforma wpuściła do Sejmu.

Pan sędzia to także mistrz taktu i słownej wstrzemięźliwości! Premiera Morawieckiego nazwał „psychopatycznym naziolem", strażników granicznych „bandytami", zaś posłowi Marcinowi Romanowskiemu poradził, by ten „zmienił leki". Wszystko to robi publicznie, pod własnym nazwiskiem. Ot, klasyczny przykład przedstawiciela sędziowskiej „kasty".

Szkopuł w tym, że to właśnie sędzia Chmielewski zajął się sprawą aresztu posła Romanowskiego. Nie widział powodu, by się z niej wyłączyć. Więcej! Sędzia Chmielewski wyłączył od orzekania w sprawie Romanowskiego sędziego Przemysława Dziwańskiego, choć inny sąd nie miał wątpliwości, że może on rozpatrywać zażalenie prokuratury na decyzję sądu niższej instancji, który zadecydował, iż nie aresztuje byłego wiceministra sprawiedliwości. Polityczny żołnierz w todze nie przejął się tą decyzją i wyłączył sędziego. Wszystko to bez podstawy prawnej, ot tak, ku chwale partii rządzącej. Decyzja ta pozostanie jednak bez skutków, gdyż ostatecznie sędzia Dziwański będzie dopuszczony do orzekania w powyższej sprawie. Pozostają jednak pytania i wątpliwości.

Akcja sędziego Chmielewskiego to oczywista ustawka polityczna i próba zdobycia medialnego poklasku. Wszystko to kosztem wymiaru sprawiedliwości. Wyobraźmy sobie bowiem, że sędziowie masowo używają zagrania Chmielewskiego i wyłączają się, uznając, że dany sędzia nie jest sędzią lub jest „neosędzią", gdyż został powołany z opinią nowej Krajowej Rady Sądownictwa. Ten problem będzie się jeszcze potęgował.

Nagminnie podważane są też wyroki wydawane przez sędziów powołanych w ostatnich latach. Zawiesza się wykonanie kar dla groźnych przestępców, uchyla postanowienia i decyzje. Wielka w tym zasługa skrajnie upolitycznionych stowarzyszeń sędziowskich, których przedstawiciele oklaskiwali Tuska na spotkaniach wyborczych lub wspólnie z jego politykami pisali ustawy. Cieszą się za to przestępcy różnej maści i ich wysoce opłacani adwokaci, którzy w naturalny sposób wykorzystują skłonność do anarchii niektórych sędziów.

To szaleństwo w pełni akceptują bodnarowcy z Prokuratury Krajowej oraz ich szef Adam Bodnar. To on przez lata nawoływał do sędziowskiego buntu, wspierał go i hołubił. System psuty przez długi czas stał się dzisiaj symbolem rządów koalicji 13 grudnia. Z tym szaleństwem nie walczy już niemal nikt.

Kryzys się pogłębia i prowadzi do wielkiej wojny w sądownictwie, której ofiarami będziemy my – zwykli obywatele. Wnioski o wyłączenia sędziego będą przedłużały każdy proces, prowadziły do jeszcze większej przewlekłości postępowań. Na koniec i tak nikt nie będzie pewny rozstrzygnięcia, skoro wyższa instancja podważy sędziego, który wydał wyrok oraz jego sentencję. Zawsze znajdzie się też jakiś uczynny „Chmielewski", który przekroczy swoje uprawnienia i popisze się przed mediami rządowymi swoim „postanowieniem". To nie jest abstrakcyjna groźba, ale realny problem.

Ta próba wywrócenia państwa z powodów politycznych czy światopoglądowych zamienia salę sądową w teatr, w którym dobro stron nie ma żadnego znaczenia, a dobro państwa jest rozumiane jedynie jako przedmiot rozgrywki, tej najbrudniejszej, politycznej.

W tle tej sądowej opery mydlanej nikną rzeczywiste interesy państwa polskiego. Także te ekonomiczne. Kto będzie chciał zainwestować w Polsce swoje pieniądze, gdy nie będzie miał gwarancji, że niezależny i apolityczny sąd obroni jego kapitał i interesy? Jak ma wyglądać normalne życie polityczne, jeśli sądy będą przykrywały bezprawie upolitycznionej prokuratury? Ilu jeszcze ministrów i księży ma trafić za kraty, by ktoś się zorientował, że politycznie skorumpowane sądownictwo zagraża polskiej racji stanu? Obecna władza nie chce odpowiedzieć na te pytania. Gdy była opozycją, ciężko pracowała na obecną sytuację. W tym bałaganie łatwo bowiem ukryć prawdziwe cele rządu Tuska – anihilację opozycji, zastraszenie całych grup społecznych i zawodowych. Bez właściwej kontroli sądowej, z politykami w togach, Tuskowi będzie się rządziło wygodniej. Tylko Polski szkoda.

Wojciech Biedroń

Autopromocja

Przepraszamy Wojciecha Czuchnowskiego za błędne umieszczenie jego zdjęcia w ilustracji do tekstu „Szpieg Moskwy". Red. Czuchnowski nie publikował artykułów w obronie P. Gonzalesa i w ogóle nie pisał o tej sprawie. Za pomyłkę przepraszamy.

Redakcja tygodnika „Sieci"

eprasa.pl b044129411

SIECI

spis treści

22 Za rządów PO zawsze brakuje pieniędzy
Z Mariuszem Błaszczakiem rozmawia Piotr Gursztyn

36 Klęska olimpijska
Stanisław Janecki

45 Wojna wiceprezydentów
Grzegorz Górny

NA POCZĄTEK

5 **MANDARYNI INTELEKTU**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **KADRA TUSKMENISTANU**
Krzysztof Feusette

9 **ZAMIAST STU KONKRETÓW**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **SIERPIEŃ**
Jan Pietrzak

12 **GRUBA LISTA PĘCZNIEJE W MILCZENIU**
Samuel Pereira

13 **WSPÓLNE DOBRO**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA KRZYSZTOFA ZIEMCA**
Michał Korsun

16 **POGAWĘDKA: ZBIGNIEW RAUBO**
Jolanta Gajda-Zadworna

17 **ZATRUTE IGRZYSKA**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

18 **LUDZIE MOSKWY W WARSZAWIE**
Marek Pyza

KRAJ

22 **ZA RZĄDÓW PO ZAWSZE BRAKUJE PIENIĘDZY**
Z Mariuszem Błaszczakiem rozmawia Piotr Gursztyn

26 **MINISTERSTWO COFANIA W ROZWOJU**
Konrad Kołodziejski

29 **OPERACJA „STO MILIARDÓW"**
Jan Rokita

32 **TWARZ MEDIALNEGO PAŁKARSTWA**
Jakub Augustyn Maciejewski

34 **CHŁOP CZY BABA? TRUDNA SPRAWA**
Dorota Łosiewicz

36 **KLĘSKA OLIMPIJSKA**
Stanisław Janecki

39 **KOMUNISTYCZNE POMNIKI – JAK DŁUGO JESZCZE?**
Stanisław Płużański

ŚWIAT

42 **DRUGA OPERACJA KURSKA**
Marek Budzisz

45 **WOJNA WICEPREZYDENTÓW**
Grzegorz Górny

48 **„CUD" W SALWADORZE**
Małgorzata Wołczyk

50 **BITWA O ALKOHOL**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

52 **KOŚCIÓŁ MA DLA WSZYSTKICH JEZUSA CHRYSTUSA**
Z abp. Adrianem Galbasem rozmawia Piotr Słabek

54 **SPEŁNIONE PROROCTWO ENOCHA POWELLA**
Maciej Walaszczyk

NA WAKACJE

58 **JEŚLI SPUMANTE, TO TYLKO W PROSECCO!**
Piotr Ostrowski

SIECI KULTURY

61 **WRÓBEL I MUMIO**
Jolanta Gajda-Zadworna

64 **UMYSŁ ZAMKNIĘTY**
Robert Tekieli

65 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

66 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

PODRÓŻE

68 **MOJE SZLAKI: RAFAEL STACHOWIAK**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **DEZINFORMACJA – ORĘŻ WOJNY**
Wojciech Reszczyński

71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

72 **SUKCESY NIE BIORA SIĘ ZNIKĄD**
Aleksander Nalaskowski

73 **FATALNE IGRZYSKA**
Ryszard Czarnecki

74 **KOMPROMITACJA DZIŚ NIEMOŻLIWA (PRAWIE)**
Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl b044129411

BRONISŁAW WILDSTEIN

Mandaryni intelektu

Opublikowany w „Deliberatio" tekst Zdzisława Krasnodębskiego „Unia moralizatorska" pozwala zrozumieć nam szaleństwo współczesnej Europy. Jego autor, wybitny filozof i socjolog, którego tak bardzo brakuje nam w polskiej delegacji do PE, jest również twórcą wspomnianego portalu. Tych, którzy chcą zrozumieć naszą nie tylko polityczną rzeczywistość i sięgnąć pod powierzchnię zjawisk oraz obiegowych opinii, zachęcam do zapoznania się z zamieszczonymi tam pozycjami.

„Unia moralizatorska" analizuje wyznawaną przez unijny establishment ideologię postępu, która stanowi jej legitymację do sprawowania władzy, ale wiernym narzuca rygorystyczne normy i determinuje ich postrzeganie świata. Wspólnota w jej ujęciu to w najlepszym wypadku zło konieczne, które winno być zastąpione prawnymi kontraktami. Podejście to nie pozwala np. rozpoznać problemu obcej kulturowo imigracji. Unia ma być zwieńczeniem „moralnego postępu", zakazuje więc brać pod uwagę religijno-kulturowe środowisko człowieka. Zgodnie z tym wyobrażeniem imigrant, trafiając do UE, automatycznie rozpozna wyższość jej ideowego projektu i nawróci się nań.

„Postęp ma się dokonać przez szerzenie uniwersalnego humanitaryzmu, głoszącego godność istoty ludzkiej, prawa człowieka i szacunku dla każdego wyboru. Nie chodzi o to, że ludzie mają dążyć do jakiegoś określonego ideału, do jakiegoś uznanego za doskonały sposobu życia, nie chodzi o wcielanie jakichś konkretnych norm moralnych, lecz na akceptacji różnych sposobów życia i uznania możliwości ich swobodnego wyboru, faktu, że ludzie mogą swobodnie zdecydować, jak żyć".

Tyle że nawet wyobrazić sobie nie sposób społeczeństwa, w którym ludzie egzystowaliby według radykalnie odmiennych moralności i modelów życia, gdyż po prostu nie byłoby to społeczeństwo. Toteż wyznawcy zwycięskiego dziś liberalizmu w imię wolności, pluralizmu i tolerancji dyskryminują i zwalczają swoich przeciwników jako zacofanych populistów czy nacjonalistów.

Zachęcam czytelników do zapoznania się z artykułem Krasnodębskiego, w którym znajdujemy dodatkowo analizę stosunku idei postępu moralnego do chrześcijaństwa. Na jego marginesie chciałbym tylko podzielić się refleksją na temat mentalności rzeczników dzisiejszego establishmentu uznawanych za kontynentalną elitę.

Jeden ze sławnych myślicieli niemieckich młodego pokolenia, Markus Gabriel, którego filozoficzny bestseller punktuje Krasnodębski, pisze tak: „Moralna refleksja stawia sobie za cel uniwersalność i tym samym ponadpartyjną neutralność. Żadna partia nie ma racji zawsze, zwłaszcza w kwestiach moralnych. Natomiast filozofia jest tak samo partyjna jak matematyka, a więc wcale [...]. Z tego powodu potrzebujemy dzisiaj więcej, a nie mniej filozofii w sferze opinii publicznej".

I to z „filozoficznego" punktu widzenia Gabriel nawołuje do rozprawy z populistami, nacjonalistami, a także realizacji agendy klimatycznej.

Należałoby zgodzić się, że moralna refleksja winna być uniwersalna i partyjnie neutralna. Sęk w tym, że rzecznicy liberalizmu tak właśnie przedstawiają swoją ideologicznie i partyjnie zorientowaną postawę, która zastępuje im religię i jest dużo bardziej dogmatyczna. Człowiek religijny ma świadomość przekraczającego go wymiaru rzeczywistości, a więc rozumie ograniczenie swojej perspektywy. Wprawdzie zawsze pojawią się tacy, którzy potraktują wiarę jako narzędzie duchowego i fizycznego panowania, ale będzie to jej redukcja do ideologicznego poziomu, a więc herezja. Natomiast nawet najwięksi racjonaliści spośród chrześcijańskich myślicieli, jak św. Tomasz z Akwinu, zdawali sobie sprawę z ludzkich limitów poznawczych, zatem tajemnicy, w której jesteśmy zanurzeni. Postawą taką bez względu na wyznanie cechować się winni filozofowie. Inaczej stają się ideologami strojącymi się w filozoficzne szatki.

Parę lat temu w Berlinie uczestniczyłem w spotkaniu prawicowych intelektualistów niemieckich z ich polskimi odpowiednikami. Przyjechaliśmy podjąć dialog, ale okazało się, że zostaliśmy zaproszeni na liberalne rekolekcje. Ważnym ich punktem było spotkanie z „filozoficznym ekspertem", który wyjaśniał nam wyższość liberalizmu. Zmęczony ideologiczną agitacją zauważyłem, że liberalizm nie musi zakładać obecnej formy demokracji, gdyż wychodząc z indywidualistycznej antropologii, można być apologetą dyktatury jak Hobbes. Wywołałem szok. Prowadząca Niemka obruszyła się, przypominając, że profesor nie występuje jako uczestnik dyskusji, ale autorytet, który wyjaśnia nam głębszy wymiar naszych sporów. On sam oburzył się, że zaliczyłem Hobbesa do liberałów. Liberalizm jest dobry, a więc nie można kojarzyć go ze zwolennikiem autorytaryzmu.

Ekspert nie był znanym intelektualistą, taki pewnie nie przyjechałby pouczać wschodnich wsteczników, niemniej był uniwersyteckim profesorem. „Wiele wyjaśnia fakt, że tacy uczą dziś w Niemczech filozofii" – pomyślałem.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b044129411

Sygnalista nadaje

Barbara Kurdej-Szatan, która w 2021 r. nazwała obrońców polskich granic „mordercami" i „maszynami bez serca, bez mózgu, bez niczego [...], wykonującymi rozkazy", jest dziś szeroko promowana przez neo-TVP jako prowadząca nowy show. W wywiadach stwierdza, iż chce „łączyć pokolenia" oraz dodaje, że „mimo przerwy w prowadzeniu programów, bardzo dobrze się w tym odnajduje". Jak odnajdują się w tej sytuacji ludzie, obrońcy granicy i ich bliscy, którym celebrytka urządziła piekło swoimi słowami? O tym w wywiadach nie ma mowy. Nic dziwnego, bo show w neo-TVP dla Kurdej-Szatan wielu komentatorów odbiera jako nagrodę za udział w hejcie na obronę granicy, która była jednocześnie hejtem na Prawo i Sprawiedliwość. W sensie politycznym ta akcja niestety opłaciła się organizatorom. Stąd cukierki dla jej uczestników.

I stąd takie materiały, jak ten nadany kilka dni temu przez neo-TVP. Przedstawiono tam pobyt w Polsce nielegalnych migrantów, którzy przedarli się z Białorusi, jako biednych ludzi, mających „nowy dom w Białowieży". „Na studenckiej wizie przedostał się do Moskwy, dalej do Mińska i na granicę z Polską, gdzie tułał się aż dwa miesiące" – słyszymy o jednym z bohaterów materiału Igora Nazaruka. Etiopczyk przeszedł standardową ścieżkę nielegalnych migrantów próbujących przedostać się na Zachód z Białorusi.

W takich sytuacjach pozostaje podziwiać bezwstyd propagandystów i polityków koalicji 13 grudnia. W ub. tygodni szef MSWiA ***Tomasz Siemoniak*** z kamienną miną ogłosił, że oni nigdy nie mieli wątpliwości, iż atak na granicę polską ze strony Białorusi to wojna hybrydowa. Rozumiecie – nigdy! Szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz, oddając hołd poległemu na granicy sierż. Mateuszowi Sitkowi, mówił, iż mundur polski „nie może być przedmiotem nienawiści i pogardy". Przy tym poziomie bezczelności obawiamy się, że wkrótce wyślą Kurdej-Szatan na granicę z serią koncertów mających podnieść morale wojska.

Na szczęście defilada z okazji święta Wojska Polskiego była dość udana. Zapewne dlatego, że (choć w mniejszej skali) po prostu skopiowano to, co przygotowano i pokazano w ub.r. Dzięki presji społecznej kontynuowane są też pewne zakupy zbrojeniowe, jak śmigłowce AH-64, czyli słynne apache. Władza milczy jednak o bardzo ważnym kontrakcie: 500 wyrzutniach Himars, czyli kluczowej sile ognia. W tej sprawie potrzebna jest presja społeczna. Uwagę internautów przykuła też wpadka Platformy Obywatelskiej, która wpis o modernizacji armii zilustrowała transporterem opancerzonym BTR-152. Szkopuł w tym, że to sowiecki sprzęt, który wszedł na wyposażenie w 1950 r. Tacy z nich eksperci. Jeśli już rządzą, niech niczego nie tykają, tylko kontynuują to, co przygotował minister Mariusz Błaszczak.

Minister obrony narodowej ***Władysław Kosiniak-Kamysz*** bardzo się starał przedstawić w tym tygodniu jako silny człowiek o konser-

eprasa.pl b044129411

watywnych wartościach. W kuluarach ocenia się, że zaczyna w ten sposób kampanię prezydencką i próbuje odrobić straty sondażowe. Badania dają bowiem PSL w przypadku samodzielnego startu poniżej 2 proc. Lewicowi eksperci próbują przekonywać, że to z powodu konserwatywnego głosowania w sprawie aborcji. Ale z terenu docierają inne głosy: także w tej części wsi, która dotąd popierała PSL, zaczyna się dostrzegać destrukcyjną dla rozwoju i gospodarki politykę koalicji 13 grudnia. Jest już jasne, że trwa wygaszanie szans na lepsze życie w mniejszych miejscowościach. Jak sugerują nasi rozmówcy, jeśli PSL nie wyjdzie z tego układu, zniknie doszczętnie.

Bo sprawność słowna i erudycja potrafią przykryć wiele, ale nie wszystko. Np. z wywiadu turboliberalnego dominikanina o. Pawła Gużyńskiego dla tygodnika „Polityka", w którym oskarża „Kościół warowny", iż broniąc wiary i świętości przed wulgarnymi atakami, „przede wszystkim się ośmiesza", „reaguje nieadekwatnie", powinniśmy zapamiętać, iż według tego kapłana katolicy powinni zaakceptować bluźnierstwo. Bo „ludzie sacrum bronią się przed profanacją, krzycząc o barbarzyńcach, wyklinając ich i odprawiając modły. Tak jakby Panu Bogu na tym zależało i miało w czymś pomóc". Jasne, w oczach postępowych katolików Bogu nie zależy właściwie na niczym z wyjątkiem kariery w największych mediach. Lepszy Kościół warowny niż tak bezwstydny.

Wstydu nie mają też środowiska medialne, które uwiódł ruski szpieg Paweł Rubcow, występujący w roli hiszpańskiego dziennikarza Pabla Gonzaleza. Pułkownika GRU wykryły i zgarnęły polskie służby pod kierownictwem ministra Mariusza Kamińskiego. Medialny salon urządził wtedy histerię, że łamie się wolność prasy i naraża Polskę na śmieszność. Dziś czytamy w „Rzeczpospolitej": „Czy agent GRU inwigilował środowisko polskich mediów? Jego partnerka, polska dziennikarka, z zarzutem pomocnictwa w szpiegostwie". Dodajmy, że ta partnerka puszczała tezy o panującym w Polsce reżimie na cały świat. „Fakt" martwi się z kolei, że „rosyjski szpieg wkradł się w łaski dziennikarki", a ona „otworzyła mu drzwi do wielu środowisk w naszym kraju". Najważniejsze z tego wszystkiego: antypisowskie kampanie były organizowane i przez Niemców, i przez Rosjan. Dziś możemy być dumni, że od początku wszyscy to rozumieliśmy.

W sprawie jest wiele wątków, ale jeden rozwojowy o potencjalnie potężnej sile politycznej. Otóż Magdalena Chodownik, bo

tak nazywa się była partnerka Rubcowa *vel* Gonzaleza, była obecna w głównej siedzibie TVP w trakcie nielegalnego przejmowania mediów publicznych przez rząd Donalda Tuska. W mediach społecznościowych pojawiło się nagranie, w którym widać ją i operatora, z którym wówczas pracowała. To nie koniec. Były dziennikarz TVN, który na chwilę zatrudnił się w neo-TVP, zasugerował na portalu X (d. Twitter), że Chodownik była zaangażowana w tzw. grupę wejście, która przygotowywała siłowe przejęcie mediów publicznych. „Właśnie dlatego walczę o wyjaśnienie, kto stał za »grupą wejście«. Magda z nami była. Tyle. Ja wyszedłem" – napisał Tomasz Marzec. Wpis usunął, ale wiedza pozostała. To była bandycka operacja, za którą uczestniczący w niej prędzej czy później odpowiedzą karnie.

Na razie Niemcy chcą, by karnie odpowiedział Ukrainiec podejrzewany o wysadzenie gazociągu Nord Stream. To nam dużo mówi o intencjach Berlina wobec Moskwy. Co tam zbrodnie moskiewskie, co tam mordy, gwałty, zniszczenia i cierpienie milionów – najważniejsza niemiecka własność i możliwości ponownego tuczenia Władimira Putina za tańszy gaz. Co ciekawe były szef niemieckiej BND (Federalnej Służby Wywiadowczej) stwierdził, że współwinny ma być również Andrzej Duda, który miał zawrzeć porozumienie z prezydentem Ukrainy. I zaatakował Polskę żądaniem odszkodowania. Taki to „sojusz", takie „wsparcie" walczącej Ukrainy. A ludziom, kimkolwiek są, którzy wywalili w powietrze niemiecko-rosyjską rurę, trzeba dać ordery i medale!

Sportowych medali na igrzyskach olimpijskich w Paryżu zdobyliśmy mało, ale władza ma już winnego. Minister sportu ***Sławomir Nitras*** wystąpił na konferencji prasowej w Dusznikach-Zdroju, gdzie opowiadał o działaniach związków sportowych w kontekście igrzysk w Paryżu. „Działacze w Paryżu mieszkali w hotelach, gdzie za jedną noc trzeba zapłacić ponad 4 tys. zł, a np. lekarz polskich siatkarzy w domu pielgrzyma, gdzie noc kosztuje 48 euro" – oskarżał. Związki mają swoje za uszami, ale jest tam też wielu ludzi ciężko i dobrze pracujących na rzecz swoich dyscyplin oraz szkolenia. Wrzucanie wszystkich do jednego worka jest nieuprawnione. W tej wojence chodzi oczywiście nie o zawodników, ale o kolejny łup polityczny. Nie wróżymy sukcesu, ale widzimy w tym kolejny przejaw pychy tej władzy. Uważają, że mogą dopaść i wsadzić każdego, z kim im nie po drodze. Bardzo się mylą.

Fot. Andrzej Skwarczyński, M. Czutko, Julita Szewczyk, Mateusz Zelnik

eprasa.pl b044129411

Kadra Tuskmenistanu

KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: Witam elitę polityczną tego kraju. Wezwałem was, aby przedstawić plan uzdrowienia krajowego sportu. W obliczu olimpijskiej klęski historia każe mi zapytać, czy jesteście gotowi na krew, pot i łzy, by rozpalić w sobie ogień?
Kierwiński: Ale gdzie?
Tusk: Na zniczu.
Budka: Ktoś umarł, poza polskim sportem?
Tusk: Chodzi o znicz olimpijski.
Sienkiewicz: Ja kiedyś paliłem „Sporty", to wiem, o co chodzi...
Tusk: Nie bardzo. Podjąłem decyzję, i to na najwyższym szczeblu, że wobec wyzwań igrzysk olimpijskich w Los Angeles w 2028 r. nie możemy pozostać obojętni. Blamaż nie może się powtórzyć. Dlatego reprezentacja olimpijska musi składać się z ludzi sprawdzonych, zdeterminowanych, a przede wszystkim ze świeżym spojrzeniem na sportowe współzawodnictwo.
Kierwiński: Mamy biegać?
Tusk: Niekoniecznie. Asortyment dyscyplin olimpijskich jest bogaty. Zresztą wybierze je osobiście prezes Rady Ministrów pełniący obowiązki supertrenera kadry. A więc tak, Joński i Szczerba – rzut młotem.
Szczerba: Ale który rzuca?
Tusk: Na przemian. Raz ty się kręcisz, on leci, raz odwrotnie. O ile da radę.
Szczerba: A co mam nie dać. Jak w Krynicy do kibla leciałem, to tylko telefony fruwały.
Tusk: Minister Nitras zorganizuje drużynę piłkarską.
Nitras: Ja? A skąd ja wezmę 10 piłkarzy?
Tusk: Na pile się znacie, to piłka jest mniejsza.
Nitras: Ale do metalu! Takiej z zębami? Do piłowania katolików!
Tusk: Bez dyskusji. Kolego Szłapka, boksowaliście kiedyś?
Szłapka: Biedroń boksował. Wygrał chyba nawet.
Tusk: To by było za proste. Bo tu chodzi o boks kobiecy. Nie możemy pozwolić na powtórkę sytuacji z Szeremetą. My też wystawimy faceta udającego kobietę.
Szłapka: To może Anka Grodzka?
Tusk: Musi być ktoś z rządu. A wy jesteście najładniejsi. Postanowione. Czy jest koleżanka Kidawa-Błońska?
Kidawa-Błońska: Oczywiście. Mnie się marzy gimnastyka artystyczna, ewentualnie szermierka.
Tusk: Za mało czasu, nie zdążysz się przygotować. Ja tu widzę raczej tenis stołowy. Najpierw się zgłosisz, potem zbojkotujesz, więc nie będziesz musiała grać z Chinkami. A jak będziesz, to postawisz na stole porcelanę i rozpoznasz pochodzenie bez zerkania na spód talerzyka.
Kidawa-Błońska: Tak. A potem mnie podmienicie na Rafała.
Tusk: Absolutnie. Rafał dobrze wygląda w kasku, to będzie jeździł konno. Nie wiem jeszcze, czy w pięcioboju, czy tylko przez przeszkody.
Trzaskowski: Tam jest toczek, nie kask.
Tusk: Ale podobny. Założysz sobie tę swoją odblaskową kamizelkę i jesteś dżokej jak ta lala!
Trzaskowski: Chyba Rafalala, ta drag queen. Ja nie umiem jeździć konno.
Tusk: Wystarczy, że „Koń" umie. „Kto nie skacze, ten za PiS-em!" – pamiętasz? On ci weźmie wszystkie przeszkody. Tylko sprawdź, czy nie ma żadnego prokuratora na widowni, bo zacznie udawać, że go łeb boli i zemdleje w rowie z wodą. Następny: kolega Sienkiewicz.
Sienkiewicz: Ja do sportu?
Tusk: Tak, taekwondo. Przypomnicie sobie, jak z kopa do TVP wchodziliście. Lekkoatletyka, proszę bardzo, trójskok: panowie Kosiniak, Kamysz... A nie, przepraszam, to jest jedna osoba. I pan Hołownia. Tyle żeście gadali o wyborczym „trójskoku", że inaczej się nie dało. Będziecie skakać, trzymając się za ręce.
Lubnauer: A dla mnie co by premier widział?
Nowacka: Gdzie się pchasz? Chyba najpierw ministra, co?
Tusk: Dla pań to ja mam, tadam, pływanie synchroniczne!
Nowacka: Słucham?!
Lubnauer: Ja nie umiem synchronicznie. Mnie ledwie żabka wychodzi.
Tusk: To woli pani zapasy?
Lubnauer: No nie. Ja bym chciała tam, gdzie mamy złoto...
Tusk: Wspinaczka na czas? Pani Kasiu, to że nasza mistrzyni Aleksandra ma na nazwisko „Mirosław", a na panią mówią „Staszek", to nie znaczy, że pani też jest kobietą pająkiem. Zresztą, wspinaczka jest obsadzona. Wobec kontuzji kolegi Nowaka kolega Grodzki ma z nas wszystkich najbardziej lepkie ręce, więc da radę.
Nowacka: Ja się na synchroniczne nie zgadzam. Donaldzie, no weź...
Kierwiński: A ja bym chciał żeglarstwo, łódka bols, te sprawy. I ten pogłos na wodzie...
Tusk: Oszalałeś, „Bobas"? Tam są sędziowie!
Kierwiński: Neumann mówił, że do wyborów nic nie zrobią... Sużba... i poświęcenie... to są rzeszy najważniejsze...
Tusk: Idziesz na podnoszenie ciężarów. Na podnoszeniu się znasz.
Kierwiński: Chyba wieku emerytalnego...
Tusk: Słucham?
Kierwiński: Nic takiego.
Tusk: Dobrze, że przypomniałeś. Niepotrzebnie mnie wtedy namówiłeś.
Kierwiński: Ja?!
Tusk: Już nie pamiętasz? Nic dziwnego, skoro byłeś po kilku wystąpieniach. Możliwe, że cię jeszcze do sztafety mieszanej wezmę. Cztery razy sto, rozumiesz?
Kierwiński: Ale ja nie mieszam. No, chyba sze sużba i... to, no, poświensenie...

eprasa.pl b044129411

WIEŻA BAB

Zamiast stu konkretów

Bajeczkę premiera po kilku dniach obalił minister finansów Andrzej Domański

Premier Donald Tusk w ramach „ścigania zbrodni" rządu PiS przedstawił na konferencji prasowej postępy w rozliczaniu nadużyć poprzedniej władzy. Poinformował, że Krajowa Administracja Skarbowa prowadzi postępowania w 90 jednostkach, które mają dotyczyć w sumie 100 mld zł.

„Jarosław Kaczyński naprawdę myślał, że stworzył układ zamknięty. Myślał, że wygrają kolejne wybory i nikt nie będzie miał dostępu do informacji, z których dzisiaj powoli budujemy obraz tych nadużyć, które szacowane są na 100 mld zł" – przekonywał Tusk. Zgromadzona na konferencji i przed telewizorami widownia obejrzała też szopkę pt. „podpisanie porozumienia" między ministrami sprawiedliwości, spraw wewnętrznych i administracji oraz finansów. Teoretycznie jest ono po to, żeby skoordynować działania służb podległych tym ministerstwom. No bo przecież gdyby nie podpisali, to by się nie skoordynowali. „Skoordynowanie między tymi resortami jest niezbędne, abyśmy skutecznie i szybko odzyskiwali te gigantyczne kwoty, co do których mamy dowody albo przekonanie – w niektórych przypadkach praca nad szukaniem dowodów trwa – że zostały wydane w sposób nieprawidłowy i niezgodny z prawem na szkodę interesów publicznych albo wprost zawłaszczone" – klarował premier Tusk.

Tak więc dowodów jeszcze nie ma, ale trwają poszukiwania, coś jak słynne poszukiwanie podstaw prawnych przez ministra Adama Bodnara. A że ministrowie podpisali, że się skoordynują, to dowody znaleźć muszą, choćby mieli je wykopać spod ziemi. Poza tym mniejsza z dowodami – ważne jest przekonanie pana premiera, że nieprawidłowości były, więc dowody mają się znaleźć. Jak się nie znajdą, to tym gorzej dla dowodów. Najważniejsze, żeby do opinii publicznej przebiło się owe „100 mld", które rząd PiS miał ukraść, rozdać „swoim" czy jakoś inaczej zachachmęcić. Przy czym na konferencji nie zobaczyliśmy żadnych analiz czy wyliczeń.

Podobnie było przecież z aferą wizową. W kampanii wyborczej politycy Koalicji Obywatelskiej w studiach telewizyjnych i z mównicy sejmowej powtarzali jak mantrę, że setki tysięcy wiz sprzedawano na straganach. I cóż, że Michał Szczerba, dziś eurodeputowany, a do niedawna przewodniczący sejmowej komisji śledczej badającej tzw. aferę wizową, przyznał podczas jej obrad, że nie było żadnych straganów, a nieprawidłowości dotyczyły wydania 607 wiz i polegały na ewentualnym przesunięciu delikwenta w kolejce. Przecież część wyborców uwierzyła, a kto wie, może nawet temat wiz sprawił, że PiS nie zdobyło samodzielnej większości w Sejmie.

Zresztą ten sam polityk, czyli Michał Szczerba, przekonywał niedawno w studiu TVP Info, że Kostrzyńsko-Słubicka Specjalna Strefa Ekonomiczna, czyli jedna ze spółek akcyjnych podległych rządowi, wydała 25 mln zł za spotkanie z seniorami ubiegającej się o mandat byłej minister rozwoju Jadwigi Emilewicz. Gdy zaczął odczytywać kolejne pozycje z faktury, okazało się, że nie chodzi o 25 mln, a o 25 tys. zł. Ale cóż to za różnica dla europosła: 25 mln czy 25 tys.? Grunt, by dobrze brzmiało.

Wróćmy jednak do naszych 100 mld, które w przekonaniu premiera, ale bez dowodów, bo ich poszukiwania wciąż trwają, miał zachachmęcić poprzedni rząd. Bajeczkę premiera po kilku dniach obalił minister finansów Andrzej Domański w programie „Grafitti" w Polsat News. „100 mld zł to kwota, która jest objęta badaniem. 5 mld zł to kwota, gdzie już są ustalone nieprawidłowości. Z kolei ponad 3 mld zł to kwota, odnośnie do której zostały złożone zawiadomienie do prokuratury" – mówił Domański pytany o rozliczenia „układu zamkniętego". Wygląda więc na to, że ministrowie nie skoordynowali z premierem tego, co mają mówić, a szacunki Tuska są mocno przeskalowane.

Ot, po prostu zamiast 100 konkretów, które jakoś nie wypaliły, mamy 100 mld! Wyborcy PO i tak się cieszą.

Dorota Łosiewicz

Imigracja zahamowana

Szwecja

„Szwecja przestała być krajem przyjmującym azylantów" – oznajmiła szwedzka minister ds. migracji Maria Malmer Stenergard z prawicowej Umiarkowanej Partii Koalicyjnej. Sformowany jesienią 2022 r. rząd realizuje w ten sposób swoje obietnice wyborcze, starając się uczynić Szwecję mniej atrakcyjną dla masowej imigracji.

Po raz pierwszy od 50 lat w Szwecji spadła zarówno liczba wniosków o azyl, jak i wydawanych zezwoleń na pobyt stały. „Szwecja odnotowuje emigrację netto" – stwierdziła pani minister, podkreślając, że 2024 r. więcej osób wyjedzie ze Szwecji, niż do niej przyjedzie, a liczba opuszczających ją osób wzrosła aż o 60 proc. Statystyki są obiecujące. W 2023 r. ze Szwecji wyjechało o 1 tys. więcej Irakijczyków i Somalijczyków, niż do niej przybyło. To samo zaobserwowano także w przypadku Syryjczyków. W historii kraju, który kiedyś za sprawą rządzącej lewicy był najbardziej entuzjastycznym zwolennikiem masowej imigracji w Europie i który doświadczył z tego powodu wielu niepokojów społecznych, liczby te oznaczają historyczny zwrot.

Według danych Agencji Migracyjnej Szwecja przyjmie w br. najniższą liczbę osób ubiegających się o azyl od 1997 r. O tym, jak bardzo spadła liczba wniosków, świadczy fakt, że w 2016 r. było ich 85 tys., a dziś – zaledwie 5,6 tys. Żeby to osiągnąć, szwedzki rząd wdrożył rygorystyczne przepisy azylowe. Zwalczają one m.in. czarny rynek fikcyjnych tożsamości oraz wyłudzanie zasiłków i zezwoleń na pobyt. Ułatwiają też repatriację przestępców i osób o niskich kwalifikacjach oraz utrudniają „imigrację łańcuchową". Przed przybyszami postawiono także wymogi mające zmusić ich do kulturowej integracji ze szwedzkim społeczeństwem. „Jeśli chcecie tu zostać, to musicie nauczyć się języka, stać się samowystarczalni i szanować szwedzkie wartości" – poinformowała minister Stenergard.

Choć przytoczone wyżej liczby są stosunkowo niewielkie, to migracja netto wynosząca minus 5,7 tys. oznacza poważną zmianę dla liczącej zaledwie 10 mln mieszkańców Szwecji. Nie jest ona jednak niestety wyznacznikiem szerszych trendów europejskich, ponieważ ogólna liczba osób ubiegających się o azyl w Unii pozostaje bardzo wysoka.

Maciej Walaszczyk

Fot. Andrzej Skwarczyński

Ekologia dla wybranych

W Belgradzie dziesiątki tysięcy demonstrantów protestowały przeciwko decyzji o uruchomieniu kopalni litu w dolinie rzeki Jadar w zachodniej Serbii. Demonstranci zablokowali dwie stacje kolejowe, a prezydent Aleksandar Vučić oświadczył, że „został ostrzeżony" przez rosyjski wywiad, iż może zostać podjęta próba zamachu stanu.

Do protestów doszło także w wielu miastach prowincjonalnych, co jest o tyle nowym zjawiskiem, że do tej pory opozycja była silna jedynie w stolicy kraju, a prowincja zwykle wspierała obóz rządzący. Teraz demonstrujący w takich miastach, jak Subotica, Kruševac czy Zaječar również domagali się odwołania decyzji o uruchomieniu wydobycia litu i boru, krzycząc: „Zdrada!" i argumentując, że eksploatacja największych europejskich złóż tych surowców doprowadzi do zatrucia gleby, wód i powietrza.

Co ciekawe, decyzja o wznowieniu koncesji wydobywczej, której właścicielem jest wielki brytyjsko-australijski koncern górniczy Rio Tinto, została podjęta przez Belgrad w wyniku presji Unii Europejskiej. W połowie lipca podczas wizyty w Belgradzie Olaf Scholz i wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej Maroš Šefčovič oficjalnie, mimo głośnych protestów ekologów i naukowców, poparli uruchomienie kopalni litu. Niemiecki kanclerz podpisał porozumienie z władzami Serbii, które zagwarantowało największym europejskim koncernom samochodowym, takim jak niemiecki Mercedes i francusko-włoski Stellantis, wyłączny dostęp do największych europejskich złóż tego surowca, niezbędnego do budowy akumulatorów samochodów elektrycznych.

Scholz w rozmowie z dziennikarzami zarzucającymi mu promowanie interesów niemieckiego biznesu kosztem środowiska naturalnego odwoływał się do retoryki „samowystarczalności zaopatrzenia" w minerały ziem rzadkich, ale jego argumentacja nie przekonała serbskiej opozycji, która zarzuca Unii Europejskiej i Niemcom hipokryzję.

Serbscy naukowcy sympatyzujący z opozycją uważają, że rachunek ekonomiczny związany z wydobyciem jest niepewny, zwłaszcza że ceny litu na światowych rynkach spadły ostatnio o 80 proc. Ich zdaniem jedyne korzyści z eksploatacji złóż odniesie skorumpowana elita władzy i bogate społeczeństwa państw Unii Europejskiej, a Serbowie przez lata będą ponosić koszty tej inwestycji.

Marek Budzisz

Serbia

Austria

Koniec Ostatniego Pokolenia

Organizacja Ostatnie Pokolenie, której członkowie „walczą o planetę", przyklejając się do ulic i oblewając farbą dzieła sztuki, poinformowała, że kończy swoją działalność w Austrii. „Nie widzimy już żadnych perspektyw na sukces" – napisali w swoim oświadczeniu aktywiści. „Rozumiemy, że Austria chce pozostać ignorantką w kwestii paliw kopalnych i dlatego jest gotowa wziąć odpowiedzialność za śmierć miliardów ludzi. Społeczeństwo zawiodło. To nas nieskończenie smuci" – czytamy dalej.

Rzeczywiście „społeczeństwo zawiodło", bo zwykli Austriacy mieli już dość problemów stwarzanych przez klimatycznych fanatyków. W maju, gdy Ostatnie Pokolenie chciało doprowadzić do wielkiego chaosu komunikacyjnego w Austrii i równocześnie zablokować kilka węzłów drogowych, tamtejsi kierowcy nie wytrzymali nerwowo.

Jednak nie chodziło tylko o blokowanie dróg i mostów oraz przyklejanie się do jezdni. Aktywiści Ostatniego Pokolenia siali również spustoszenie na imprezach sportowych oraz w muzeach i galeriach sztuki. W listopadzie ub.r. próbowali przerwać zawody o puchar świata w narciarstwie alpejskim rozgrywane w Gurgl. Blokowali tam linię mety i bazgrali sprayem po lodzie. Rok wcześniej wtargnęli do wiedeńskiego Muzeum Leopoldów, oblewając farbą obraz Gustava Klimta „Śmierć i życie". Nic dziwnego, że tego rodzaju „walka o planetę" nie porwała za sobą tłumów, a ekologiczni fanatycy wzbudzali powszechną irytację.

W tej kwestii rząd Austrii stanął twardo po stronie zwykłych obywateli. Po każdej akcji Ostatniego Pokolenia wyłapywano jej uczestników i nakładano na nich bardzo wysokie grzywny. Najwięcej kar zebrała przywódczyni grupy, niemiecka aktywistka Anja Windl, nazwana z powodu jej podobieństwa do kolumbijskiej gwiazdy pop „klimatyczną Shakirą". W kwietniu zasłynęła ona kampanią poszukiwania męża prowadzoną na TikToku. Małżeństwo z Austriakiem miało ją uchronić przed wydaleniem do Niemiec, gdzie groziły jej liczne procesy.

Taktyka austriackiego rządu okazała się bardzo skuteczna. Łączna kwota grzywien nałożonych na klimatycznych wandali okazała się w końcu tak wysoka, że stracili oni ochotę do dalszych akcji. Kończąc swoją działalność w Austrii, poprosili jedynie o darowizny od sympatyków, aby pokryć koszty nałożonych na nich kar.

Być może wkrótce podobny los spotka ich towarzyszy we Włoszech, gdzie szykuje się drastyczna podwyżka kar finansowych za tego rodzaju „protesty klimatyczne". Uderzenie po kieszeniach okazało się bowiem najbardziej skuteczne.

Konrad Kołodziejski

Fot. Andreas Stroh/Shutterstock.com

Fot. Dejan82/Shutterstock.com

Damski bokser?

W Argentynie wybuchł niedawno skandal polityczno-obyczajowy, w którego centrum znalazł się były prezydent tego kraju (w latach 2019–2023) Alberto Fernández. Chociaż deklaruje się jako chrześcijanin, to jego rządy zaprzeczały oficjalnie głoszonym wartościom. Uznał np. legalizację aborcji za jeden z priorytetów swojej prezydentury i w 2020 r. doprowadził do jej prawnego usankcjonowania. Pytany, jak godzi to ze swoją wiarą, odpowiedział, że jest „katolikiem, który nie wierzy, iż aborcja jest grzechem".

Po zakończeniu kadencji przeciw Fernándezowi wszczęto dochodzenie w sprawie korupcji i nadużyć finansowych. W tym celu śledczy uzyskali dostęp do telefonów komórkowych byłego prezydenta i jego najbliższych współpracowników. Ku swemu zaskoczeniu odkryli wówczas korespondencję SMS pomiędzy byłym prezydentem a jego konkubiną – aktorką i dziennikarką Fabiolą Yáñez, która przez cztery lata pełniła funkcję pierwszej damy Argentyny. Z wymiany zdań między nimi wynikało, że polityk często bił swoją życiową partnerkę. W tej sytuacji prokuratura z urzędu wszczęła sprawę o przemoc domową, zaś do mediów wyciekły zdjęcia, które Yáñez wysyłała SMS-em Fernandezowi. Przedstawiały one kobietę z podbitym okiem i siniakami na ciele. W korespondencji z nią prezydent nie wypierał się swojej winy. Gdy pisała: „Bijesz mnie już 3 dni z rzędu", on odpowiadał: „Trudno mi oddychać. Proszę, przestań. Bardzo źle się czuję".

Po ujawnieniu tych informacji argentyńscy dziennikarze dotarli do aktorki, która w 2023 r. opuściła polityka i mieszka dziś w Madrycie. Była zaskoczona, że jej prywatne fotografie wyciekły do mediów, ale przyznała, że były partner często stosował wobec niej przemoc fizyczną. Sam Fernández wszystkiemu zaprzecza, twierdząc, że cała afera to prowokacja wymierzona przeciwko niemu. Opinia publiczna jest jednak wroga wobec byłego prezydenta, który za swej kadencji utworzył Ministerstwo Kobiet i Różnorodności oraz publicznie piętnował przemoc ze względu na płeć.

Grzegorz Górny

Argentyna

Fot. Matias Baglietto/Shutterstock.com

eprasa.pl b044129411

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Sierpień

Jan Pietrzak

Jest sierpień, miesiąc Solidarności, powstania warszawskiego i Bitwy Warszawskiej. Ogłoszono właśnie, że władze stolicy rezygnują z budowy pomnika, który miał upamiętnić wielkie polskie zwycięstwo trafnie zwane Cudem nad Wisłą, bo bez ingerencji Bożej trudno je pojąć. Ale dla obecnej władzy, jak głosi gwarowe powiedzonko, cudów ni ma! Rzeczywiście, z tą władzą nie tylko cudów, lecz także piniendzy ni ma! Na CPK, PKP Cargo, edukację, Odrę – ni ma! Jest za to nieustająca medialna awantura i codzienna wściekłość.

Wracając do pomnika – może i lepiej, że został wycofany, ponieważ to, co kiedyś pokazano jako nagrodzony projekt, było jakimś graniastosłupem powykręcanym jak wielki świder do robót górniczych. Dawno temu niejaki Gomułka tak się wyraził o pewnym projekcie: „Ni pies, ni wydra, cóś na kształt świdra". Co ta skulptura miała wspólnego z walką, heroizmem, odzyskaną niepodległością? Nic! Starsze roczniki być może pamiętają, że Towarzystwo Patriotyczne przed 100. rocznicą zgłosiło włodarzom Warszawy propozycję budowy łuku triumfalnego Bitwy Warszawskiej. Przekonywałem władze miasta kilka lat. Nie udało się.

Byłem przekonany i sądzę tak do dzisiaj, że brak tego pomnika w Warszawie jest rzeczą haniebną. Pokolenia, którym udało się przeżyć morderczą okupację sowiecko-niemiecką, a następnie pół wieku peerelu, znają cenę niewoli. Wiedzą też, ile kosztuje niepodległość. W europejskiej cywilizacji istnieje tradycja utrwalania bohaterskich czynów w granicie, spiżu, w miejscach szczególnie eksponowanych architektonicznie.

Niestety kiedy w ostatnich stuleciach inne narody stawiały pomniki swoim królom, wodzom, mędrcom, polska ziemia została rozgrabiona przez zaborcze potwory. Nie dość, że nie pozwalali na żadne upamiętnienia, to z maniakalnym uporem redukowali polskie dziedzictwo kulturowe, okradając pałace, katedry, dwory, miasta... Nawet z powstańczej, płonącej Warszawy potrafili wysłać do Reichu tysiące wagonów łupów. M.in. mojego konika na biegunach.

Ale wróćmy do tematyki pomnikowej. Warszawie potrzebna jest kolumnada powstań narodowych, bo to one, od konfederacji barskiej po bunt Solidarności, podtrzymywały niezłomnego ducha oporu wobec napastliwych barbarzyńców, w efekcie tworząc nowożytną Polskę. W wielu miejscowościach uderza znaczący brak pomników zasłużonych synów tej ziemi, hetmanów wielkich koronnych, świętych naszego Kościoła, wybitnych uczonych i artystów. Oczywiście piszę o sytuacji, kiedy Polska będzie Polską! Głęboko wierzę, że to niedługo nastąpi, bo nie sądzę, byśmy wytrzymali w obecnym zniewoleniu.

Gruba lista pęcznieje w milczeniu

Samuel Pereira

Żyjemy we wspaniałym kraju. Nic się złego nie dzieje, jest super, pan premier rządzi wspaniale, kibicuje sportowcom, walczy z opozycją, tfu, z przestępczością, ceny benzyny spadają, kwota wolna rośnie, a ludziom żyje się lepiej. Taką wizję każdego dnia pokazują nam media publiczne i ta druga „zaprzyjaźniona stacja" władzy. Podobnie rzecz się ma na prywatnych portalach, które dzielnie sekundują nowemu rządowi. Wszystko jakby ustalane na jednym kolegium. Przypomina się era poprzedniego Tuska, gdy tego samego dnia (9 maja) najpierw hołd Armii Czerwonej składano w głównym dzienniku TVN, a następnie TVP. Dziś reset nie jest już fajny. Dziś ci sami, którzy kłaniali się prezydentowi Rosji, gdy przylatywał odwiedzić Polskę, są przeciwko Putinowi. Nie lubią, gdy przypomina się ich własne słowa i czyny, a gdy jeszcze pokazuje się dokumenty, jak np. prof. Sławomir Cenckiewicz, to już jest gilotyna.

Ta wizja Polski, od której zacząłem, ma się nijak do rzeczywistości, a jednak wciąż obowiązuje w głównym strumieniu medialnym w naszym kraju. Ostatnio na szybko zrobiłem sobie listę tematów, które przetaczały się w mediach konserwatywnych i w obiegu internetowym, a które były przemilczane bądź przedstawiane w zmanipulowany sposób przez media rządowe czy prorządowe. W kilka minut wyliczyłem ich 55, a internauci komentujący mój wpis dodawali kolejne. Każdego dnia pojawiają się zresztą nowe.

Jak się z tym przebić? To wcale nie jest takie trudne, ale przede wszystkim trzeba zacząć próbować. Czy coś stoi na przeszkodzie politykom opozycji, żeby z taką listą albo własną, dłuższą, przychodzić do programów telewizyjnych, gdzie ukrywa się takie fakty przed widzami? Nic. Nawet jeśli taki odczyt zostałby przerwany, to przecież każdy – nawet z ciekawości – sprawdzi całość w mediach społecznościowych, np. na koncie, do którego ten, któremu przerwano, odeśle. A Polacy to docenią, bo chcą być traktowani poważnie, a mówienie o faktach zamiast ganiania za wrzutkami, które wymyśla Donald Tusk, to właśnie traktowanie obywateli poważnie.

eprasa.pl b044129411

Wspólne dobro

Marta Kaczyńska-Zielińska

W Teheranie po bluźnierczym i tandetnym występie parodiującym Ostatnią Wieczerzę podczas otwarcia igrzysk olimpijskich w Paryżu umieszczono plakat z reprodukcją obrazu Leonarda da Vinci i napisem: „Zaprawdę Mesjasz, Jezus Chrystus, Syn Maryi jest wysłannikiem Boga". Dla wielu komentatorów opisana manifestacja szacunku dla chrześcijan w kraju muzułmańskim była zaskakująca i powiązano ją z istnieniem niewielkiej, oscylującej między 0,4 i 0,8 proc. mieszkańców, mniejszości religijnej. Od czasów rewolucji islamskiej w 1979 r. nawrócenie z islamu na chrześcijaństwo jest w Iranie surowo karane, ale wspólnoty wyznawców Chrystusa nadal istnieją. Wspomniany baner w opozycji do francuskiego wyuzdanego kiczu odzwierciedla prawdziwą muzułmańską dogmatykę, wedle której szydzenie z Jezusa Chrystusa i Matki Boskiej w islamie jest niedopuszczalne.

Muzułmanie, podobnie jak chrześcijanie i Żydzi, wierzą w Boga Wszechmogącego, który jest stwórcą człowieka i wszystkiego, co nas otacza. Islam, chrześcijaństwo i judaizm to rodzina religii monoteistycznych, charakteryzująca się jednak różnicami antropologicznymi. W deklaracji „Nostra aetate", dokumencie Soboru Watykańskiego II z 1965 r. poświęconemu dialogowi z religiami niechrześcijańskimi, wskazano, że w interesie całej ludzkości chrześcijanie i muzułmanie powinni wspólnie strzec sprawiedliwości społecznej, dóbr moralnych, pokoju i wolności oraz je rozwijać. „Kościół spogląda z szacunkiem również na mahometan, oddających cześć jedynemu Bogu, żywemu i samoistnemu, miłosiernemu i wszechmocnemu, Stwórcy nieba i ziemi".

Prawdziwy islam jest religią umiaru. Koran opisuje muzułmanów jako naród znajdujący się pośrodku, aby był świadkiem dla ludzi (Święty Koran 2:143) i sugeruje im, aby nie wykraczali poza granice swojej religii oraz nie podążali za skrajnościami w interpretacji wiary (Święty Koran 4:171, 5:77, 22:78). Święty Prorok ostrzegał muzułmanów: „Strzeżcie się skrajności w waszej religii, ponieważ ludy przed wami zostały unicestwione z powodu swej skrajności". Koran naucza, że zabicie jednego niewinnego człowieka jest jak zabicie całego rodzaju ludzkiego (Święty Koran 5:32, 6:151, 17:33). Islam uważa każdą formę życia za świętą. Pierwszym i podstawowym prawem danym przez Boga każdej istocie ludzkiej jest prawo do życia w pokoju i bezpieczeństwie. Wszelkie odchylenia od opisanych zasad są przejawem fundamentalizmu religijnego o charakterze destrukcyjnym, zazwyczaj inspirowanym ideologią polityczną. Należy podkreślić, że to nie religia powoduje określone radykalne działanie, a nadinterpretacja doktryny.

Muzułmański terroryzm motywowany religijnie został zapoczątkowany przez rewolucję irańską. Jej celem było rozszerzanie irańskiej interpretacji prawa na inne państwa muzułmańskie.

Okrzyk „Allahu akbar!", utożsamiany powszechnie z muzułmańskimi terrorystami, w języku arabskim oznacza „Bóg jest największy" i stanowi część wezwania do modlitwy muzułmańskiej. Powiedzenie „Allahu akbar" jest używane także w życiu codziennym jako sposób na wyrażanie różnych, najczęściej pozytywnych uczuć. W wyniku licznych ataków terrorystycznych w ostatnich latach w powszechnym przekonaniu wspomniany okrzyk jest postrzegany jako zwiastun przemocy i rozlewu krwi.

W przemówieniu do młodzieży muzułmańskiej na stadionie w Casablance (19 sierpnia 1985 r.) Jan Paweł II powiedział: „Uczciwość wymaga, byśmy uznali i uszanowali to, co nas różni. Najbardziej istotną różnicą jest oczywiście sposób, w jaki patrzymy na osobę i dzieło Jezusa z Nazaretu. Wiecie, że my, chrześcijanie, wierzymy, iż Jezus wprowadził nas w wewnętrzne poznanie tajemnicy Boga i w synowską wspólnotę Jego darów, tak że uznajemy Go i głosimy Panem i Zbawcą. To są ważne różnice, które możemy przyjąć z pokorą i szacunkiem, we wzajemnej tolerancji; jest tu tajemnica, co do której Bóg nas kiedyś oświeci, jestem tego pewien". Jan Paweł II był pierwszym papieżem w historii, który wszedł do meczetu. Ojciec św. z szacunkiem odnosił się do duchowego dziedzictwa muzułmanów i był przekonany, że dzięki dialogowi możemy się lepiej poznać i zrozumieć, aby uczynić świat bardziej pokojowym.

REKLAMA

15/0724/F

eprasa.pl b044129411

Walizka Krzysztofa Ziemca

dziennikarza telewizyjnego i radiowego, szef kanału „Otwarta Konserwa”

Często przez lata żyjemy w strefie komfortu, która hamuje nasz rozwój. Ale zazwyczaj nie mamy wystarczającej siły, żeby to przerwać. Sytuacja zmusiła mnie do wielkich zmian zawodowych, i to w momencie, gdy miałem już ogromne, ponaddwudziestoletnie doświadczenie pracy w telewizji. Poukładałem więc na nowo swoje życie zawodowe i mogę za to podziękować tym, którzy chcieli mnie skazać na niebyt, bo pracuję teraz w miejscu, w którym mam wolność, nie mam takich ograniczeń, jakie są w każdej dużej redakcji. Na kanale „Otwarta Konserwa” mogę tworzyć i robić to, co zawsze chciałem: zapraszać gości takich, jakich chcę, zadawać pytania, jakie chcę i nikt oprócz widza nie będzie mnie rozliczał, dlaczego ten, a nie inny temat. I muszę liczyć się tylko z komentarzami widzów, a nie z „szefem z nadania”, który sugerował, „kogo brać”. Nazwa „Konserwa” to skrót od dobrze pojętego konserwatyzmu, który nasz zespół rozumie jako trwanie w prawdzie niezależnie od tego, jaka ona jest. W szacunku do wartości, które są dla nas niezbywalne: szacunek do ojczyzny, patriotyzmu, wolności, drugiego człowieka, Dekalogu czy rodziny i ludzi słabszych.

LAPTOP

Narzędzie, bez którego trudno dziś ruszać – czy to do mojego studia podcastowego, czy na wyjazd, na którym prowadzę jakiś panel, kongres lub imprezę. Nawet krótki przejazd metrem to okazja, żeby się do czegoś przygotować lub poczytać komentarze pod moimi wywiadami. Czytam wszystkie i wyciągam wnioski.

KOLOROWE PISAKI

Nieodzowne przy publicznych wystąpieniach. Zaznaczam nimi ważne fragmenty pytań do gościa, cytaty, do których warto wrócić podczas wywiadu albo gdy prowadzę jakieś uroczystości. Wtedy bez fluorescencyjnych flamastrów ani rusz!

eprasa.pl b044129411

MAKE-UP

Dla dziennikarza, który pracował na wizji wiele lat, make-up to rzecz bardzo naturalna. Wiem, jak ważny jest wygląd przed kamerą i obiektywem aparatu, gdzie może to rozpraszać uwagę widzów. W moim studiu nie mamy na stałe profesjonalnej make-upistki, więc muszę zapewnić go sobie sam.

SŁUCHAWKI

Jestem uzależniony od słuchania radia i gdziekolwiek jestem, słucham lokalnych stacji. Ponieważ nie lubię tego robić głośno, np. w pociągu, by nikogo nie męczyć moimi zainteresowaniami, zakładam słuchawki.

MAPA

Jestem człowiekiem starej daty i bardzo lubię papierowe mapy. Mogę się na nie gapić i studiować godzinami. Nawet gdy jadę do miasta, które znam, zabieram ze sobą tradycyjną mapę, dzięki której znacznie łatwiej trafić niż za pomocą telefonu komórkowego.

KREM DO UST I WODA

Suchość w ustach i suchość warg potrafi zepsuć najlepsze wystąpienie publiczne nawet mistrzowi. Taki dyskomfort skutecznie odciąga naszą uwagę od przygotowanego speechu, a wiadomo, że drugiej szansy możemy nie dostać.

DYKTAFON

Przydatny, gdy coś przyjdzie do głowy, a nie mogę tego spisać. Albo w czasie zbierania wywiadów do książki – wtedy dyktafon jest rzeczą absolutnie niezbędną.

POLSKIE BUTY

W Polsce znalezienie butów dla mężczyzny nie jest sprawą tak łatwą jak dla kobiety. A ja jestem wybredny, lecz jestem także patriotą i lubię produkty rodzimych firm. Stąd właśnie polskie buty: polskiego producenta (Leger) i szyte w Polsce. Są niezwykle wygodne, a do tego trochę zawadiackie. Pasują do garnituru i jeansów, na scenę i do studia.

ŚW. JÓZEF

Patron męskich spraw i odpowiedzialnych mężczyzn – stąd ten obrazek, który stale noszę w portfelu. Św. Józef to ktoś, do kogo nawet najtwardszy facet może westchnąć w trudnej sytuacji i będzie wysłuchany.

PUSZKA

To symbol mojego nowego kanału i dzisiejszych czasów, gdy warto mieć plecak ewakuacyjny. Taka puszka potrafi zaspokoić duży głód, kiedy kończymy pracę bardzo późno, a jesteśmy w takim miejscu, gdzie nie ma sklepu.

LAKIER DO WŁOSÓW

Bezcenny w plenerze z kamerą przy silnym wietrze, bowiem artystyczny nieład włosów nie jest wskazany podczas poważnego wywiadu.

IRLANDIA

Muszę rozczarować te „pelikany polskiego dziennikarstwa", które z satysfakcją lub z zazdrości kolportowały nieprawdziwą informację, że pracuję w Irlandii przy remontach. Gwoli ścisłości – studio kanału „Otwarta Konserwa", które malowałem, mieści się w stolicy naszego pięknego kraju, czyli w Warszawie.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Michał Korsun, materiały prasowe „Otwarta Konserwa", Labello, Rossmann; Shutterstock x 2

eprasa.pl b044129411

Trzeba być bystrym i szybkim

Ze Zbigniewem Raubo, trenerem bokserskim, wielokrotnym mistrzem Polski w tej dyscyplinie sportu, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Jaka jest najważniejsza cecha dobrego pięściarza?

Zbigniew Raubo: Szybkość.

A nie zawziętość, serce do walki?

Jak nie ma dynamiki, szybkości, to ci szybcy panią rozjadą, oszukają. Jak szybkość jest, to nie da sobie pani nic zrobić i będzie mogła wykorzystać swoje możliwości. Walka na ringu trwa krótko. Tam się dzieje wiele rzeczy. Jak ktoś się zastanawia, to nie robi kariery. Trzeba być bystrym i szybkim.

I mieć odpowiedni zakres ramion? Co pan myślał, patrząc na Julię Szeremetę marzącą o złocie, z determinacją walczącą o sukces?

Po jej pierwszym występie mówiłem, że ona chyba nie wie, że jest na igrzyskach, bo autentycznie się tym bawiła. W finale to chyba do niej dotarło, bo jak dostała przeciwniczkę na najwyższym poziomie, to już nie była taka wyluzowana jak w tych wcześniejszych czterech walkach.

Nie miała szans na wygraną, a mimo to się nie poddała, pokazała siłę, sprawność, wolę walki.

Oczywiście, przecież do finału igrzysk olimpijskich nie wchodzi się przez przypadek. Trzeba mieć serce, szczęście i umiejętności. To, co zdobyła, pod każdym względem jest wywalczone i za to wielki, wielki szacunek, chociaż jak słyszę teraz ekspertów, że nikt jej nie znał, że to była nowa twarz, że młoda dziewczyna pojechała i przeskoczyła epokę...

Skoro o przeskakiwaniu epok mowa – jak patrzył pan na paryskie igrzyska, będąc jednym z komentatorów w pełnometrażowym dokumencie Marka Jagielskiego „1953. Walka o nadzieję"? Film przypomina mistrzostwa Europy w boksie, które odbyły się dwa miesiące po śmierci Stalina w zrujnowanej wojną Warszawie.

Przede wszystkim widziałem inne podejście.

Do walki czy do tego, co się dzieje wokół sportowych zmagań?

Do bycia reprezentantem. Występowania w barwach narodowych. Kiedyś to była wielka sprawa, megazaszczyt. Dzisiaj ten nasz patriotyzm poszedł gdzieś na bok. Wystarczy posłuchać, ile czasu zajmuje komentatorom, dziennikarzom wymienianie, jakie korzyści osiągną sportowcy, co dostaną za zdobyte medale. W wartości reprezentowania polskiego państwa, polskiego narodu? O tym cisza.

Jak się ogląda film Marka Jagielskiego, przychodzi na myśl westchnienie: „To se ne vrati".

Tym bardziej warto zobaczyć dokument „1953. Walka o nadzieję"?

To przede wszystkim jest polska historia. Nie tylko boks, nie tylko Pietrzykowski czy Stamm. Jak zobaczyłem nagrania z Warszawy 1953 r., nie mogłem uwierzyć. Tak wyglądała? To powinni obowiązkowo obejrzeć wszyscy, co tak narzekają, że w Polsce jest źle. Niech zobaczą, skąd wyszliśmy, gdzie dzisiaj jesteśmy. Wokół ruiny, nic nie było, ale była chęć wygrania z ruskimi, chęć reprezentowania Polski. Cała Warszawa, cała Polska chciała w tym uczestniczyć, a możliwości były mocno, mocno ograniczone. I tamtą Warszawę, tamtych ludzi i sportowców, szczególnie młodzi, powinni dziś zobaczyć.

Czy taka historyczna perspektywa może zmienić podejście do zadań i oczekiwań?

Dzisiaj niektórzy nasi mają wszystko i jakoś im nie idzie. Kiedyś nie mieli nic, a osiągali wyżyny.

Jak Julia Szeremeta?

Oby tylko jej pasji i determinacji nie zniszczyły pozaringowe starcia.

Film „1953. Walka o nadzieję" na razie jest dostępny w serwisie PREMIERY CANAL+.

Julia Szeremeta

Fot. Tomasz Radzik, Robert Hajduk/PKOl, materiały prasowe

eprasa.pl b0411294111

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁĄBĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: LIUDMYLA KAZAKOVA ♥ ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI x2, ANDRZEJ WIKTOR, PAWEŁ KRZYWICKI/FORUM, PAP/EPA, SHUTTERSTOCK x2, KHORKINS/SHUTTERSTOCK, MARCOBINWS/SHUTTERSTOCK

TRENDY I OWĘDY

Zatrute igrzyska

Od dziecka wiedziałem, że igrzyska w Paryżu zorganizowano w 1924 r. To były te, na których dziadek nie znalazł się wśród wysłanych zawodników. Był zapaśnikiem. Powtarzał zawsze, że zdobyłby medal, gdyby tylko pojechał. W domu na ścianach wisiały jego zdjęcia sprzed wojny w trykocie. Indywidualne albo grupowe. A także sporo medali. I był ten życiowy niedosyt, że nie dostał olimpijskiej szansy.

Ryszard Makowski

Nie mam pojęcia, jakie były szczegóły decyzji tych, którzy ustalali skład reprezentacji ponad 100 lat temu, ale od dziecka wiem, że igrzyska olimpijskie to coś niezwykle ważnego i podniosłego.

Niestety te zorganizowane w 100-lecie w Paryżu pokazały, jak dalece odsunęliśmy się od pięknych idei barona de Coubertina. Od zmagań sportowców ważniejsze okazało się promowanie trujących naszą cywilizację przekazów serwowanych nam przez zakamuflowanych, ale wpływowych macherów od kreowania rzeczywistości. Ceremonia otwarcia, na której z premedytacją poniżano chrześcijan, gloryfikując przy okazji ruchy o dziwnych potrzebach seksualnych, była skandalem. U nas dodatkowo mieliśmy hucpę z odsuwaniem i przywracaniem na antenę komentatora erudyty Przemysława Babiarza.

Istną burzę wywołała walka o złoto naszej wybitnej pięściarki Julii Szeremety. Dopuszczanie do damskich sportów walki osób uważających się za kobiety zupełnie wypaczyło rywalizację. Do tego panie, które na macie czy w ringu nie miały szans z osobami biologicznie silniejszymi, wolały nie poruszać tego tematu. Paryż 2024 pokazał, że nadęty autokratyzm nie liczy się z prawami natury. A to zawsze źle się kończy.

eprasa.pl b044129411

Arkadiusz Szczurek

Ludzie Moskwy w Warszawie

14 lat temu system Tuska robił wszystko, byśmy nie poznali prawdy o katastrofie smoleńskiej i kolportował propagandę stworzoną na Kremlu. Dziś ten sam system hołubi najbardziej odrażających smoleńskich łgarzy i zadymiarzy. Celem tej operacji jest nie tylko PiS, lecz także pamięć o Lechu Kaczyńskim. Dlaczego to dla Tuska tak ważne?

eprasa.pl b04

Przy pomniku smoleńskim na pl. Piłsudskiego co miesiąc składany jest przez przedstawicieli obcej (kulturowo) cywilizacji wieniec z tabliczką obrażającą śp. Lecha Kaczyńskiego. W iście sowieckim stylu tragicznie zmarłej głowie państwa jest przypisywana odpowiedzialność za spowodowanie katastrofy z 2010 r.

Choć minęło już ponad 14 lat, wciąż powtarzane są ruskie kłamstwa o przyczynach tej tragedii. Dokładnie te same, które wyprodukowano w Moskwie, a później z lubością sączono do głów Polakom. Tym razem dzieje się to jednak za pełnym przyzwoleniem Donalda Tuska. Bez tego nie byłoby możliwe zaproszenie do publicystycznej rozmowy w bandycko przejętej (przy udziale kochanki ruskiego szpiega) TVP głównego ulicznego zadymiarza, co miesiąc prowokującego Jarosława Kaczyńskiego, gdy ten upamiętnia swojego brata oraz przyjaciół, których stracił w Smoleńsku.

Ciężko na to patrzeć z obojętnością, zwłaszcza jeśli kilka lat poświęciło się na opisywanie skandali wokół śledztwa w sprawie naszej narodowej tragedii i prostowanie ruskich wrzutek.

Gdy przed 14 laty przygotowywałem dziesiątki telewizyjnych materiałów reporterskich, a później setki tekstów na temat katastrofy smoleńskiej, nie przypuszczałem, że po niemal półtorej dekadzie przyjdzie nam grzebać się w tym samym rynsztoku, którym po 10 kwietnia chlusnęli nam w twarz Putin, Anodina, Szojgu, zastępy ich żołnierzy, a w ślad za nimi nadwiślańska „elita" medialna i polityczna.

Nie trzeba specjalnej wyobraźni, by zdać sobie sprawę, co czuje najbardziej obrażany człowiek w kraju, gdy co miesiąc musi się mierzyć z wrzeszczącym mu w twarz troglodytą oskarżającym jego brata o śmierć 95 osób. Określenie, którego ostatnio użył Jarosław Kaczyński wobec Arkadiusza Szczurka („putinowska szmata"), może bulwersować tylko tych, którzy nie dostrzegają oczywistego – kremlowskiej proweniencji akcji tego ostatniego oraz nie szanują elementarnych zasad naszej cywilizacji – szacunku wobec śmierci i oddawania czci zmarłym.

MAREK PYZA

Gdyby Donald Tusk miał odrobinę klasy, a jego intencje zakończenia podziałów wśród Polaków były szczere, zaapelowałby – już z pozycji premiera, który ponownie przejął władzę – do swoich zwolenników, by nie urządzali niesmacznych spektakli w sferze sacrum. Nawet jeśli Tusk nie podziela tego sacrum. On jednak tego nie robi i nie zrobi. Dlaczego?

CZŁOWIEK BEZ ZASAD

W kampanii prezydenckiej 2005 r. jeden kandydat przekonywał, że będzie silnym prezydentem, a Polska z nim jako głową państwa – krajem uczciwym. Po latach rządów postkomunistów był to szczególnie istotny argument dla wielu wyborców. Lech Kaczyński dotrzymał słowa. Był silnym prezydentem (z perspektywy czasu jeszcze lepiej widać, jak bardzo), a jego tragicznie przerwana kadencja walką o uczciwość zarówno w wymiarze wewnętrznym, jak i międzynarodowym. Jego kontrkandydat z kampanijnych billboardów przedstawiał się jako „człowiek z zasadami". Wtedy nie wiadomo było, o jakie zasady chodzi. Boleśnie przekonaliśmy się o tym, gdy dwa lata później zaczął je wdrażać.

Tusk przegrał tamte wybory, co stało się bezpośrednim powodem storpedowania rozmów koalicyjnych Platformy Obywatelskiej z Prawem i Sprawiedliwością i pogrzebało szansę na utworzenie rządu Jana Rokity (wtedy był politykiem PO), choć wybory parlamentarne wygrało PiS.

Podwójna porażka Tuska – zwłaszcza ta osobista – zostawiła w nim trwały ślad. Stąd m.in. tak bezceremonialne traktowanie Lecha Kaczyńskiego w czasie jego prezydentury. Zabranie mu samolotu, by „nie przeszkadzał" premierowi w czasie szczytu w Brukseli, było tylko etapem w eskalacyjnej drabinie deprecjonowania pierwszego obywatela. Jej szczytem było spiskowanie wespół z Putinem, by wykluczyć głowę państwa z uroczystości katyńskich w 70. rocznicę ludobójstwa NKWD na polskich oficerach. Udało się aż za dobrze, bo na wyraźne żądanie Rosjan wizyty rocznicowe rozdzielono, zaś trzy dni po katyńskim spotkaniu Tuska i Putina Lech Kaczyński w ogóle przestał przeszkadzać.

Im więcej czasu mija od tragicznej śmierci prezydenta, tym lepiej widać, że obaj panowie to przeciwieństwa. Najjaskrawiej dostrzeżemy to w polityce zagranicznej. Gdy Lech Kaczyński ostrzegał przed uzależnianiem się w sferze energetyki od Moskwy, Donald Tusk parł do nowej umowy gazowej z Rosją, skrajnie niekorzystnej dla naszego kraju. Gdy Tusk chował ogon pod siebie i zostawiał problem rosyjskiej agresji na Gruzję swoim patronom z Europy Zachodniej, Kaczyński organizował spektakularny wyjazd pięciu prezydentów regionu do Tbilisi, aby zatrzymać czołgi Putina. Gdy na Westerplatte prezydent wypominał rosyjskiemu mordercy neoimperializm, Tusk za parę chwil prowadził rozmowy resetowe z byłym pułkownikiem KGB, spieszył do otwarcia małego ruchu granicznego z obwodem królewieckim, współpracy w dziedzinie służb specjalnych czy torował Rosji drogę do umowy gospodarczej z Unią Europejską. Podobnie w kierunku zachodnim: gdy Lech Kaczyński budował polską politykę historyczną i domagał się wzięcia realnej odpowiedzialności Niemiec za zbrodnie II wojny światowej (to on gdy piastował funkcję prezydenta stolicy zarządził sporządzenie bilansu strat wojennych Warszawy), Donald Tusk peregrynował po salonach naszych zachodnich sąsiadów, odbierając liczne nagrody, przyznawane przecież za proniemiecką politykę.

Po 10 kwietnia lider Platformy mógł po raz pierwszy i ostatni naprawdę stać się mężem stanu. Mógł choć trochę wymazać krzywdy wyrządzone prezydentowi, a jednocześnie wykreować się na twardego polityka, który broni fundamentalnych interesów kraju. Mógł po prostu zachować się przyzwoicie.

Wybrał jednak hańbę. Sam zamilkł na wiele dni (jego pierwsze

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl b044129411

publiczne wystąpienie miało miejsce po 18 dniach!), odrzucił ofertę międzynarodowej pomocy, by nie być rozegranym przez Rosję, oddał Putinowi wszystkie narzędzia do prowadzenia śledztwa (*de facto* do jego skręcania i zaciemniania obrazu sprawy), a do Moskwy wysłał swoją najbliższą współpracownicę, która wsławiła się kłamstwami na temat rzekomego udziału polskich medyków w sekcjach zwłok, dopuszczeniem do zbezczeszczenia ciał ofiar (Rosjanom „zdarzyło się" zaszyć serce w nodze śp. Zbigniewa Wassermanna i peta w płucach śp. prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego, zostawić mnóstwo śmieci w niemal każdej trumnie, a nade wszystko pomieszać szczątki ofiar) i pozwoleniem zalutowania trumien, by ruskie barbarzyństwo nigdy nie wyszło na jaw.

Tyleż szybkie, co bezprawne (bez wymaganych przepisami dokumentów sekcyjnych) przeprowadzenie pogrzebów posłużyło władzy za dowód na tezę o zdanym przez państwo egzaminie.

A to przecież nie koniec, bo mieliśmy wielomiesięczny festiwal zakłamywania tej tragedii, z olbrzymią rolą sługusów Tuska legitymujących się kartami prasowymi. Fake newsy TVN24 o słowach „jak nie wyląduję, to mnie zabiją" czy „Gazety Wyborczej" o rzekomej kłótni przed wylotem gen. Błasika z pilotem Arkadiuszem Protasiukiem to tylko szczyt listy śmierdzących Kremlem bzdur, mających obarczyć nieżyjących odpowiedzialnością za największą tragedię po II wojnie światowej. Do dziś bywa powtarzana teza (uwielbia do niej wracać płatny kapuś SB o pseudonimie „Bolek") o naciskach nawet ze strony Jarosława Kaczyńskiego, który w rozmowie telefonicznej miał przekonywać brata, by za wszelką cenę zmusił pilotów do lądowania. Ten idiotyzm wielokrotnie dementowała prokuratura (jeszcze za pierwszych rządów PO-PSL), komisja Millera, a także Maciej Lasek – kiedyś szef zespołu propagandowego do podtrzymywania kłamstw smoleńskich, a dziś wiceminister oddelegowany na odcinek zabicia projektu CPK.

To wszystko idzie na konto Donalda Tuska. Bo to on miał w ręku wszystkie karty, by nie dopuścić do takich wydarzeń. Jednym zdaniem mógł zamknąć usta pismakom powtarzającym ruskie brednie, uhonorować zasłużonego prezydenta oraz towarzyszącą mu delegację należnym pomnikiem, a przede wszystkim pilnować podmiotowości Polski w obliczu tego dramatu.

Wolał jednak kontynuować grę przeciwko nieżyjącemu już prezydentowi rozpoczętą z Putinem wiele tygodni przed Smoleńskiem i zezwolić na dehumanizowanie każdego, kto wyrażał wątpliwości wobec oficjalnej wersji przyczyn katastrofy, a przede wszystkim powtarzać sowiecką linię narracyjną o ofiarach, które same są sobie winne – tu w awangardzie zawsze był jego szef dyplomacji Radosław Sikorski.

HUNWEJBINI POD KRZYŻEM

Nie sposób zapomnieć o lecie 2010 r. i spustoszeniu, jakie w naszym społeczeństwie wywołała wojna o zakłamanie dramatu 10 kwietnia. Ogień podłożył świeżo zaprzysiężony prezydent Bronisław Komorowski, postulując przeniesienie krzyża postawionego przez harcerzy przed pałacem przy Krakowskim Przedmieściu. Był on swoistym apelem o postawienie pomnika w hołdzie ofiarom katastrofy właśnie w tym miejscu, spontanicznie wybranym przez Polaków w pierwszych godzinach narodowej żałoby.

Władze Warszawy oraz centralne za wszelką cenę nie chciały do tego dopuścić. Straż Miejska szybko sprzątała więc świeżo zapalone tam znicze i ułożone kwiaty, rozpoczęto też typowo esbecką operację prowokowania i zohydzania ludzi, którzy bronili tej idei. Modlące się osoby portretowano jako zasługujących na publiczny pręgierz ciemnogrodzian. Dominik Taras, człowiek powiązany z uosobieniem chamstwa w polityce – Januszem Palikotem – w sierpniu 2010 r. zorganizował nocną manifestację, w czasie której pijany tłum drwił ze śmierci prezydenta, bawił się krzyżem zrobionym z puszek po piwie Lech, wyzywał modlących się przed krzyżem ludzi.

Dziś wiemy, że wśród tzw. obrońców krzyża (grupki tygodniami wręcz mieszkającej przed pałacem prezydenckim) byli podstawieni prowokatorzy, którzy mieli kompromitować to środowisko. Po latach tygodnik „Sieci" ujawnił, jak najgłośniejszy z nich, Andrzej Hadacz, działał na polityczne zamówienie osób z otoczenia Bronisława Komorowskiego w kampanii prezydenckiej z 2015 r. i próbował doprowadzić do bijatyki w siedzibie TVP z przedstawicielami sztabu Andrzeja Dudy.

Hadacz, Taras, Szczurek – niewiele ich różni. Gdyby chcieć ich kupować w sklepie z hejterami, leżeliby na tej samej półce.

ZADYMIARZ Z ZAWODU

Ten ostatni dobrze żyje ze swoich zadym. Ma dzięki nim sławę i... pieniądze.

W październiku 2020 r. był jednym z zatrzymanych w czasie wulgarnego protestu przed domem Jarosława Kaczyńskiego. Sąd przyznał mu 10 tys. zł za tę krzywdę.

Gdy został zatrzymany po wbiegnięciu na pomnik smoleński w lipcu 2021 r. (nie stosował się do poleceń policji, musiał być zdjęty siłą i zawieziony na komisariat do dalszych czynności wyjaśniających), sąd był mniej hojny – przyznał 4 tys. zł odszkodowania.

10 listopada 2022 r. – kolejna miesięcznica na pl. Piłsudskiego, kolejne zatrzymanie i kolejne odszkodowanie – znów 10 tys. zł.

Polska stała się krajem, w którym to chamscy chuligani dostają nagrody. To była swoista forma finansowania antyrządowych bojówek.

W lewicowo-liberalnych mediach Szczurek jest nazywany „działaczem", „aktywistą prodemokratycznym", a nawet „bohaterem". Bardzo go to łechce. Uwierzył w swój heroizm. Już 3,5 roku temu oko.press zamieściło pełne zachwytów podsumowanie jego walki z PiS. I wyliczało przypadki ścigania go przez państwo za rozmaite występki: 55 postępowań sądowych, 4 pozwy, 1 sprawa administracyjna, 2 kary z sanepidu (10 tys. zł plus 12,5 tys. zł), 9 spraw wykroczeniowych (w toku). „Moim zdaniem wszystkiego miałem już ponad setkę" – mówił z dumą.

Jedne sprawy wygrywał, innych nie (do zapłaty miał niskie grzywny). Dziś ciężko zweryfikować, jaki jest jego aktualny bilans. Zwłaszcza że Szczurek prowadzi swoją hejterską uliczną krucjatę antypisowską w całej Polsce. Jego hagiografowie wyliczali: „Za ak-

eprasa.pl b044129411

Fot. ZBYSZEK KACZMAREK/EAST NEWS

tywność prodemokratyczną instytucje państwowe ścigają go głównie w Warszawie, ale także w innych miastach Polski: Wejherowie, Piotrkowie Trybunalskim, Końskich, Krakowie, Kielcach, Skierniewicach, Siedlcach, Pruszkowie, Kutnie".

To pokazuje sposób działania Szczurka i jego kompanów, którzy stworzyli swoistą ekipę „turystyczną" jeżdżącą po kraju za politykami PiS i robiącą wszędzie chlew. Nie mówimy bowiem o mieszczącym się w jakichkolwiek granicach kultury wyrażaniu poglądów, lecz furiackich wrzaskach, knajackich odzywkach, sprawiających wrażenie co najmniej braku elementarnej stabilności psychicznej, no i stałej poetyce – tak plugawej, że przy niej stadionowe przyśpiewki piłkarskie jawią się niewinną poezją.

Jego życie to nie tylko „kontrmiesięcznice", które dały mu największą sławę. Był jednym z głośniejszych uczestników różnorakich spędów KOD, Obywateli RP, wstawiał się za wyrzuconą z Polski, a powiązaną z postsowieckimi oligarchami Ludmiłą Kozłowską, bluzgał przed siedzibą TVP. Już w 2018 r. podczas warszawskiej kampanii prezydenckiej chodził krok w krok za Patrykiem Jakim i zakłócał jego spotkania. Później niczym paw sumował, że poświęcił na to ok. 100 godzin, co oznacza, że przez blisko 2 godziny każdego dnia uprzykrzał życie kandydatowi PiS.

Co ciekawe w czasie akcji w Najwyższej Izbie Kontroli próbowali zainscenizować tam dom publiczny w nawiązaniu do afery z kamienicą należącą do Mariana Banasia, w której można było wynajmować pokoje na godziny. Dziś Banaś może być jednym z jego idoli.

Tam, gdzie pojawia się Szczurek, można mieć pewność, że będzie agresja, wulgarność, przepychanki i najprawdopodobniej będzie interweniować policja.

W marcu Lotna Brygada Opozycji (bo tak się nazywało komando Szczurka) ogłosiła zakończenie działalności. Teraz jej członkowie „działają na własną rękę", co *de facto* nie zmienia niczego. Ci sami ludzie robią to samo, tylko tym razem atakują... opozycję. No i są za to wynoszeni do rangi autorytetów.

> Gruzini stawiają Lechowi Kaczyńskiemu pomniki i nazywają jego imieniem ulice, bo wiedzą, że był najodważniejszym przywódcą w Europie, który rozumiał znaczenie wolności i zagrożenie, jakie niosą dlań obecne władze Rosji. W Polsce pomniki chcą burzyć

MŚCIWA KANALIA

W rzeczywistości mamy tu do czynienia z promowaniem przez zbrojne ramię medialne Tuska sowieckiego bandytyzmu. Czymże innym jest bowiem uporczywe oskarżanie śp. prezydenta o spowodowanie katastrofy, z wykorzystaniem skrajnie chamskich narzędzi i najbardziej prymitywnych postaci?

Powtórzmy: bez przyzwolenia premiera nie byłoby możliwe przywracanie kłamstwa smoleńskiego.

Lech Kaczyński zginął za obronę Polski. I nie trzeba nawet uważać, że 10 kwietnia doszło do zamachu, by się podpisać pod tą tezą. Wszak gdyby prezydent nie prowadził antyrosyjskiej – a więc propolskiej – polityki, nie trzeba by było rozdzielać wizyt, bo jego obecność nie kłułaby Putina w oczy. Zresztą dziś już nawet za granicą mało kto wierzy w zwykłą katastrofę przed 14 laty. Wołodymyr Zełenski mówi wprost, że Lech Kaczyński zginął z rąk kremlowskich zabójców. I nikt nie oponuje, bo cały świat widzi, że morderca z Kremla zasługuje na nową Norymbergę.

Gruzini stawiają Kaczyńskiemu pomniki i nazywają jego imieniem ulice, bo wiedzą, że był najodważniejszym przywódcą w Europie, który rozumiał znaczenie wolności i zagrożenie, jakie niosą dlań obecne władze Rosji. W Polsce pomniki chcą burzyć, choć przecież powinny stać w każdym mieście, by przypominać o dzielności i ofierze śp. prezydenta.

Czy Donald Tusk jest aż tak mściwą kanalią? Takich właśnie słów używali Ryszard Kalisz i Aleksander Kwaśniewski, rozprawiając przed laty o szefie PO. Nie ma powodów, by kłócić się z nimi w tej sprawie.

Widząc zaś, z jaką obsesją, pogardą dla prawa oraz zasad ukochanej przez Tuska demokracji liberalnej próbuje on anihilować Prawo i Sprawiedliwość, trzeba zakładać, że premier chce odebrać PiS nie tylko wolność wielu członków partii, subwencję oraz prawo do funkcjonowania na scenie politycznej, lecz także dobrą pamięć o Lechu Kaczyńskim.

Ale to mu się nie uda. Bo postać Lecha Kaczyńskiego rośnie z upływem czasu i coraz szerszą geopolityczną perspektywą jego polityki. Zaś Donalda Tuska wraz z jego kolejnymi zamordystycznymi krokami karleje.

eprasa.pl b044129411

Za rządów PO zawsze brakuje pieniędzy

Bardzo niepokojąca jest deklaracja Donalda Tuska, że Polska przystąpi do niemieckiej inicjatywy European Sky Shield. To konkurencyjny pomysł wobec naszej wielowarstwowej obrony przeciwlotniczej budowanej z USA i Wielką Brytanią. Trzeba też pamiętać, że Francja, Włochy, Hiszpania, Portugalia nie wyraziły zainteresowania niemiecką inicjatywą

Z Mariuszem Błaszczakiem, wiceprezesem Prawa i Sprawiedliwości, posłem, byłym ministrem obrony narodowej, rozmawia Piotr Gursztyn

„Wielka inwestycja w polskie bezpieczeństwo" – to słowa obecnego szefa MON Władysława Kosiniaka-Kamysza odnośnie do umowy na produkcję w Polsce wyrzutni do systemu Patriot. Czyli dobrze dzieje się dzisiaj w resorcie obrony i w ogóle wojsku?

Mariusz Błaszczak: Mówimy o umowie, którą podpisaliśmy we wrześniu 2023 r. To porozumienie w sprawie dostarczenia kolejnych sześciu baterii Patriot wraz z pokaźnym zapasem rakiet PAC-3 MSE. Dwie pierwsze baterie zamówiliśmy w 2018 r. Te są już wpięte w system obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej. Mój następca mówi o produkcji wyrzutni w Hucie Stalowa Wola, ale to nic nowego, bo wyrzutnie do poprzednich również wyprodukowała HSW. Samo zawarcie umowy oczywiście cieszy, ale niepokoi, że zajęło to tak dużo czasu, i to mimo że program budowy obrony przeciwrakietowej oraz przeciwlotniczej nie powinien budzić żadnych wątpliwości. Niestety ciągłe audyty i kontrole w MON, których głównym celem jest polityczny odwet, negatywnie wpływają na modernizację wojska. Dzieje się to mimo trwającej wojny na Ukrainie. Dodatkowo bardzo niepokojąca jest deklaracja Donalda Tuska, że Polska przystąpi do niemieckiej inicjatywy European Sky Shield. To konkurencyjny pomysł wobec naszej wielowarstwowej obrony przeciwlotniczej budowanej we współpracy z USA i Wielką Brytanią.

Co jest złego w European Sky Shield? Co dwie tarcze, to nie jedna.

To tak nie działa, bo to projekt, który istnieje tylko na papierze. To inicjatywa kanclerza Niemiec Olafa Scholza, bardzo świeża, zaproponowana w sierpniu 2022 r. Zakłada ona koordynację zakupów sprzętu wojskowego do obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej. Jednak dotychczas nie dostrzegam, aby mimo licznych publicznych deklaracji ten pomysł przełożył się na konkretne działania, a tym samym jakieś wymierne korzyści dla Polski. Ponadto nie stać nas na dwie tak kosztowne inicjatywy. Wreszcie lepiej mieć taki system we własnym ręku, a nie za każdym razem prosić innych, aby zadbali o nasze bezpieczeństwo. A my jesteśmy o wiele bardziej zaawansowani w budowie systemu obrony przeciwlotniczej i powietrznej niż Niemcy oraz inne kraje europejskie. Przełomem było podpisanie przeze mnie w 2018 r. umowy z USA na pierwszy etap systemu Wisła, czyli wspomniane pierwsze baterie Patriot wraz z amunicją. To symboliczny początek budowy polskiego systemu zintegrowanej obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej we wszystkich jego warstwach (Wisła, Pilica, Narew). Z kolei we wrześniu ub.r. podpisałem umowę na realizację drugiego etapu Wisły – pozyskanie sześciu kolejnych baterii systemu Patriot. Co istotne, Polska pozyskała ten system razem z najnowocześniejszym systemem zarządzania polem walki (IBCS), stając się jego drugim użytkownikiem po USA. Dzięki niemu mamy zapewnioną nie tylko najnowocześniejszą odpowiedź na obecne zagrożenia, lecz także interoperacyjność z innymi armiami NATO, a w szczególności z USA. Nadzwyczaj ważne były też umowy na projekty na systemy rakietowe krótkiego zasięgu (Narew – 1 tys. wyrzutni plus transfer technologii), a także bardzo krótkiego zasięgu (Pilica). Podsumowując sprawę ESS, trzeba pamiętać, że również tak ważne kraje członkowskie NATO, jak Francja, Włochy, Hiszpania oraz Portugalia nie wyraziły zainteresowania niemiecką inicjatywą, decydując się na rozwijanie własnych rozwiązań.

eprasa.pl b044129411

Kilka dni wcześniej MON pochwaliło się również podpisaniem umów offsetowych na zakup śmigłowców Apache.

W tym przypadku również niezrozumiałe jest opóźnienie w podpisaniu kontraktu na nowe śmigłowce. Przypominam, że pozytywna odpowiedź Departamentu Stanu USA na moje zapytanie ofertowe została udzielona już w sierpniu 2023 r., a więc rok temu. Dzięki moim bardzo dobrym osobistym relacjom z Lloydem Austinem, sekretarzem obrony USA, udało się wynegocjować udostępnienie Polsce używanych śmigłowców Apache w okresie przejściowym, a polscy piloci rozpoczęli szkolenie w USA. Pierwsza faza szkolenia już się zakończyła, piloci wrócili do kraju, a umowa dopiero jest zawierana. Potrzebujemy tych maszyn. To znakomita, bardzo silna broń, świetnie współpracująca z czołgami Abrams. Miałem możliwość poznać ten system podczas wizyty w Fort Knox, gdzie znajduje się dowództwo V Korpusu wojsk lądowych USA, których żołnierze na stałe stacjonują w Polsce od 2022 r.

MON odpowiada na zarzuty opozycji i mediów mówiące o cięciach wydatków na armię. Twierdzi, że są one fałszywe i że wydatki mają wzrosnąć o 10 proc.

Wzrastają koszty utrzymania ze względu na podwyżki cen energii, gazu, wody, żywności, więc musi rosnąć budżet. Kluczowe są jednak wydatki na modernizację, dlatego należy rozróżnić nakłady na obronność od wydatków na tzw. CPR, czyli centralne plany rzeczowe, a więc modernizację techniczną, zakup amunicji oraz środków bojowych i budowę infrastruktury dla wojska. Nominalnie wydatki na obronność zapisane w budżecie wzrosną zapewne w stosunku do br. Jak jednak wynika z pisma Sztabu Generalnego, zagrożone są CPR, a więc nakłady, które decydują o rozwoju wojska. Z dochodzących do mnie informacji wynika, że mimo

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa 5044129 11

deklaracji kierownictwa MON i zabiegów księgowych, realne nakłady na te cele mogą być niższe niż planowane przez rząd Prawa i Sprawiedliwości. Ponadto widać naciski na ministra obrony, aby z budżetu resortu finansować nakłady na cele niezwiązane bezpośrednio z siłami zbrojnymi. Przykładem jest projekt ustawy o ochronie ludności i obronie cywilnej, który zakłada finansowanie obrony cywilnej z budżetu MON w wysokości co najmniej 5 mld zł rocznie. Obawiam się też powtórki z czasów pierwszych rządów PO-PSL, kiedy resort obrony zwracał do budżetu państwa niewykorzystane środki finansowe.

Czy jest dalszy ciąg afery z wyciekiem pisma Sztabu Generalnego ostrzegającego przed cięciem CPR?

Dobrze, że dokument Sztabu Generalnego został upubliczniony. Jak wspomniałem, z moich informacji wynika, że wydatki na centralne plany rzeczowe są zagrożone. Będziemy pilnować tej sprawy m.in. w ramach Sejmowej Komisji Obrony Narodowej oraz kontroli poselskich. Skierowałem również interpelację w tej kwestii do ministra obrony. Ciągle czekam na odpowiedź.

O co chodzi z krytykowanym przez pana ograniczeniem liczby limitów etatowych dla żołnierzy dobrowolnej zasadniczej służby wojskowej? MON tłumaczy, że jest to zgodne z wytycznymi powstałymi w ministerstwie za rządów PiS.

Niestety potwierdziły się moje informacje o tym, że brakuje etatów dla żołnierzy odbywających dobrowolną zasadniczą służbę wojskową. Po jej zakończeniu chcą przejść do służby zawodowej, ale nie ma dla nich stanowisk w jednostkach. Rekruci czują się oszukani, a armia nie rozwija się w takim stopniu, w jakim by mogła. Rzeczywiście, obecne kierownictwo MON powołuje się na limity określone rzekomo jeszcze w ub.r. Po ośmiu miesiącach rządów argumenty te nie brzmią przekonująco, zwłaszcza że gdy byłem ministrem, wielokrotnie zwiększałem limity w jednostkach, tak aby zagospodarować wszystkich zainteresowanych służbą wojskową. Braki etatów, zwłaszcza mimo opracowanych przez PiS planów budowy nowych jednostek wojskowych, naprawdę budzą duże wątpliwości. Niestety okazuje się, że istotny potencjał rekrutacji zostanie zmarnowany. Chciałbym zauważyć, że byłem wielokrotnie krytykowany za plany tworzenia 300-tys. wojska. Powoływano się na brak możliwości pozyskania kandydatów. Okazuje się jednak, że oni są, trzeba tylko stworzyć dla nich warunki służby. Obawiam się, że jest to spowodowane brakami budżetowymi. O ile w deklaracjach słyszę, że obecne kierownictwo MON podtrzymuje budowę piątej dywizji, o tyle na temat kolejnej, szóstej, z dowództwem w Nowym Mieście nad Pilicą, zapanowało milczenie.

> Potwierdziły się moje informacje o tym, że brakuje etatów dla żołnierzy odbywających dobrowolną zasadniczą służbę wojskową. Po jej zakończeniu chcą przejść do służby zawodowej, ale nie ma dla nich stanowisk w jednostkach. Rekruci czują się oszukani, a armia się nie rozwija

Czy są jakieś sygnały spoza Polski, od naszych sojuszników, jak oceniane są działania obecnego kierownictwa MON?

Sposób dokonywania zmian przez kierownictwo MON w strukturach NATO budzi ogromne wątpliwości. To sytuacje bezprecedensowe w historii naszego członkostwa w Sojuszu. Nie buduje to zaufania do naszego kraju ani nie sprzyja budowaniu potencjału kadrowego w NATO adekwatnego do naszych nakładów finansowych na obronność.

Czy rzeczywiście konieczny jest tak wielki wysiłek finansowy, jeśli chodzi o wydatki na armię? Zwłaszcza w obecnej sytuacji budżetowej i gospodarczej? Wydarzenia na froncie wojny ukraińsko-rosyjskiej, zwłaszcza atak wojsk ukraińskich w okolicach Kurska, mogą sugerować, że zagrożenie rosyjskie jest przeceniane.

Tak, jest konieczny, żeby realnie odstraszyć agresora i zapewnić bezpieczeństwo. Wojna na Ukrainie cały czas potwierdza, że wydatki na obronność muszą być priorytetem. Nieprzewidywalna, agresywna polityka Federacji Rosyjskiej jest faktem, który od dawna był dostrzegalny przez Prawo i Sprawiedliwość. Mimo sankcji gospodarczych Moskwa nadal ma potencjał do prowadzenia wojny, a na wielu obszarach mimo zaangażowania na Ukrainie jest w stanie go nawet rozbudować. Jedynie silne wojsko jest gwarantem tego, że nie staniemy się obiektem szantażu politycznego czy w negatywnym scenariuszu kolejnej rosyjskiej agresji. Co więcej, budowa silnego wojska to budowa również potencjału całego państwa. Trzeba mieć świadomość procesów zachodzących w Unii Europejskiej, które z grubsza polegają na wypychaniu USA z Europy. A to grozi resetem II, kolejnym porozumieniem Berlina z Moskwą, niezwykle groźnym, jak Nord Stream i inne z dalszej historii.

Wracając do spraw budżetowych. Podnoszony jest zarzut, że to rozdawnictwo PiS i gigantomania sprawiły, iż obecny rząd nie może kontynuować wydatków na wojsko na wielką skalę. Nie może też kontynuować projektów infrastrukturalnych, twierdząc przy tym, że były nierealne, jak np. CPK ze szprychami.

eprasa.pl b044129411

Absolutna nieprawda! Za naszych rządów były pieniądze. Za rządów PO zawsze ich brakuje, więc próbują podnosić wiek emerytalny, o czym znowu słychać, albo drenują kieszenie Polaków podwyżkami lub ogłaszają zwolnienia grupowe, jak w PKP Cargo. Na giełdach sytuacja jest zła, zbliża się kryzys, dlatego takie inwestycje strategiczne jak CPK czy atom powinny być realizowane. Tak się nie stanie, bo rząd Tuska nie będzie prowadził inwestycji konkurencyjnych wobec Niemiec. Ale po rządach PiS Polacy nie zgodzą się na rolę taniej siły roboczej, więc jestem przekonany, że po upadku Tuska te inwestycje powstaną.

„Układ zamknięty" i „100 mld ukradzionych" za rządów prawicy – to bardzo mocna kampania ze strony Donalda Tuska. Czy PiS ma na to jakąś przekonującą odpowiedź?

Pieniędzy nie ma i nie będzie – to jest prawdziwy przekaz Tuska, stąd te niedorzeczne wytłumaczenia. Stąd też nacisk na Państwową Komisję Wyborczą, żeby odebrać finansowanie PiS i zniszczyć realną opozycję. Dziś Polską kieruje fatalny rząd, który nie rozwiązuje problemów, więc przesłania swą nieudolność atakiem. Oni zdają sobie sprawę, że za trzy lata nie wygrają w uczciwych wyborach.

1 mln gwoździ wbijanych w 1 mln desek. Propagandowo to działa. Setki tysięcy ludzi, którzy zawdzięczają swoje bezpieczeństwo ekonomiczne polityce gospodarczej PiS albo transferom społecznym to jednocześnie zajadli przeciwnicy prawicy.

Może muszą przekonać się osobiście, sprawdzając stan swoich portfeli. Oby nie było za późno, bo ekipa rządząca chce wepchnąć Polskę do strefy euro. A to znaczy ograbienie większości Polaków i zatrzymanie rozwoju. Dlatego grożą atakiem na szefa NBP prof. Adama Glapińskiego. Kolejna sprawa to pakt migracyjny. Nie bez powodu Tusk uroczyście unieważnił referendum w tej sprawie. Tylko PiS daje gwarancję, że się nie ugnie. A Niemcy już dzisiaj podrzucają nielegalnych migrantów.

Działacze PO otwarcie, bez czekania na wyroki sądowe, mówią, że wielu polityków PiS spędzi w więzieniach długi czas. Co wy na to?

Będziemy dochodzili sprawiedliwości. Nie ugniemy się. Mnie grożą zarzutami za ujawnienie historycznych dokumentów dotyczących oddania terytorium do Wisły na pastwę Rosji. Po pierwsze, ludzie o to pytali. Po drugie, to rząd PiS wprowadził zasadę obrony każdego skrawka polskiej ziemi, więc te dokumenty były już nieaktualne. A po trzecie, po ich ujawnieniu nie mogą już do nich wrócić, a więc nie mogą zaplanować oddania Rosji niemal połowy naszego terytorium.

> Widać naciski na ministra obrony, aby z budżetu resortu finansować nakłady na cele niezwiązane bezpośrednio z siłami zbrojnymi. Przykładem jest projekt ustawy o ochronie ludności i obronie cywilnej, który zakłada finansowanie obrony cywilnej z budżetu MON w wysokości co najmniej 5 mld zł rocznie

Traktujecie te zapowiedzi jako medialne pohukiwania czy realne groźby?

Uwięzili byłych ministrów mimo aktu łaski prezydenta. W Wielki Czwartek, a więc święto kapłańskie, wsadzili do więzienia księdza, znęcali się nad przetrzymywanymi, co wyczerpuje znamiona tortur według dzisiejszej definicji. Siłą przejęli TVP, po prostu wyłączyli sygnał, siłą przejęli prokuraturę, nie szanują prezydenta RP. Nie wygląda to dobrze, ale jestem pewien, że Polacy nie dadzą się zastraszyć.

Czy sprawa Marcina Romanowskiego nie ukazała paradoksu, że obrońcą PiS będą sędziowie, z którymi Zjednoczona Prawica „wojowała" za swoich rządów? Jak się zachowają sądy?

To tylko pewna grupa sędziów nie uznawała władzy parlamentu, rządu i prezydenta. W większości sędziowie zdają sobie sprawę, iż żadna władza nie trwa wiecznie.

Czego się spodziewacie pod względem zmian w polityce, nastrojów społecznych, zmian poparcia w kolejnych miesiącach? Kiedy mogą nastąpić?

Na zmianę nastrojów społecznych trzeba czasu. Rząd Tuska nie potrafi zadbać o rozwój Polski i dobrobyt Polaków. Partie polityczne wchodzące w skład koalicji coraz wyraźniej zdają sobie sprawę, że z Tuskiem więcej tracą, niż zyskują. Niewątpliwie bardzo ważne będą wybory prezydenckie.

Co one przyniosą? Co z kandydatem PiS? To pytanie dotyczy też pana jako wskazanego przez Jarosława Kaczyńskiego.

Powiem tylko tyle, że pracujemy nad wyłonieniem najlepszego kandydata. Jest z kogo wybierać, bo ławkę mamy dość długą.

Na jakich warunkach odbędą się wybory prezydenckie? Czy PiS udźwignie finansowy ciężar kampanii w przypadku negatywnej decyzji PKW?

Wszystko wskazuje na to, że w ten sposób – podkreślmy, nieuczciwy – rządzący próbują wpłynąć na wynik wyborów. Członkowie PKW muszą pamiętać, że jeśli wyjdą poza ramy prawne, w których działają, narażą się na konsekwencje. Mam nadzieję, że nie ulegną presji rządzących i nie będą podejmowali decyzji sprzecznych z ponaddwudziestoletnim orzecznictwem w tej dziedzinie.

eprasa.pl b044129411

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Ministerstwo cofania w rozwoju

Ministerstwo Klimatu jest niedoceniane przez większość opinii publicznej. To poważny błąd. Decyzje podejmowane w tym resorcie mogą bowiem wywrócić polską gospodarkę do góry nogami i zaważyć nad przyszłością każdego z nas

Ministerstwo Klimatu i Środowiska, bo tak brzmi pełna nazwa resortu, w ramach umowy koalicyjnej zostało przekazane w ręce Polski 2050. Główną rolę odgrywają w nim dwie kobiety – pełniąca funkcję „ministry" Paulina Hennig-Kloska oraz reprezentująca Zielonych Urszula Zielińska, która objęła stanowisko sekretarza stanu.

RYBNA HISTERIA

Szczególna pozycja „wiceministry" Zielińskiej wynika być może z faktu, że w odróżnieniu od pozostałych sześciu sekretarzy i podsekretarzy stanu jest bardzo aktywna medialnie. Ma przy tym osobliwą łatwość łączenia różnych zjawisk w dość dowolne związki przyczynowo-skutkowe. Ostatnio np. pochyliła się nad losem śniętych ryb w Odrze, co nie powinno dziwić, jest wszak działaczką ekologiczną po ukończonych studiach z zakresu marketingu i zarządzania.

Jeszcze dwa lata temu przekonywano nas, że przyczyną śnięcia ryb jest rtęć, którą wlewano do Odry za przyzwoleniem, a może nawet z polecenia „pisowskiego reżimu". Uwierzył w to nawet Konrad Piasecki z TVN24, który oczekiwał śmiercionośnej fali rtęci w Szczecinie, a osoby takie jak ówczesna marszałek województwa lubuskiego Elżbieta Polak zrobiły na rybnej histerii wielką karierę polityczną.

Tymczasem w „uśmiechniętej Polsce" ryby nadal zdychają. Z wyjaśnieniem tej dziwnej sytuacji pośpieszyła właśnie „wiceministra" Zielińska, która winą za śnięcie ryb obarczyła kopalnie węgla zarzucające do Odry zasoloną wodę. W swojej wypowiedzi z 7 sierpnia wskazała konkretnie kopalnię Bobrek, która ma zostać zamknięta już w przyszłym roku, choć według wcześniejszych planów miała działać do 2040 r.

„Kopalnia Bobrek. Wojewódzki Urząd Górniczy już nakazał jej zamknięcie wcześniej, niż planowano, z końcem przyszłego roku. To zła wiadomość dla wydobycia, dla pracowników. Natomiast z punktu widzenia Odry to oznacza zredukowanie dosyć znaczne ładunku soli" – stwierdziła „wiceministra". Mniej istotne jest to, że pomyliła nazwę urzędu (w rzeczywistości chodziło jej o Wyższy Urząd Górniczy) i że – jak można przypuszczać – bardziej martwi ją los ryb niż górników, którzy stracą pracę. Istotne jest to, że według naukowców zamknięcie kopalni niczego nie zmieni. Bo po pierwsze, nawet po zakończeniu wydobycia będzie ona jeszcze przez wiele lat spuszczała wodę, a po drugie, ryby giną wskutek rozkwitu alg, na co wpływ ma znacznie więcej czynników, przede wszystkim pogoda. Nie pomoże więc nawet zapowiedziane przez „wiceministrę" Zielińską wpuszczenie – w ramach „eksperymentu badawczego" – środka czyszczącego akwaria do jednego z dopływów Odry.

Wszystko to może brzmieć zabawnie, ale w rzeczywistości wcale takie nie jest. Bo choć „wiceministra" Zielińska naprawdę przejmuje się losem ryb, to przecież wcale nie o nie tutaj chodzi, ale o kopalnie, które obecna władza chce zamknąć, choć ciągle brakuje alternatywy dla węgla w postaci działających elektrowni jądrowych. Ryby, podobnie jak cała ekologiczna aktywność obecnego rządu, są więc jedynie pretekstem do zdławienia rozwoju Polski i wepchnięcia naszego kraju w zależność od silniejszych partnerów, przede wszystkim Niemiec.

eprasa.pl b044129411

ZAGŁADA ODRY

Pozostańmy jeszcze przy Odrze, bo właśnie na tej rzece najlepiej widać konflikt interesów pomiędzy Polską i Niemcami. Potencjalnie jest to bardzo atrakcyjny szlak żeglugowy, którym można spławiać ładunki ze Śląska, a nawet z Czech do portów w Szczecinie i Świnoujściu. Średniej wielkości barka jest w stanie wziąć na pokład 500 t ładunku, co można przeliczyć na ok. 25 ciężkich tirów. A ponieważ barki zwykle nie pływają samotnie, lecz w zestawach, liczbę tę należy pomnożyć. Zyski z transportu rzecznego są więc oczywiste: ograniczenie ruchu ciężarówek na drogach wpływa na bezpieczeństwo, ekologię, a także na koszty – bo do przewozu wielu setek ton ładunku zamiast kilkudziesięciu kierowców wystarczy kilkuosobowa załoga barki. Minusem jest prędkość, ale w przypadku ciężkich transportów, np. kruszywa, surowców, materiałów budowlanych, nie ma to aż takiego znaczenia.

W tej chwili Odra ma niską II klasę żeglowności, poprzedni rząd chciał podnieść ją do poziomu klasy III, co pozwoliłoby na ruch barek o ładowności do 700 t. To dlatego po polskiej stronie rozpoczęto modernizację zaniedbanych od dekad ostróg, czyli nasypów idących w poprzek rzeki, aby w ten sposób udrożnić i skanalizować jej nurt, a przy okazji ograniczyć ryzyko powodzi.

Plany modernizacji Odry i innych polskich rzek od kilku lat są obiektem krytyki i protestów działaczy ekologicznych, zwłaszcza tych blisko współpracujących z niemieckimi organizacjami. To właśnie one wraz z rządem Brandenburgii zaskarżyły w sądzie administracyjnym decyzję poprzedniego rządu o regulacji rzeki. W grudniu 2022 r. WSA w Warszawie nakazał wstrzymanie prac regulacyjnych, a cztery miesiące później tę decyzję podtrzymał NSA. Niemieccy ekolodzy posłużyli się tutaj pretekstem, jakim było śnięcie ryb w rzece, twierdząc, że po tamtej „katastrofie" Odra musi być „renaturalizowana", a wszelkie dalsze prace grożą rzekomo kolejną zagładą życia w rzece. Są jednak łaskawi i co do zasady nie sprzeciwiają się żegludze na Odrze, ale tylko pod warunkiem, że będą to małe, płytkie jednostki. Czyli takie, którymi nie da się nic transportować.

W podobnym tonie wypowiada się „wiceministra" Zielińska. Jej zdaniem barki to „technika z lat 70.". „Transport rzeczny jest dzisiaj kompletnie nieopłacalny. Są inne środki transportu" – przekonywała pod koniec lipca na antenie radiowej Jedynki. „Największy problem z Odrą jest taki, że tam brakuje rybom wody do życia" – podsumowała.

Zamiast szlaku żeglugowego na Odrze, który mógłby przynieść zyski oraz podnieść atrakcyjność portów w Szczecinie i w Świnoujściu, będziemy więc mieli „rewitalizację" rzeki i utworzenie Parku Narodowego Dolnej Odry. To zaś oznacza całkowite porzucenie planów przywrócenia żeglugi śródlądowej w Polsce. Dokładnie o to chodziło Niemcom. Ale „wiceministra" Zielińska najwyraźniej wierzy, że ratuje ryby.

eprasa b044129411

SKĄD WIEJE WIATR?

Wiele osób – zwłaszcza po prawej stronie – ma tendencję do lekceważenia ministerstwa klimatu. Być może dzieje się tak za sprawą stojących na czele resortu „ministr", które na swój specyficzny sposób wyróżniają się w tłumie urzędników rządowych. To jednak poważny błąd.

Gdy dyskutujemy o omnipotencji Unii, ubezwłasnowolnieniu Polski lub podporządkowaniu jej cudzym interesom, nasze myśli odruchowo kierują się w stronę samego Tuska lub resortów siłowych i gospodarczych. W tym kontekście ministerstwo klimatu pojawia się rzadko lub wcale. Tymczasem to właśnie ten resort pełni kluczową rolę w planach zatrzymania rozwoju Polski. Wykorzystywanie ekologii w tym celu jest bardzo sprytnym posunięciem. Przeciętnemu człowiekowi ochrona środowiska kojarzy się pozytywnie: z dbałością o przyrodę i z miłością do zwierząt. W powszechnym odczuciu wydaje się ona działaniem neutralnym politycznie i niemającym wiele wspólnego z brutalną grą interesów. Jednak ekologia nie jest neutralna światopoglądowo. Choć wyrosła ze słusznej troski o środowisko naturalne, jest dziś coraz częściej ideologicznym cepem, którym współczesna lewica zamaszyście okłada wroga. Jest również wykorzystywana jako użyteczny parawan, za którym toczy się bezwzględna walka o dostęp do rynków i wielkich zysków.

Gdy więc słyszymy o rzekomej zagładzie ryb w rzekach albo o „rewitalizacji" Odry, zawsze powinniśmy pytać, komu to służy. Czy przypadkiem nie chodzi tutaj o pozbycie się potencjalnego konkurenta? Bo zablokowanie transportu śródlądowego w Polsce i zahamowanie rozwoju polskich portów bałtyckich leży przecież w interesie Niemiec.

Pytanie, na ile mamy do czynienia ze świadomą strategią, a na ile ze zwykłym brakiem kompetencji, pojawia się także w kontekście innych działań prowadzonych przez resort klimatu. Paulina Hennig-Kloska ma wyraźną słabość do energetyki wiatrowej, co jeszcze jako posłanka pokazała podczas afery wiatrakowej, gdy zgłosiła do projektu ustawy poprawkę dopuszczającą budowę wiatraków w odległości zaledwie 300 m od zabudowań (do tej pory było to 700 m). W procedowanym teraz projekcie odległość tę ustalono na 500 m od domów oraz parków narodowych i rezerwatów. W praktyce oznacza to ułatwienia dla powstawania farm wiatrowych, a także większą liczbę wiatraków, co oczywiście jest korzystne dla producentów tych urządzeń (podczas afery wiatrakowej wskazywano tu przede wszystkim na firmę Siemens).

Podobnej determinacji brakuje „ministrze" jeśli chodzi o znacznie bardziej wydajną energetykę jądrową. W lipcu Paulina Hennig-Kloska zapowiedziała wprawdzie, że pierwsza elektrownia zostanie oddana do użytku w 2035 r., a nie w 2040 r., jak zakładało Ministerstwo Przemysłu. Mimo to nadal mamy do czynienia z odłożeniem budowy w czasie, ponieważ rząd Morawieckiego planował uruchomienie pierwszego bloku elektrowni w 2033 r. Poprzedni rząd zakładał też, że w 2032 r. miała się rozpocząć budowa drugiej elektrowni. Wygląda jednak na to, że nic z tego nie będzie. „Na tym etapie prowadzimy prace badawcze, poszukując najlepszej lokalizacji. Zwykle prace na tym etapie też są bardzo złożone, potrzebna jest też zgoda społeczna" – zamknęła temat „ministra".

Dziwne i bardzo ryzykowne są gry obecnej ekipy w kontekście tzw. transformacji energetycznej oraz Zielonego Ładu. Bez energetyki jądrowej polska gospodarka szybko stanie się niekonkurencyjna, a społeczeństwo wyda biliony złotych na opłaty emisyjne i karne podatki klimatyczne. Odwlekanie budowy elektrowni jest więc szkodnictwem popychającym Polskę ku gospodarczej zapaści i ubóstwu. Czy tu chodzi tylko o skrajną niekompetencję obecnej władzy, czy może o coś innego?

KLIMAT ZNIEWOLENIA

To samo pytanie można zadać w kwestii koncepcji tzw. lasów społecznych, z którą wyszedł wiceminister Mikołaj Dorożała. Według pomysłu przedstawionego przez resort klimatu blisko 20 proc. lasów, w większości położonych w pobliżu wielkich aglomeracji, miałoby zostać wyłączonych ze struktury Lasów Państwowych i przekazanych pod władzę organizacji ekologicznych.

Mając w pamięci stosunek ekologów choćby do korników w Puszczy Białowieskiej, można być pewnym, że lasy społeczne czeka szybka zagłada. Wyłączenie tak dużych obszarów leśnych z użytkowania gospodarczego z pewnością odbije się też na polskiej branży drzewnej, która przynosi wielomilionowe zyski budżetowi państwa i jest korzystna dla środowiska naturalnego.

„Jesteśmy za tym, aby chronić przyrodę, ale Polska jest potentatem, jeśli chodzi o produkcję drzewną i nagle, po arbitralnych decyzjach 460 tys. ludzi, którzy pracują w leśnictwie i wokół przemysłu drzewnego, może stracić pracę" – alarmował prezes Stowarzyszenia Leśników i Właścicieli Lasów Stefan Traczyk. Problem robi się coraz bardziej poważny, bo od 8 stycznia obowiązuje moratorium na wycinkę drzew, które mocno ograniczyło pozyskiwanie drewna w Polsce.

Niezależnie od tego, czy chodzi o rzeki, energetykę czy lasy, efektem takiej polityki jest tłumienie polskiej gospodarki i stopniowe wygaszanie naszej konkurencyjności. Z punktu widzenia przeciętnego Polaka oznacza to większe koszty, wzrost bezrobocia i ogólny spadek standardu życia. To będzie wielki drenaż naszych portfeli, czeka nas bowiem transfer pieniędzy na niespotykaną dotąd skalę, którymi pod pozorem walki o klimat zasilimy konta globalnych korporacji. Taka jest bowiem główna, choć skrzętnie ukrywana idea Zielonego Ładu, za którego wprowadzanie odpowiada w Polsce resort klimatu. Tym samym to ministerstwo jest kluczowym narzędziem w zaprowadzaniu nowych porządków. A właściwie nowego zniewolenia.

Gdy słyszymy o rzekomej zagładzie ryb w rzekach albo o „rewitalizacji" Odry, zawsze powinniśmy pytać, komu to służy. Czy przypadkiem nie chodzi tutaj o pozbycie się potencjalnego konkurenta?

eprasa.pl b044129411

Operacja „Sto Miliardów”

Operacja „Sto Miliardów” jest najbardziej brawurowym przedsięwzięciem z dziedziny inżynierii społecznej, jakie ktokolwiek odważył się podjąć w polskiej polityce od czasu odzyskania niepodległości. Jest też całkowicie bez precedensu w nowoczesnych dziejach polskiej, a chyba również europejskiej demokracji

JAN ROKITA

Koncept tej operacji polega na tym, aby radykalnie odmienić kształt polskiej sceny politycznej za pomocą skoordynowanego użycia zmasowanych technik manipulacji i jednoczesnego wykorzystania dyspozycyjnego aparatu państwa. Władze Rzeczypospolitej nie widzą nawet powodu, aby zbytnio ukrywać, iż aparat skarbowy, służby specjalne, prokuratura i wymiar sprawiedliwości mają być posłusznymi wykonawcami obsesyjnego planu Donalda Tuska,

Fot. Andrzej Wiktor

4129411

aby doprowadzić do wyeliminowania prawicy ze sceny polskiego życia publicznego. Czyli dokonać tego, o czym marzy większość dzisiejszych przywódców Zachodu w swoich krajach: od Bidena przez Macrona aż do Scholza. Polski premier chciałby być pierwszym, który nie tylko o tym marzy, lecz także potrafi to zrobić.

Niewykluczone, że Tusk, który z pozycji szefa rządu kieruje operacją, jest w jakiejś mierze zainspirowany polityczną sylwetką sławnego włoskiego sędziego śledczego Antonia Di Pietro, któremu niegdyś za pomocą oskarżeń o korupcję udało się doprowadzić do likwidacji aż pięciu włoskich partii sprawujących w różnych układach władzę przez dekady w ramach tzw. systemu pentapartito. Di Pietro faktycznie wywrócił włoską scenę polityczną. Ale są dwie fundamentalne różnice odróżniające jego akcję od Tuska. Włoski sędzia toczył batalię przeciw ówczesnej władzy, a sednem pomysłu polskiego premiera jest użycie aparatu państwa przeciw opozycji. No i socjotechnika, jakiej używał Di Pietro, była dziecinadą wobec brawurowego „wielkiego kłamstwa", którym bez skrupułów etycznych posługuje się dziś ekipa Tuska.

W LOGICE ZEMSTY

Polityczna geneza operacji „Sto Miliardów" jest w miarę czytelna. Od zmiany rządu w grudniu 2023 r. centralny ośrodek władzy skupiony wokół Tuska był skoncentrowany na forsowaniu tezy, iż PiS przez osiem lat niszczyło demokrację i zaprowadzało jakąś formę politycznego autorytaryzmu. W logice tej tezy mieściły się łamiące prawo operacje przejmowania mediów czy prokuratury, których nadzwyczajny charakter polegający na faktycznym zawieszaniu mocy ustaw był tłumaczony tym, iż służą one likwidacji resztek despotycznego „ancien régime'u", a takich brzydkich pozostałości w całkiem legalny sposób nie da się przecież usunąć. W tej logice miały nastąpić także aresztowania polityków opozycji, którym stawiano oskarżenia o charakterze politycznym. Tyczy się to nie tylko posłów Kamińskiego i Wąsika, którzy mieli dopuścić się nadużycia władzy, lecz także posła Romanowskiego, który (choć użyto już wobec niego argumentacji „złodziejskiej") stanął w istocie również wobec oskarżenia politycznego, bo czymże innym jest zarzut nieuprawnionego sfinansowania zakupów CBA przez resort sprawiedliwości?

Ta sama logika polityczna doprowadziła do uruchomienia trzech komisji śledczych, z których w zasadzie tylko najmniej spektakularna „komisja wizowa" miała jakoś zahaczać o kwestie łapówek. Sprawy tzw. wyborów kopertowych oraz inwigilacji izraelskim systemem Pegasus miały natomiast obnażać skryte plany zaprowadzenia w Polsce despotyzmu przez obóz Kaczyńskiego.

To wszystko nie pozostało bez wpływu na opinię publiczną, ale tak naprawdę cała ta propaganda o despotyzmie i rządach autorytarnych co najwyżej na jakiś czas mobilizowała rewanżystów w obozie Tuska, dając im pożywkę polityczną. Polityczni przeciwnicy PiS byli jednak od dawna przekonani, że obóz Kaczyńskiego jest antydemokratyczny, a na całej reszcie społeczeństwa kolejne kampanie na ten temat raczej nie robiły już większego wrażenia. Powód jest tu zresztą jasny: we współczesnych hedonistycznie zorientowanych społeczeństwach tego rodzaju czysto polityczne oskarżenia dawno już utraciły istotną nośność. I to tym bardziej że było widać, jak komisje śledcze pogrążają się w impasie, a aresztowania okazują się porażkami obozu władzy. To zresztą jest zapewne największe rozczarowanie Tuska w ciągu ośmiu miesięcy jego rządów – iż nie udało się dotąd przeprowadzić ani jednego wiarygodnego i skutecznego aresztowania polityka opozycji. Czołowi działacze PiS siedzący w kryminałach i poddawani tam represjom – to miał być przecież najważniejszy i najbardziej populistyczny akt przywracania sprawiedliwości. Cynik Tusk dobrze wie, że każdy lud jest rozmiłowany w aresztowaniach i procesach polityków.

Dlatego zobaczyliśmy to, co się wydarzyło 9 sierpnia. Tusk zaczął miotać oskarżenia o złodziejstwo polityków PiS już w trakcie kampanii wyborczej, ale wtedy robiło to raczej wrażenie werbalnej retoryki stosowanej dla wyborczej mobilizacji zwolenników. Od grudnia 2023 r. wątek ten od czasu do czasu powracał w wystąpieniach premiera, jednak zawsze były to tylko zapowiedzi odkrycia jakiejś „niebywałej i nieznanej w historii" skali oszustw finansowych popełnionych przez ludzi „ancien régime'u".

> Na zdrowy rozum ta kwota jest niewiarygodna, ale w tym koncepcie inżynierii społecznej chodzi o to, aby taka właśnie była

AKCJA Z WIELKIM ROZMACHEM

Wyzwiska Tuska, miotane zbyt często i z przesadną agresją, też powoli traciły już siłę swojego oddziaływania. Trzeba było zrobić coś, co robiłoby wrażenie wielkiego czynu, a nie tylko ustawicznych pogróżek i połajanek. Tak zrodził się niezwykły scenariusz 9 sierpnia. Musiało się zatem pojawić polityczne widowisko, sprawiające na publiczności wrażenie jakiegoś przełomowego czynu dokonanego przez Tuska. Stąd ta bardzo wschodnia z ducha maskarada zawezwania trzech podwładnych do publicznego podpisywania paktu o wspólnym i niezłomnym ściganiu zła. Paktu, który premier przedstawił w iście carskim stylu, jako „prośbę" ministrów, na którą władca po namyśle zdecydował się przyzwolić.

Stąd też te wszystkie mające robić wrażenie szczegóły na temat kampanii ścigania zła. 200 kontrolerów służb skarbowych co dzień tropiących oszustwa i złodziejstwa PiS, 62 podejrzanych przestępców i 149 doniesień do prokuratury. Kilka dni później rozmach operacji wykorzeniania zła jeszcze dokładniej opisze na konferencji prasowej nowy szef służb skarbowych minister Łoboda, który ma mocną motywację, aby wyróżnić się w operacji priorytetowej dla szefa rządu, skoro ekipa premier Szydło wylała go swego czasu z kierowania Izbą Skarbową w Bydgoszczy. 96 kontrolowanych instytucji, w tym 17 ministerstw, 51 spraw prokuratorskich, 20 postępowań przed rzecznikiem dyscypliny finansów.

eprasa.pl b044129411

Nikt nie zapamięta tych liczb, ale one nie temu przecież służą. Mają ukazać rozmiar i rozmach akcji, którą na rozkaz premiera podjęło państwo, aby wykorzenić w ojczyźnie pisowskie złodziejstwo.

Ten wielki czyn, który zaprzecza tak wyraziście rozchodzącym się pogłoskom o nieudolności premiera w zarządzaniu państwem, to jeden wymiar politycznego scenariusza 9 sierpnia. Drugi to odkrycie po ośmiu miesiącach władzy skali złodziejstwa, które stanowi wiarygodne uzasadnienie owej olbrzymiej akcji z udziałem 200 kontrolerów. Ta kwota ma inny charakter od tamtych wszystkich liczb: ma zostać zapamiętana przez lud i powielana w rozmowach zdumionych obywateli.

Okazuje się, że to dokładnie 100 mld zł, czyli mniej więcej jedna szósta rocznych dochodów państwa polskiego. Jak nie bez racji zauważył szczeciński poseł PiS Zbigniew Bogucki, w socjotechnice liczb Tusk stara się być konsekwentny: „Było 100 konkretów, ma być 100 mld". Na zdrowy rozum ta kwota jest niewiarygodna, ale w tym koncepcie inżynierii społecznej chodzi o to, aby taka właśnie była.

Ludzie mają teraz chodzić i mówić do siebie nawzajem: „Wyobrażasz sobie coś takiego? To przechodzi ludzkie pojęcie. Oni ukradli 100 mld! Przecież czegoś takiego jeszcze świat nie widział". Nawet jeśli niektórzy nie uwierzą i będą wątpić, to ten osad zdumienia ma pozostać w umysłach Polaków. I to on ma być zaczynem radykalnej odmiany sceny politycznej. „Ach, czy ten zły PiS mógł naprawdę ukraść aż 100 mld?".

Jak tylko Tusk odchodzi od tej ogólnej opowieści o skali złodziejstwa PiS i rozmiarach zarządzonej przez siebie kampanii walki ze złem, cały socjotechniczny koncept traci swoją atrakcyjność. Tak się dzieje zwłaszcza gdy próbuje się go, całkiem niepotrzebnie, podeprzeć jakimiś konkretami. Kiedy wstrząśnięty Tusk chce nam zrelacjonować kradzieże w Rządowym Centrum Legislacji, to natychmiast (nawet tego nie zauważając) wikła się w sprzeczności. Raz mówi, że fikcyjna szóstka pracowników RCL pracowała dla PiS, „nawet się nie logując w rządowych komputerach", ale zaraz potem tłumaczy, że udało się ich schwytać tylko dlatego, bo byli tam zalogowani, więc choć niszczyli potem e-maile, to i tak pozostały w systemie ślady ich przestępczych czynów.

Podobnie jest wtedy, gdy Tusk epatuje nas kwotą dotacji, jakich udzielił premier Morawiecki „fundacjom, stowarzyszeniom, klubom i Kościołom" w poprzednim roku – okazuje się to zaledwie 370 mln zł. Prawdę mówiąc, oczekiwałbym dużo wyższej sumy, zważywszy, że chodzi tu także o Kościoły, i to wcale nie tylko rzymskokatolicki.

Kim są 62 osoby, które mają zarzuty prokuratorskie? To urzędnicy, biznesmeni czy działacze partyjni? Co się im zarzuca? Tego od Tuska się nie dowiemy. Zresztą kilka dni później Łoboda poda inną liczbę podejrzanych: 51. Ale cóż znaczy 11 więcej czy mniej winnych wobec skali całego zjawiska. Dlaczego Tusk mówi, że ze 100 ukradzionych miliardów „chcemy odzyskać 3,2 mld"? Tylko zatem trochę ponad 3 proc. ukradzionych publicznych pieniędzy ma zostać odzyskanych przez premiera? A co z resztą? Aż dziw, że zgromadzeni na konferencji prasowej dziennikarze nie stawiają premierowi tak oczywiście nasuwających się pytań. Ale wiadomo, wchodzenie w szczegóły tylko osłabia siłę zastosowanej inżynierii społecznej. Tusk chce zrobić wrażenie wiarygodnego w tym, co mówi. Niepotrzebnie. Przecież siła operacji „Sto Miliardów" nie polega na jej wiarygodności.

TEORIA SPISKOWA

Wśród tych, którzy nie wierzą Tuskowi, pojawiły się dwa rodzaje interpretacji tej operacji. Jedna przedstawia ją lekceważąco, jako „wygłup". „Tylko ignorant albo nieuk może się ośmieszyć", wierząc w takie brednie rodem z zakładu dla obłąkanych – pisze redaktor Stanisław Janecki, publicysta „Sieci". Jak w ogóle można ukraść jedną szóstą budżetu dużego europejskiego kraju! Interpretacja druga, z łamów „Rzeczpospolitej", autorstwa redaktora Łukasza Warzechy, nazywa nie bez racji operację Tuska „budową świata równoległego", ale redukuje jej rolę do czysto doraźnej, piarowskiej funkcji „przykrycia" debaty nad rosnącymi cenami energii, wody i inflacją. Przyznam, że choć obie te interpretacje objaśniają niektóre aspekty operacji „Sto Miliardów", to jednak żadna z nich nie diagnozuje jej sedna.

Zdroworozsądkowi komentatorzy zdają się nie brać pod uwagę piętna politycznych czasów, w których to wszystko się toczy. Choćby jeden przykład. Badania opinii w USA przeprowadzone nie tak dawno przez ośrodek YouGov pokazują, że tylko 66 proc. pokolenia milenialsów (czyli ludzi urodzonych w końcówce XX w.) jest przekonanych o tym, iż Ziemia jest okrągła. Oznacza to, że jedna trzecia młodszych Amerykanów w jakiś sposób myślowo flirtuje z doktryną tzw. płaskoziemców. A pośród aktywistów „płaskoziemców" są podziwiani w sieci celebryci, np. słynny raper B.o.B albo wybitny koszykarz i czterokrotny mistrz NBA Draymond Green. To akurat dotyczy Ameryki, ale jak wiemy, mechanizmy polskiej polityki nie są odległe od USA.

O tym wszystkim wie natomiast doskonale Tusk. I jako jedyny polityk polski, a chyba i europejski, wyciąga z tego tak bezwzględne wnioski. Operacja „Sto Miliardów" nie jest więc jakimś jeszcze jednym przejawem teatru politycznego albo propagandy mającej podnieść Platformie słupki poparcia. To raczej świadomy i pozbawiony jakichkolwiek skrupułów akt konstruowania nowej teorii spiskowej, która będzie tak niesamowita, że oszołomi polski lud.

Ale to mało. Ta teoria spiskowa po jej umiejętnym upowszechnieniu ma dopiero legitymizować te wszystkie, już najzupełniej realne, kroki, które Tusk od dawna chciał podjąć, ale prawie nic mu nie wychodziło. Ma uprawomocnić przyszłe aresztowania polityków pod sfabrykowanymi zarzutami, bo po „Stu Miliardach" nikt już nie będzie w stanie odróżnić prawdy i kłamstwa na temat dokonanych przestępstw. Ma stworzyć presję, aby żadni dziennikarze czy prawnicy, także ci z Państwowej Komisji Wyborczej, nie ośmielili się po tym wszystkim bronić subwencji budżetowych dla PiS. Wśród sympatyków PiS, zwłaszcza tych niskiego szczebla, ma wytworzyć stan psychozy, czyli strachu przed oskarżeniem, o ile kilka lat temu podpisało się albo w imieniu jakiejś instytucji przyjęło jakąkolwiek kwotę z publicznych funduszów, legalnie i w szlachetnym celu. W konsekwencji ma zniszczyć polską prawicę, co uczyniłoby z Tuska bohatera sporej części Europy.

Należy docenić całą polityczną grozę tej operacji. A także dostrzec ryzyko, które Tusk podejmuje, stawiając wszystko na szalę co prawda brawurowej, ale możliwej do zdemaskowania operacji z dziedziny inżynierii społecznej.

eprasa.pl b044129411

Twarz medialnego pałkarstwa

Każda władza pozostawia po sobie twarz dziennikarza, który najmocniej odzwierciedla specyfikę chwalonych przez siebie rządów. Największą szansę na to, by zostać symbolem dziennikarstwa ery Tuska, ma Dorota Wysocka-Schnepf

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Grzechem pierworodnym tego typu medialnych komentatorów jest jednak zaangażowanie w polityczne grupy interesu. Fakt, że jako zwolenniczka Donalda Tuska uczestniczyła w marszu 4 czerwca, to jeszcze nic – wielu dziennikarzy przebiera się dziś w kostiumy kombatantów „wolnej Polski", bo atakowali PiS. Ona jednak przeszła do TVP INFO z „Gazety Wyborczej", podobnie jak z tej redakcji do MSZ poszedł Paweł Wroński. Tworzy się już towarzysko-zawodowa grupa wsparcia medialno-politycznego. A skoro redaktor Wysocka-Schnepf jest małżonką zaangażowanego politycznie byłego ambasadora Ryszarda Schnepfa, to nie może krytykować jego dawnych szefów z Platformy Obywatelskiej. Jeśli jej teść Maksymilian Schnepf był oficerem Armii Czerwonej i brał udział w operacji porwania 7 tys. osób z Suwalszczyzny (obława augustowska), które sprzeciwiały się komunistycznej władzy, to jak może uczciwie rozliczać komunistyczne zbrodnie czy dziedzictwo PRL? Wysocka-Schnepf pracowała w TVP, gdy w maju 2013 r. „Wiadomości" rozpoczęto hołdem dla Armii Czerwonej – kilkunastusekundową propagandówką na cześć żołnierzy Stalina. Teść byłby pewnie dumny (zmarł w 2003 r.), ale w misji publicznej nie chodzi o to, by wyrażać tęsknotę za sowieckim totalitaryzmem.

Jeśli ojcem jej dzieci jest człowiek, który został źle oceniony przez rząd Zjednoczonej Prawicy, to czy można uznawać jej wypowiedzi na temat Prawa i Sprawiedliwości za bezstronne? Zresztą redaktor Wysocka-Schnepf ma chyba obsesję na punkcie Jarosława Kaczyńskiego – jej biogramem w mediach społecznościowych jest fragment wypowiedzi prezesa PiS, który źle ocenił styl prowadzenia przez nią wywiadów. Dziennikarka uznała to za tak wielkie osiągnięcie, że z ironicznego cytatu polityka zrobiła sobie wizytówkę. Ale właśnie – wywiady.

NA POLITYCZNE ZAMÓWIENIE

Teraz ta forma przekazu stała się filarem jej kariery w przejętej siłą TVP. Specjalnie dla niej sformatowany program „Rozmowy niesymetryczne" jest nie tylko dramatycznie stronniczy, lecz także zwyczajnie słaby jakościowo. Z założenia miał to być „cykl ekskluzywnych wywiadów" z „wybitnymi osobowościami życia publicznego".

Jak wybitne są to postacie, pokazał odcinek z 11 sierpnia – bohaterem Wysockiej-Schnepf był Arkadiusz Szczurek, znany z licznych prowokacji przeciwko Prawu i Sprawiedliwości; ostatnio zakłócał składanie kwiatów przez Jarosława Kaczyńskiego pod pomnikiem smoleńskim w Warszawie. Ale rzecz w tym, że on to robi od blisko dekady. I nie tylko to. Kogo obchodzi życie człowieka, którego aktywność polega na organizowaniu zadym, przepychanek i skrzykiwaniu ludzi, którzy często wulgarnie odnoszą się do nielubianych polityków? Jak uznawać kogoś takiego za „wybitnego"? Mało tego, Wysocka-Schnepf porównała go do antykomunistycznej „Pomarańczowej Alternatywy", grupy, która w latach 80. we Wrocławiu ośmieszała milicję przebieraniem się za krasnale, za co mundurowi nieudolnie ich ścigali. Obecna TVP sięgnęła już dna.

Jednak nawet wtedy, kiedy goście „Rozmów niesymetrycznych" mają swoje zasługi, wywiady nadal pozostają na żenującym poziomie. Z okazji rocznicy powstania warszawskiego zaproszono uczestniczkę zrywu, Wandę Traczyk-Stawską. Dlaczego akurat ją? Kombatantka jest źle nastawiona do PiS i chętnie o tym mówi. Czy to jednak powód, by rozmawiać o tym akurat przed 1 sierpnia? Dla synowej czerwonoarmisty widocznie tak. Traczyk-Stawska stała się więc ekspertem od katastrof lotniczych (sugerowała, że prezes PiS stoi za tragedią 10 kwietnia), od prawa międzynarodowego (mówiła, że Polsce nie należą się reparacje) oraz od dyplomacji (chwaliła Radosława Sikorskiego). Wykorzystywanie uroczystości powstańczych dla doraźnej partyjnej nawalanki jest obrzydliwe, ale tutaj miało jeszcze posmak dziennikarskiej nachalności. Gdy bowiem rozmówczyni Wysockiej-Schnepf nie mówiła wystarczająco dobrze o Platformie albo wystarczająco źle o PiS, dziennikarka sama formułowała jej tezy, by wystarczyło przytaknąć. „Ale dzisiaj pani staje w obronie współczesnych Niemców. Uważa pani, że nie wolno obciążyć współczesnego pokolenia

eprasa.pl b044129411

Niemców za to, co 80 lat temu czynili ich przodkowie?" – pytała pracownica TVP. „Tak" – odpowiadała Traczyk-Stawska. „Pamiętam, jak ponad osiem lat temu Radosław Sikorski powiedział w Berlinie, że nie boi się silnych Niemiec, ale ich bezczynności. I dzisiaj możemy rozumieć, że przewidział, co się może wydarzyć, ale wtedy wielu oburzały te słowa. Panią wtedy też oburzały te słowa, czy pani przeczuwała, że ma rację?" – pytała w innym momencie. „Ja wiedziałam, że ma rację" – chwaliła Sikorskiego kombatantka.

NIESMACZNY PRZEKŁADANIEC

I tak we wszystkich rozmowach. Pytania dziennikarki nie weryfikują informacji, nie konfrontują poglądów, są przewidywalnym teatrzykiem realizującym narrację o oświeconych siłach sprzątających po „faszystach" z PiS. Naprawdę są to propagandowe ustawki. Jeśli w drugim odcinku wystąpił Adam Michnik, któremu nie można odmówić ogromnej roli (nieważne jak ją oceniamy) w najnowszej historii Polski, to założyciel „Gazety Wyborczej" powinien się obrazić, skoro w jednym rzędzie zestawiono go z Arkadiuszem Szczurkiem czy Tomaszem Piątkiem i jego konfabulacjami na temat powiązań PiS z Rosją. Podkreślmy – tygodnik „Sieci" piórem Jakuba Maciejewskiego naprawdę staje teraz w obronie Adama Michnika, człowieka, którego poglądy chcąc nie chcąc ukształtowały myślenie milionów Polaków. Dla Wysockiej-Schnepf ma on taką samą rangę jak facet, który na ulicy krzyczy „j...ć PiS". Przecież to komentatorski upadek.

CORAZ MNIEJ WIDZÓW

A jaka jest oglądalność takiego dziennikarstwa? TVP INFO straciło ponad 70 proc. widzów. Średnia oglądalność tego kanału, tzw. średnia widownia minutowa, według danych Nielsen Audience Measurement to mniej niż 75 tys. widzów. Przed siłowym przejęciem mediów publicznych podobne programy miały nie kilkadziesiąt, a kilkaset (!) tysięcy widzów. To jest dziennikarstwo, które zweryfikowali ludzie – po prostu nie chcą oglądać takich mediów.

> To jest dziennikarstwo, które zweryfikowali widzowie – ludzie po prostu nie chcą oglądać takich programów. Po siłowym przejęciu mediów publicznych TVP INFO straciło ponad 70 proc. widzów

A jednak za taki poziom pracy Wysocką-Schnepf nagrodzono... dodatkowymi programami. W czerwcu przyznano jej czas w TVP Polonia, a od wiosny prowadzi jeszcze „Niebezpieczne związki". Program jest szczytem tendencyjności – o wpływach rosyjskich w Polsce mówił np. gen. Piotr Pytel, który będąc jeszcze w SKW w czasach Tuska, współpracował z funkcjonariuszami rosyjskiej FSB, pił z nimi wódkę i dał się nagrać przez restauracyjne kamery. Współwinni rosnących rosyjskich wpływów opowiadają, że to inni zawinili. To jak zorganizować program dla złodzieja, który będzie krzyczał do innych: „Łapać złodzieja!".

SERIA WPADEK

Dziennikarstwo ekipy Tuska nie ma teraz złotej epoki. Warszawski kolektyw dziennikarski musiał się już tłumaczyć z wstawiania się za rosyjskim agentem Pawłem Rubcowem, później dał się wkręcić w ustawkę Krzysztofa Stanowskiego, która była ewidentnym teatrzykiem, ale i tak tuzy liberalnych mediów dały się nabrać, wreszcie okazało się, że wielu publicystów mainstreamowej prasy miało kontakty z Magdaleną Chodownik, partnerką agenta Rubcowa.

W uczciwej Polsce osoby zaangażowane w akcje tak zbieżne z działalnością rosyjskiej agentury musiałyby iść w odstawkę – w Polsce Tuska nadal mają wizytówkę autorytetów. Żeby chociaż bronił ich styl publicystyki, elokwencja wywodów, pogłębiona diagnoza problemów... A tu spoza przekonania o własnej wielkości wyziera tylko partyjne dziennikarstwo niskich lotów.

Fot. Screeny TVP

eprasa.pl b044129411

DOROTA ŁOSIEWICZ

Chłop czy baba? Trudna sprawa

Okazuje się, że to, co przez tysiące lat nie sprawiało ludziom problemu, dziś staje się kwestią niemal nierozstrzygalną. Wszystko zawdzięczamy genderowej rewolucji i lewicowym ideologom, którzy, upraszczając nieco, przekonują, że płeć to kwestia mózgu, a nie uwarunkowań biologicznych

Kilka lat temu internet podbijała sonda przeprowadzona wśród młodych Amerykanów, których pytano, czy można odróżnić kobietę od mężczyzny i większość ankietowanych twierdziła, że to nie jest możliwe. To, co kilka lat temu wydawało się zabawne, okazało się nierozwiązywalnym problemem, np. dla Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego (MKOl).

BRAK PRZESŁANEK

Przewodniczący MKOl Thomas Bach stwierdził, że nie istnieje naukowy sposób na jednoznaczne określenie, czy ktoś jest mężczyzną, czy kobietą. Podkreślił też, że „z naukowego punktu widzenia nie jest już prawdą, że XX lub XY jest wyraźnym rozróżnieniem między mężczyznami i kobietami". Bach apelował o zaufanie nauce, mimo iż obecnie nie jest ona w stanie jednoznacznie określić, kto jest kobietą, a kto mężczyzną. Stwierdził też, że jeśli ktoś przedstawi naukowo solidny system identyfikacji płci, MKOl będzie pierwszym, który go zastosuje. „Nie podoba nam się ta niepewność" – dodał. Przewodniczący zaznaczył, że nie można oceniać płci zawodników tylko na podstawie wyglądu lub w oparciu o kampanie zniesławiające prowadzone przez niewiarygodne organizacje o wysoce politycznych interesach.

Wypowiedź miała miejsce na konferencji prasowej, podczas której szef MKOl odpowiadał na pytania dotyczące dopuszczenia do kobiecej rywalizacji na igrzyskach olimpijskich w Paryżu dwóch kontrowersyjnych pięściarek: Imane Khelif z Algierii i Lin Yu-Ting z Tajwanu. Obie zawodniczki zostały w ub.r. zdyskwalifikowane z mistrzostw świata federacji IBA, bo nie przeszły testu płci. Jednak MKOl uznał testy płci przeprowadzone przez Międzynarodową Federację Boksu (IBA) za bezprawne i niewiarygodne, a Bach podkreślił, że „to nie jest kwestia inkluzywności, ale sprawiedliwości". Jego zdaniem kobiety mają prawo do udziału w kobiecych zawodach, a decyzje nie powinny opierać się na niewiarygodnych testach. Czy byłoby sprawiedliwe, gdyby jednak się okazało, że kobiety rywalizują z mężczyznami?

Fot. John Locher/AP Photo/East News

Lin Yu-Ting z Tajwanu, z którą walkę o złoto w Paryżu przegrała Julia Szeremeta, nie przeszła testu płci na ubiegłorocznych bokserskich mistrzostwach świata

eprasa.pl b044129411

LEKCJA BIOLOGII

Rozważania Bacha na temat braku naukowych podstaw, by określić, czy ktoś jest kobietą, czy mężczyzną, pchnęły mnie w kierunku podręcznika do biologii dla klasy siódmej. I to nie jakiegoś starego, a świeżynki, z której w tym roku korzystała córka.

Otwieram, a tam herezja na herezji! Jasno, szczegółowo i z ilustracjami opisano układy rozrodcze żeński i męski. Wszystko tak, jak uczyłam się lata temu. Co więcej – zerkam na internetowe testy dla klasy siódmej dotyczące budowy kobiety i mężczyzny, a jedno z pytań nakazuje przyporządkować układowi rozrodczemu żeńskiemu lub męskiemu jego odpowiednie elementy. Uczeń musi zdecydować, w którym układzie występują: prącie, pochwa, jądra, nasieniowody, jajowody, macica, moszna, jajniki. Szok! Niedowierzanie! Podejrzewam, że nasza minister edukacji szybko każe przepisać te podręczniki na nowo. Kto wie, może nawet zapłoną na stosach jako bezużyteczny papier.

Zaglądam też na Zintegrowaną Platformę Edukacyjną Ministerstwa Edukacji i w materiałach dla liceum ogólnokształcącego w dziale biologia znajduję rozdział o tym, co determinuje płeć człowieka. Młodzież w szkole średniej na temat chromosów męskich i żeńskich zdobywa wiedzę odmienną od tej, którą na konferencji przedstawił szef MKOl.

„Za określenie płci odpowiada przede wszystkim chromosom Y. To właśnie jego obecność determinuje płeć męską. Osobnik, który ma chromosomy płci X i Y, charakteryzuje się płcią męską, z kolei obecność dwóch chromosomów X warunkuje płeć żeńską. Wynika z tego, że decydujące znaczenie ma obecność lub brak chromosomu płci Y. Na chromosomie Y, a dokładniej na jego krótkim ramieniu, znajduje się ważny gen, który nazywamy genem SRY (ang. sex-determining region Y). To właśnie ten gen rozpoczyna i warunkuje kaskadę przemian, w wyniku których wykształcają się pierwszorzędowe cechy płciowe – jądra, determinujące płeć męską. Mutacja w obrębie genu SRY odpowiada za wykształcenie się osobnika, który pomimo obecności chromosomów płciowych XY cechuje się fenotypem żeńskim. Zespół ten nazywany jest zespołem Swyera" – stoi jak wół w dziale „Determinacja płci u człowieka".

I jest jeszcze ciekawostka: „Istnieje zespół genetyczny, którego przyczyną jest całkowity lub częściowy brak jednego chromosomu X u kobiety. Taki zespół nazywamy zespołem Turnera. Kariotyp kobiety z zespołem Turnera zawiera 45 chromosomów – w kariotypie tym brakuje jednego chromosomu płciowego X, co oznaczamy jako 45 X0. Jest to jedyny przypadek, w którym monosomia jednej z par chromosomów nie niesie skutków letalnych. Kobiety z zespołem Turnera odznaczają się typowo niskim wzrostem, charakterystyczną płetwiastą i krótką szyją, a często także bezpłodnością na skutek nieprawidłowo wykształconych gonad, czyli jajników".

To właśnie na podstawie tej wiedzy biologicznej Międzynarodowa Federacja Bokserska stosuje kryteria, które wykluczają sportowców z chromosomami XY z udziału w kobiecych konkurencjach. Ale ponieważ IBA jest skonfliktowana z MKOl, została wykluczona z organizacji turnieju olimpijskiego, a jej testy płci uznano za bezprawne i niewiarygodne.

Pytam wreszcie lekarza medycyny dr. Michała Mularczyka, kardiologa interwencyjnego, czy odróżnienie kobiety od mężczyzny to dziś taki poważny problem. Ten wybucha śmiechem i mówi: – Nie wynaleziono jeszcze genu na „onu-jenu".

KIM SIĘ CZUJESZ?

Ostatecznie MKOl rozstrzyga o płci zawodników na podstawie wpisu w paszporcie. Problem w tym, że w wielu państwach, a będzie ich jeszcze więcej, można zmienić płeć na podstawie woli i deklaracji. Niepotrzebne jest nawet dostosowanie cech anatomicznych do odczuwanej płci.

I tak np. w Niemczech w kwietniu br. Bundestag przyjął ustawę ułatwiającą urzędową deklarację zmiany płci – od 1 listopada osoby transpłciowe i interseksualne, a także nieidentyfikujące się ani jako mężczyźni, ani jako kobiety będą mogły zmienić wpis dotyczący swojej płci w rejestrze stanu cywilnego za pomocą zwykłej deklaracji. Osoba składająca wniosek będzie musiała „wiarygodnie zapewnić, że jest świadoma konsekwencji swojej decyzji", niemniej będzie mogła pisemnie ją cofnąć w ciągu trzech miesięcy od złożenia dokumentów. Wpis dotyczący płci może być modyfikowany wielokrotnie (!) w zależności od woli danej osoby, ale okres jego obowiązywania nie może być krótszy niż rok. Czyli gdyby ktoś miał ochotę, co roku może zmieniać płeć. W zależności od potrzeb. Na jednych igrzyskach olimpijskich taka osoba może więc wystąpić jako kobieta, a na kolejnych jako mężczyzna. Osoby nieletnie mogą dokonać zmiany pod warunkiem, że mają ukończone 14 lat oraz przedstawią zgodę opiekunów prawnych. W przypadku konfliktu pomiędzy nimi decyduje sąd rodzinny, którego orzeczenie powinno uwzględniać interes dziecka.

W Hiszpanii od 2 marca 2023 r. osoby powyżej 16. roku życia mogą bez ograniczeń rejestrować swoją płeć odmienną od biologicznej w dokumentach urzędu stanu cywilnego, osoby w wieku 14–16 lat muszą mieć do tego zgodę rodziców, zaś między 12. a 14. rokiem życia – zatwierdzenie sądowe. Zgodnie z ustawą każdy, kto ukończył 16 lat, może zmienić płeć i imię bez wcześniejszego orzeczenia sądu oraz terapii hormonalnej. Wystarczy tylko wypełnienie formularza, dowód osobisty i świadectwo urodzenia. Decyzja musi zostać potwierdzona przez wnioskodawcę trzy miesiące później, a cała procedura trwa najwyżej cztery miesiące. Poza tym istnieje możliwość, aby osoba trans powróciła do swojej poprzedniej płci w taki sam sposób. Modyfikacja płci po raz trzeci wymaga już decyzji sądowej, więc przepisy są bardziej restrykcyjne niż w Niemczech, gdzie płeć można zmienić raz do roku.

Już tydzień po wejściu w życie w Hiszpanii prawa dotyczącego osób transpłciowych urzędy stanu cywilnego odnotowały „falę wnioskujących". Większość wniosków była składana przez mężczyzn, co wzbudziło podejrzenia o próbę wykorzystania korzystniejszej dla nich sytuacji związanej z nową płcią – informował dziennik „La Razón". Jakie to sytuacje? Choćby możliwość wymigania się od służby wojskowej.

Niebawem zrodzi się dylemat, co podczas igrzysk olimpijskich zrobić z osobami, które nie identyfikują się z żadną płcią. Może powstanie dla nich osobna kategoria? Wszak MKOl musi iść „z czasem, z postępem, z osięgnięciami".

eprasa.pl b044129411

Jedyny medal w lekkoatletyce na igrzyskach w Paryżu zdobyła Natalia Kaczmarek. Brązowy

Klęska olimpijska

Polski sport przypomina obecnie konstrukcję potiomkinowską. Fasada może nawet jest piękna, ale sukcesów nie ma. Dlaczego?

STANISŁAW JANECKI

Jeden złoty medal olimpijski Polska zdobyła tylko na dwóch z trzech pierwszych powojennych igrzyskach (na pierwszych w 1948 r. w Londynie żadnego), gdy dały o sobie znać jeszcze skutki wojny (demograficzne i sportowe). Pod tym kątem jeden złoty medal w 2024 r. w Paryżu to najgorszy rezultat od 1956 r., czyli od 68 lat.

Najbardziej widoczna jest klęska w lekkoatletyce: w 2024 r. w Paryżu był tylko jeden brązowy medal, podczas gdy w 2021 r. w Tokio – cztery złote, dwa srebrne i cztery brązowe. Tym bardziej że na lekkoatletykę państwo wydaje najwięcej pieniędzy – w latach 2022–2024 było to aż 74,6 mln zł.

42. miejsce Polski w ogólnej klasyfikacji medalowej w Paryżu to nawet nie porażka – to klęska. Rozumieją to premier Donald Tusk oraz minister sportu Sławomir Nitras, ale nie widzą siebie pośród tych, który się do tego przyczynili. Wprawdzie przygotowanie do igrzysk trwa od momentu zakończenia poprzednich, ale najważniejsza – zarówno organizacyjnie, jak i sportowo – jest ostatnia faza. A Tusk z Nitrasem rządzą już osiem miesięcy, więc to oni za nią odpowiadają, choć oczywiście nie za całość. To nie premier Mateusz Morawiecki ani minister sportu Kamil Bortniczuk są odpowiedzialni za

Fot. Łukasz Kalinowski/East News

eprasa.pl b044129411

to, co spotkało np. Darię Pikulik, srebrną medalistkę w kolarstwie: „Sama musiałam sobie zapłacić za zgrupowanie. Do kwietnia nie mieliśmy informacji odnośnie do finansowania, nie mieliśmy rowerów, nie mieliśmy nic. Kombinezony dostaliśmy dzień przed startem". To nie Morawiecki z Bortniczukiem sprawili, że Arkadiusz Kułynycz, polski zapaśnik, który w Paryżu był o krok od brązowego medalu, nie mógł „zabrać sparingpartnera na najważniejszą imprezę w moim życiu. Jest mi przykro, bo zamiast mojego sparingpartnera przyjechali działacze z osobami towarzyszącymi". Ale Tusk z Nitrasem już wiedzą, kto zawinił. „Wyjaśnimy każdy zgłaszany przez sportowców przypadek zaniedbania. Sygnałów dotyczących braku obecności trenerów, fizjoterapeutów lub braku sprzętu było zbyt dużo. Rozpoczynamy od ustalenia, kto i w jakim charakterze przebywał na Igrzyskach Olimpijskich za pieniądze publiczne" – napisał na platformie X (d. Twitter) Sławomir Nitras. A czy nie powinien tego wiedzieć już przed otwarciem igrzysk?

ROZLICZENIA

Podczas konferencji prasowej po posiedzeniu rządu 9 sierpnia 2024 r., a więc jeszcze przed zakończeniem igrzysk, Donald Tusk zapowiedział, że chce, „aby PKOl [Polski Komitet Olimpijski] i związki sportowe rozliczyły się przed opinią publiczną z pieniędzy publicznych". Tusk z Nitrasem chcą rozliczyć przede wszystkim Radosława Piesiewicza, prezesa PKOl, pełniącego swą funkcję od wiosny 2023 r. Nitras wysłał do niego list, w którym domaga się „imiennej listy wszystkich osób, które dostały akredytacje na igrzyska olimpijskie". Chce wiedzieć, którzy prezesi i członkowie zarządów polskich związków sportowych pojechali do Paryża, więc „uprzejmie prosi o potraktowanie sprawy jako priorytetowej i przekazanie ww. informacji do Ministerstwa Sportu i Turystyki do 14 sierpnia 2024 r.". Podobne „prośby" wysłał do 44 związków sportowych w Polsce. A dlaczego nie sprawdził tego przed igrzyskami?

Tuskowi odpowiedział prezes Piesiewicz: „PKOl nie ma środków budżetowych, więc jeżeli rozmawiamy o pieniądzach ze spółek skarbu państwa, to są to spółki i my rozliczamy się co dwa miesiące z tych pieniędzy. Wypracowujemy ekwiwalent reklamowy i to jest normalny sponsoring. To nie są pieniądze z budżetu państwa, ale ze spółek, które przekazują nam środki za wykonywanie odpowiedniej pracy marketingowej i przekazywanie tych środków do konkretnych związków sportowych. My wykonujemy to rzetelnie".

Jak już pisałem, najbardziej rzuca się w oczy klęska polskich lekkoatletów.

> Na polski sport, także olimpijski, w latach 2022–2024 wydano prawie 786 mln zł. Pieniądze płyną, ale wyniki są marne, co oznacza, że medali olimpijskich nie da się kupić. Oznacza to też nieefektywność finansowania widoczną w płaceniu na wszystko i kompletnym braku wydzielenia dyscyplin mogących przynosić najwięcej medali

W 2021 r. w Tokio Polacy zdobyli aż dziewięć medali: złote Dawid Tomala w chodzie na 50 km, Anita Włodarczyk i Wojciech Nowicki w rzucie młotem oraz sztafeta mieszana 4 x 400 m. Srebrnymi nagrodzono kobiecą sztafetę 4 x 400 m i Marię Andrejczyk w rzucie oszczepem, a brązowymi Pawła Fajdka i Malwinę Kopron w rzucie młotem oraz Patryka Dobka w biegu na 800 m. Trzy lata później w Paryżu był tylko jeden medal – brązowy Natalii Kaczmarek w biegu na 400 m i zaledwie osiem finałów z udziałem polskich zawodników.

Tomasz Majewski, dwukrotny złoty medalista olimpijski w pchnięciu kulą, a obecnie wiceprezes Polskiego Związku Lekkiej Atletyki, podaje powody: „Zadecydował wiek naszych zawodników, naszych gwiazd. My mamy iluś zawodników, którzy rywalizują na najwyższym poziomie. I tak naprawdę tylko oni właściwie mogą walczyć o medale. Ale w tej rywalizacji nie jesteśmy sami, tylko jest cały świat. I skończyło się, jak skończyło".

Lekkoatletyczna klęska wynika nie tylko z wieku i odejścia z czynnego sportu całej grupy zawodników, lecz także ze znaczącego obniżenia wyników złotego pokolenia polskich lekkoatletów osiągających największe trofea w ostatniej dekadzie. Polacy nie odnieśli sukcesów w medalodajnym dotychczas rzucie młotem. Wojciech Nowicki (złoty medalista z Tokio i brązowy z Rio de Janeiro) i Paweł Fajdek nie przekroczyli granicy 80 m. Anita Włodarczyk, trzykrotna złota medalistka igrzysk, nie zdobyła nawet brązowego medalu. Brązowa medalistka z Tokio Malwina Kopron nie przekroczyła 70 m i nie weszła do finału.

Do finału nie weszły sprinterki Ewa Swoboda (płaskie 100 m) i Pia Skrzyszowska (100 m przez płotki). Swoje zrobiła zdobywczyni brązowego medalu Natalia Kaczmarek. Nie zawiodła też siedmioboistka Adrianna Sułek, która 8 lutego 2024 r. urodziła dziecko. Zajęła 12. miejsce. Szansy nie zmarnowały dwie biegaczki na 1500 m: Weronika Lizakowska (poprawiła bardzo stary rekord Polski Lidii Chojeckiej z 3:59,22 na 3:57,31) oraz Klaudia Kazimierska, która dostała się do finału i zajęła 10. miejsce (z rekordem życiowym 4:00,12).

Beznadziejny był występ dwóch utytułowanych kulomiotów, wcześniej pchających ponad 22 m – Michała Haratyka i Konrada Bukowieckiego, którzy nie pchnęli nawet 20 m. Bukowiecki osiągnął w Paryżu wynik aż o 3,42 m gorszy od swego rekordu życiowego, co jest różnicą katastrofalną. Słabo skakał o tyczce Piotr Lisek, który wcześniej pokonał 6 m. Widać, że w polskiej lekkoatletyce nie ma dostatecznej wymiany pokoleniowej, szczególnie u mężczyzn. A to oznacza słaby dopływ zawodników osiągających dobre wyniki oraz słabe zaplecze już na poziomie juniorskim.

eprasa.pl b044129411

Lekkoatletyka gwarantuje dobre pieniądze tylko najwybitniejszym (indywidualni sponsorzy, nagrody za starty i sukcesy w mityngach, szczególnie w Diamentowej Lidze, premie za udział w zawodach), dlatego ryzyko poświęcenia dużej części życia i nieosiągania sukcesów jest duże, przez co nabór – ograniczony.

DUŻO PIENIĘDZY, MAŁO SUKCESÓW

Zapaść pokoleniowa jest widoczna także w kolarstwie szosowym, gdzie wysoki poziom prezentuje obecnie tylko jedna zawodniczka – Katarzyna Niewiadoma. Nie liczy się też kolarstwo górskie, gdzie przed laty sukcesy odnosiła Maja Włoszczowska. Podobny dołek obserwujemy w kajakarstwie (przed Paryżem 18 medali, w tym 7 złotych) i wioślarstwie (20 medali, w tym 4 złote). Równie wielka jest zapaść w dyscyplinach wcześniej przynoszących wiele medali: boksie (przed Paryżem 42 medale, w tym 8 złotych), podnoszeniu ciężarów (34 medale, w tym 6 złotych), zapasach (27 medali, w tym 5 złotych), szermierce (22 medale, w tym 4 złote), strzelectwie (12 medali, w tym 4 złote), judo (8 medali, w tym 3 złote), pływaniu (10 medal, w tym 1 złoty), żeglarstwie (5 medali, w tym 1 złoty). Wszystkie te dyscypliny wymagają ogromnej pracy, wysiłku fizycznego i poświęcenia, a zarabia na nich znacznie mniejsza grupa najlepszych na świecie niż w lekkoatletyce.

W podnoszeniu ciężarów na igrzyska w Paryżu pojechała tylko jedna zawodniczka, Weronika Zielińska-Stubińska. I jako jedyna nie zaliczyła żadnego ciężaru w rwaniu, więc już nie wystartowała w podrzucie. W boksie medal (srebrny) był tylko jeden, i to wywalczony przez kobietę (Julię Szeremetę). W kajakarstwie medalu nie zdobyły nawet bardzo utytułowane wcześniej Anna Puławska i Karolina Naja.

W polskim sporcie zniknął związek między poziomem finansowania przez państwo a osiąganymi rezultatami. Z wydatków w latach 2022–2024 wynika, że wiele dyscyplin nie osiąga żadnych sukcesów niezależnie od poziomu finansowania albo wydatki na nie są bez sensu, gdyż w tych dyscyplinach Polska nigdy nie osiągała sukcesów.

Na polski sport, także olimpijski, w latach 2022–2024 wydano prawie 786 mln zł. Pieniądze płyną, ale wyniki są marne, co oznacza, że medali olimpijskich nie da się kupić. To wskazuje na nieefektywność finansowania widoczną w płaceniu na wszystko i kompletnym braku wydzielenia dyscyplin mogących przynosić najwięcej medali. Tu nie trzeba niczego odkrywać, bowiem sport funkcjonuje tak na Węgrzech, w Holandii, Wielkiej Brytanii, Australii, Korei Południowej, Nowej Zelandii, Uzbekistanie czy Irlandii. W Polsce panuje wszystkoizm, co sprawia, że nie ma polskich specjalizacji (może poza wspinaczką na czas). Skutek jest taki, że w klasyfikacji medalowej w Paryżu wyprzedziły nas m.in. Holandia, Nowa Zelandia, Kanada, Uzbekistan, Węgry, Szwecja, Norwegia, Irlandia, Rumunia, Gruzja, Belgia, Bułgaria, Serbia, Czechy, Dania, Azerbejdżan.

Medali nie da się kupić

Dyscypliny, na które wydatkowane są największe pieniądze z budżetu (w latach 2022–2024) oraz ich medalowy dorobek:

- lekkoatletyka – 74,6 mln zł (1 medal)
- kajakarstwo – 42,6 mln zł (1 medal)
- wioślarstwo – 39 mln zł (1 medal)
- żeglarstwo – 30,1 mln zł (0 medali)
- siatkówka – 29,4 mln zł (1 medal)
- kolarstwo – 28,5 mln zł (1 medal)
- zapasy – 27 mln zł (0 medali)
- pływanie – 21,9 mln zł (0 medali)
- koszykówka – 20,8 mln zł (0 medali)
- tenis – 16,8 mln zł (1 medal)

Polski sport wyczynowy ma bardzo ograniczoną bazę na poziomie juniorskim, bowiem powszechna jest niechęć do jego uprawiania, masowe są zwolnienia z zajęć WF, a jeśli coś się uprawia, to ze snobizmu, np. tenis ziemny, a i to na małą skalę. Poziom trzyma chyba tylko siatkówka, gdzie uznanych mistrzów zastępują kolejne pokolenia, które też odnoszą sukcesy.

W Polsce sport przestał być drogą do społecznego awansu, a uprawiający go są uważani za „wariatów", którzy niepotrzebnie się męczą. Niepokoi, że znacznie gorzej jest z zaangażowaniem w sport chłopców niż dziewcząt (pewnie nieprzypadkowo 8 z 10 medali w Paryżu zdobyły kobiety). Chłopcy i mężczyźni łatwiej się zniechęcają, nie chcą ciężko pracować, szybciej rezygnują. Etos sportu jest znacznie wyższy wśród dziewcząt i kobiet niż u chłopców i mężczyzn. Na igrzyskach w Paryżu żaden reprezentant Polski nie doszedł do miejsca na podium w indywidualnej konkurencji (medale zdobyli siatkarze i wioślarze, czyli zespoły). No i nie bez znaczenia jest to, że poszczególne związki sportowe funkcjonują na zasadzie odrębnych księstw, w których można zobaczyć wiele patologii – właśnie ze względu na funkcjonowanie w takiej formie.

KONSTRUKCJA POTIOMKINOWSKA

Polski sport jest obecnie swego rodzaju konstrukcją potiomkinowską, co oznacza, że w miarę dobrze wygląda fasada, ale na zapleczu mamy często luźne, powiązane sznurkami elementy. Brakuje ministra formatu Witolda Bańki (w latach 2015–2019, obecnie szefa Światowej Agencji Antydopingowej), kiedyś lekkoatlety, rozumiejącego sport i wiedzącego, jak nim zarządzać. Sławomir Nitras jest amatorem, który dopiero na urzędzie próbuje się uczyć. Amatorem jest też mający pretensje do sportowego znawstwa premier Donald Tusk. Tylko że jest to wiedza na poziomie kibica, amatorskiego biegacza i niedzielnego futbolisty. Na sporcie trzeba się znać, żeby wiedzieć, co gwarantuje sukcesy, a co jest tylko stwarzaniem płonnych nadziei.

Podstawowy problem stanowi to, skąd brać młode talenty. Na pewno będzie ich brakować w społeczeństwie, w którym unikanie zajęć sportowych bywa uznawane za osiągnięcie, natomiast udział w dodatkowych zajęciach za „frajerstwo". Nowych mistrzów raczej nie znajdzie się przed ekranami, tylko na boiskach, bieżniach, rzutniach, basenach, matach, torach czy kortach. A warto ich znajdować, gdyż sport jest jednym z najefektywniejszych narzędzi budowy pozycji i prestiżu państwa. I wcale nie tak drogim, jakby się wydawało. Jeśli mogą znacznie mniej ludne od naszego kraju Nowa Zelandia, Węgry, Holandia, Szwecja, Norwegia czy Irlandia, dlaczego nie mogłaby Polska? Jeśli w 1976 r. na igrzyskach w Montrealu nasi reprezentanci mogli zdobyć 26 medali, w tym 7 złotych (bojkotowane przez wolny świat igrzyska w 1980 r. w Moskwie, które dały Polsce 32 medale, nie są reprezentatywne, choć każdy krążek się liczy), to dlaczego nie można tego powtórzyć w 2028 r. w Los Angeles?

eprasa.pl b044129411

Komunistyczne pomniki – jak długo jeszcze?

Mimo ponad 30 lat III RP cały czas straszą nas pomniki upamiętniające PRL i Armię Czerwoną. O usunięcie czerwonych monumentów walczy IPN oraz środowiska patriotyczne, bronią ich natomiast przedstawiciele niektórych władz samorządowych

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Dekomunizacja przestrzeni publicznej w Polsce trwa. W ostatnim czasie za sprawą działań Instytutu Pamięci Narodowej udało się usunąć cztery monumenty w Zachodniopomorskiem. Chociaż w całym kraju zostało niewiele tego typu pomników, czerwone relikty przeszłości cały czas szpecą takie miasta, jak Rzeszów czy Olsztyn. I nie wiadomo, kiedy uda się je usunąć, ponieważ obecne władze samorządowe zaciekle ich bronią, mimo obowiązywania od 2016 r. tzw. ustawy dekomunizacyjnej.

OCZYSZCZONY NOWOGARD

22 lipca br. na pl. Wolności w centrum Nowogardu runął pomnik Braterstwa Broni. Koparka przewróciła betonowy cokół, na którym byli umieszczeni dwaj średniowieczni rycerze oraz dwaj żołnierze – czerwonoarmista z gwiazdą na hełmie oraz żołnierz tzw. Ludowego Wojska Polskiego. Wydarzenie obserwowało kilkuset mieszkańców miasta i prezes IPN dr Karol Nawrocki. Gdy pomnik runął, wielu zgromadzonych biło brawo.

„Dość dla obiektów sowieckiej propagandy w Polsce. W Polsce wolnej, niepodległej i demokratycznej" – powiedział prezes Instytutu chwilę przed obaleniem monumentu. „To jest braterstwo broni, które nie uwzględnia blisko 200 tys. żyć Polaków zamordowanych w wyniku operacji NKWD. [...] Czy to jest to braterstwo broni, które mówi o 17 września 1939 r., kiedy Sowieci atakowali nasze ziemie wschodnie. To jest braterstwo broni, które Sowietom kazało zabić blisko 22 tys. polskich oficerów i podoficerów. Braterstwo broni, strzał w tył głowy" – kontynuował Karol Nawrocki.

SPOŁECZNE INICJATYWY

Proces dekomunizacji ruszył już w 1989 r., trwa więc ze zmiennym natężeniem 35 lat. Na początku dochodziło do spontanicznego usuwania posowieckich obiektów propagandowych. Symboliczne było zburzenie 17 listopada 1989 r. w Warszawie pomnika Feliksa Dzierżyńskiego.

Jednak przez wiele lat w wielu miejscach można było oglądać obiekty upamiętniające Związek Sowiecki, Armię Czerwoną, domniemane wyzwolenie czy polsko-sowieckie braterstwo broni i przyjaźń. Nie mniej bulwersujący był fakt pozostawienia komunistycznych nazw i patronów ulic oraz placów czy innych sowieckich obiektów. O pozbycie się pozostałości po czerwonym reżimie walczyły środowiska patriotyczne, które na ogół natrafiały na ścianę oporu w postaci barier prawnych, niechęci władz i protestów postkomunistycznych środowisk. Mimo to czasem walka okazywała się skuteczna.

W centrum Białegostoku na terenie Parku Centralnego od 1975 r. stoi pomnik Bohaterów Ziemi Białostockiej w hołdzie „poległym w walce o Polskę Ludową". Kwestia dekomunizacji tego obiektu była wielokrotnie poruszana przez mieszkańców, jednak utknęła w rozpatrującej sprawę komisji przy wojewodzie podlaskim. Procedury trwały na tyle długo, że grupa byłych działaczy opozycji antykomunistycznej straciła cierpliwość i postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. We wrześniu 2011 r. pod osłoną nocy na pomniku umieścili napisy: „Bóg, honor, ojczyzna", a nad głową orła – koronę z blachy. Wywołało to protest autora projektu pomnika, a władze chciały usunąć nielegalnie naniesione zmiany. Wobec tego ludzie całymi dniami bronili dostępu do monumentu, żeby nie dopuścić do ich usunięcia. Ówczesne władze dały za wygraną, a społecznicy poszli za ciosem i w 2018 r. z okazji zbliżającej się 100. rocznicy odzyskania niepodległości zamieścili na pomniku napis „Niepodległość". Społecznie odkomunizowany pomnik stoi do dziś.

PIERWSZY PRZEŁOM W SPRAWIE

Systemowe narzędzia umożliwiające oczyszczenie przestrzeni publicznej zapewniła dopiero uchwalona w 2016 r. tzw. ustawa dekomunizacyjna, zakazująca propagowania komunizmu lub innego ustroju totalitarnego. – Ustawa w swojej pierwotnej wersji zaczęła funkcjonować w obszarze nazw

eprasa.pl b044129411

i patronów ulic oraz innych obiektów przestrzeni publicznej. W tym aspekcie można mówić o sukcesie, bo rzeczywiście udało się zmienić oblicze przestrzeni publicznej w Polsce – powiedział w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" dr Adam Siwek, dyrektor Biura Upamiętniania Walk i Męczeństwa IPN. – W tym okresie samorządy zmieniły nazwy czy patronów ok. 1,8 tys. ulic w Polsce. W większości przypadków działo się to w oparciu o opinie, które przygotowywał IPN. Taka była nasza rola nakreślona w ustawie, Instytut był organem doradczym, wydającym opinie na potrzeby administracji samorządowej czy wojewódzkiej. Rozszerzenie ustawy o obiekty propagandowe, takie jak komunistyczne pomniki, przyniosło pewien efekt na początku. Ustawa oczywiście miała wpisane pewne terminy, w ramach których zarządcy i właściciele nieruchomości powinni ze swojego terenu takie obiekty usuwać, ale realizacja ustawy w wielu przypadkach była problematyczna dla samorządów. Opieszałość czy pewne zaniechanie działań wynikały głównie z powodu problemów finansowych. Usunięcie pomnika to nie jest tylko czynność administracyjna, która wymaga jedynie aktu prawnego, lecz także wyłożenie niemałych środków na wyburzenie obiektu. Dlatego z czasem intensywność realizacji ustawy osłabła.

PRZYSPIESZENIE PO ROSYJSKIEJ AGRESJI NA UKRAINĘ

Dekomunizacja naszej przestrzeni publicznej nabrała rozpędu po pełnoskalowej agresji Rosji na Ukrainę. Działania rosyjskich żołnierzy szybko przypomniały bandyckie i wstrząsające zbrodnie dokonywane masowo na ludności cywilnej przez Armię Czerwoną. Zadziałało to mobilizująco na ludzi, którzy nie chcieli upamiętniać „wyzwolicieli" spod znaku czerwonej gwiazdy. W marcu 2022 r. dr Karol Nawrocki zaapelował do samorządów o usunięcie z przestrzeni publicznej wszelkich nazw i symboli upamiętniających osoby, organizacje, wydarzenia bądź daty symbolizujące komunizm. „Najwyższy czas nadrobić zaległości w tej dziedzinie [...]. Niech wybrzmi to jasno i wyraźnie: w polskiej przestrzeni publicznej nie ma miejsca na jakiekolwiek upamiętnienia totalitarnego reżimu komunistycznego i służących mu ludzi" – podkreślił w oświadczeniu z 4 marca 2022 r.

Zdaniem dr. Adama Siwka „Apel prezesa IPN zintensyfikował ten proces. Przede wszystkim zaoferowaliśmy samorządom, na terenie których znajdują się takie obiekty, realną pomoc przy ich usuwaniu, również finansową. W niewielu przypadkach spotkaliśmy się z motywacją ideologiczną, jeżeli chodzi o obronę tego typu obiektów. Czasami władze samorządowe potrzebowały także wsparcia w dialogu z lokalnymi społecznościami. W niektórych przypadkach taki postsowiecki pomnik był tak naprawdę centralnym obiektem w danej miejscowości. Prowadziło to do kuriozalnych sytuacji, bo w efekcie rocznice i święta państwowe były celebrowane właśnie przy tych komunistycznych pomnikach. Dlatego też oferta IPN kierowana do samorządów zakłada nie tylko współpracę przy usunięciu takiego obiektu, lecz także zastąpienie go innym, który będzie realnie służył lokalnej społeczności. Dzięki temu w miejscu radzieckich

Pomnik Walk Rewolucyjnych w Rzeszowie

eprasa.pl b044

monumentów powstają upamiętnienia honorujące osoby faktycznie zasłużone dla narodu polskiego oraz propagujące szlachetne postawy czy wartości".

W ciągu ostatnich dwóch lat udało się usunąć 41 komunistycznych obiektów propagandowych. Poza paroma wyjątkami działania te były organizacyjnie, prawnie i finansowo wspierane przez IPN w ramach współpracy z samorządowcami. W niektórych przypadkach aż ciężko uwierzyć, że przetrwały one tak długo. Przykładowo 27 października 2022 r. odbył się demontaż pomników poświęconych Armii Czerwonej równocześnie w czterech miejscowościach: Głubczycach i Byczynie w województwie opolskim, Bobolicach w zachodniopomorskim oraz niedaleko Staszowa w świętokrzyskim. Na tym ostatnim „upamiętnieniu" przez lata zamocowana była pamiątkowa tablica z napisem: „Z tego miejsca dnia 12 I 1945 roku o godzinie 4-ej wojska 1-go Frontu Ukraińskiego Armii Radzieckiej pod dowództwem marszałka Koniewa huraganowym ogniem rozpoczęły ofensywę zimową w wyniku której wyzwolona została Polska i rozgromiony hitleryzm. Chwała niezwyciężonej Armii Radzieckiej".

PRAWNA OCHRONA?

W Rzeszowie od 1974 r. straszy osławiony pomnik Walk Rewolucyjnych. Powszechnie znany, ponieważ wyglądem przypomina żeński narząd rozrodczy. Spór o budowlę trwa wiele lat i cały czas nie wiadomo, jaki będzie finał tej batalii. W lipcu 2006 r. uchwałą Rady Miasta zdominowanej przez PiS i LPR teren, na którym znajduje się pomnik, został zwrócony jego pierwotnym właścicielom, czyli klasztorowi bernardynów. Sprzeciwiały się temu władze Rzeszowa, które próbowały odzyskać pomnik i zablokować potencjalne plany wyburzenia. Według nich monument dawno stracił swój komunistyczny charakter i od lat jest wizytówką miasta.

Do sprawy w 2017 r. włączył się IPN, który na mocy wspomnianej tzw. ustawy dekomunizacyjnej wystąpił o rozebranie pomnika. W tym roku bernardyni postanowili przekazać monument Stowarzyszeniu Rodzin Żołnierzy Niezłomnych Podkarpacia. Na to z kolei szybko odpowiedział prezydent Rzeszowa Konrad Fijołek, który na podstawie wątpliwych uchybień ogłosił zerwanie umowy z zakonem i złożenie pozwu do Sądu Okręgowego w sprawie zwrotu terenu. W czerwcu okazało się z kolei, że Podkarpacki Wojewódzki Konserwator Zabytków na wniosek jednoosobowej Fundacji Rzeszowskiej wszczął postępowanie w sprawie wpisania obiektu do rejestru zabytków. 8 sierpnia ogłoszono, że pomnik Walk Rewolucyjnych został wpisany do rejestru rzeźby monumentalnej.

SKANDALICZNA DECYZJA

Sprawę skomentował Romuald Rzeszutek, działacz społeczny z Podkarpacia, inicjator budowy wielu pomników poświęconych żołnierzom wyklętym: „To absolutnie skandaliczna decyzja. Szkoda, że nie udało się wcześniej zapobiec tej sytuacji. Ubolewam szczególnie nad tym, że współcześni mieszkańcy Rzeszowa są zupełnie nieświadomi, komu poświęcony jest ten pomnik, i dali sobie wmówić, że ten hańbiący obiekt jest symbolem miasta. A przecież wciąż znajduje się tam żołnierz radziecki z bagnetem, robotnik i chłop, co jest oczywistą aluzją do sierpa i młota, a więc symboli komunistycznych. Warto także wspomnieć, kto 1 maja 1974 r. odsłaniał ten pomnik. W uroczystości brali udział przedstawiciele PZPR, przemawiali ludzie, którzy zwalczali podziemie niepodległościowe, tacy jak Tomasz Wiśniewski, swego czasu p.o. szefa rzeszowskiej bezpieki. Mam nadzieję, że Stowarzyszenie, które otrzymało pomnik od zakonu Bernardynów, będzie się odwoływać o tej decyzji, bo to, co się wydarzyło, jest oburzające".

> W ciągu ostatnich dwóch lat udało się usunąć 41 komunistycznych obiektów propagandowych. Poza paroma wyjątkami działania te były organizacyjnie, prawnie i finansowo wspierane przez IPN w ramach współpracy z samorządowcami

Podobna sytuacja ma miejsce w Olsztynie, gdzie w centrum miasta można zobaczyć odsłonięty w 1954 r. pomnik Wyzwolenia Ziemi Warmińskiej i Mazurskiej, pierwotnie nazwany pomnikiem Wdzięczności Armii Czerwonej, potocznie zaś Szubienicami. On również został wpisany do rejestru zabytków, jednak decyzją wojewody w 2023 r. wpis ten został cofnięty, a obiekt przeznaczono do rozbiórki. Tutaj również wszelkie ruchy są blokowane przez prezydenta miasta.

Jak przyznaje dr Adam Siwek: „Oczywiście jako IPN nieustannie podtrzymujemy swoje stanowisko i propozycję pomocy przy demontażu, ale obawiam się, że w tych dwóch przypadkach postawa władz samorządowych poszła już tak daleko, że trudno będzie obecnych włodarzy miast skłonić do zmiany stanowiska. W tym momencie jest to także kwestia nie tylko zobowiązań wobec własnego zaplecza politycznego, lecz także sprawa wizerunkowa. My w swoich działaniach jesteśmy konsekwentni i cierpliwi. Liczymy na to, że jeśli nie teraz, to za parę lat mimo wszystko uda się doprowadzić do usunięcia tych obiektów".

W wyniku działań IPN w Polsce zostało raptem kilka pomników wysławiających komunizm. Z kolejnymi samorządami są prowadzone rozmowy, które, miejmy nadzieję, szybko przyniosą efekt. Prędzej czy później znikną także osławione monumenty znajdujące się w Rzeszowie i Olsztynie. Do tego czasu będą to jednak niechlubne wyjątki na szczęśliwie coraz bardziej zdekomunizowanej mapie Polski.

Fot. Andrew Babble/Shutterstock.com

eprasa.pl b044129411

Druga operacja kurska

Sierpień jest uznawany w rosyjskiej polityce za feralny. W tym miesiącu zatonął atomowy okręt podwodny Kursk, w sierpniu doszło do buntu Prigożyna. Nie wydaje się więc kwestią przypadku, że Ukraińcy zaatakowali obwód kurski właśnie teraz

MAREK BUDZISZ

Gen. Ołeksandr Syrski, dowódca ukraińskich sił zbrojnych, poinformował na specjalnej naradzie zorganizowanej w miniony wtorek, w której uczestniczył prezydent Zełenski, że podległe mu oddziały kontrolują już 74 wsie, osady i miasteczka na terenie Federacji Rosyjskiej. Jeśli te informacje się potwierdzą, będzie to oznaczało, że ukraińska ofensywa nie słabnie, a przeciwnie, rozszerza się.

„Weszli jak w masło" – napisali eksperci brytyjskiego dziennika „The Telegraph", komentując operację. Analitycy amerykańskiego Instytutu Studiów nad Wojną na bieżąco oceniający sytuację na frontach są przekonani, że Ukraińcy kontrolują 800 km² terenu Federacji, co jest równe pięciu miastom wielkości Murmańska czy 2,5 Królewcom. To niemal dwa razy więcej, niż Rosjanom udało się zdobyć w ciągu minionych trzech miesięcy kosztem gigantycznych ofiar.

Oficjalnie Kijów nie wyjaśnia, jakie są cele tej przygotowywanej od maja operacji, ale w ostatnich dniach w mediach pojawiły się doniesienia mogące świadczyć o tym, że siły ukraińskie po przeprowadzeniu rajdów nie zamierzają się wycofywać, tylko będą chciały utrzymać zdobyte pozycje. „Forbes" poinformował nawet, że aby wesprzeć ofensywę, Ukraina używa swojego lotnictwa

Fot. Roman Pilipey/AFP/East News

eprasa.pl b044129411

bojowego. Uderzenie Su-27, które są na wyposażeniu ukraińskich sił, doprowadziło do zniszczenia rosyjskiego punktu dowodzenia we wsi Tiotkino. Nie mniej ciekawą informację podał portal CDS, którego eksperci ujawnili, że ataki ukraińskiego lotnictwa bojowego na rosyjskie pozycje miały miejsce również na froncie charkowskim, odległym o 160 km od obwodu kurskiego. Niewykluczone, że jest to świadectwo rozszerzania operacji.

Mike Ryan, australijski komandor, obecnie wykładowca uczelni wojskowych, napisał, że aby zaatakować obwód kurski, Ukraińcy najwyraźniej zbudowali grupę operacyjno-manewrową składającą się z pododdziałów kilku doświadczonych brygad. Za czasów sowieckich tego rodzaju związki taktyczne miały działać na głębokich tyłach przeciwnika, nie mając bezpośredniego kontaktu ze swoim zapleczem. W jego opinii operacja wchodzi teraz w fazę konsolidacji po tym, jak z powodzeniem zdołano zrealizować wtargnięcie i przełamanie.

Obecnie strona ukraińska przygotowuje się do odparcia rosyjskiego kontruderzenia, bo jest oczywiste, że Moskale ściągną dodatkowe siły, aby wyprzeć atakujących. Zapowiedział to zresztą Putin na oficjalnym spotkaniu z przedstawicielami sił zbrojnych, wywiadu i lokalnymi władzami, nakazując przez zaciśnięte zęby „wyparcie i wybicie" napastników.

STAN CHAOSU

Zdaniem zachodnich obserwatorów o dotychczasowym sukcesie Ukrainy zadecydowało kilka czynników. Przede wszystkim słabość rosyjskiego systemu dowodzenia i chaos kompetencyjny. Nie do końca było wiadomo, kto odpowiada za bezpieczeństwo w obwodzie kurskim, który do tej pory był oazą spokoju w porównaniu z innymi obszarami granicznymi. Formalnie granic chronią siły FSB, a wojskowo rozlokowane tam oddziały, złożone głównie z niedoświadczonych i słabo wyszkolonych poborowych wchodzących w skład tworzonego Moskiewskiego Okręgu Wojskowego. Jest jeszcze czeczeńska jednostka Achmat podległa Rosgwardii Zołotowa, ale mająca dużą autonomię operacyjną. Tą zbieraniną nikt nie dowodził. „Żołnierze siedzieli w lesie i pili kawę" – jak dziś sarkastycznie piszą rosyjscy korespondenci wojenni. Właśnie ten brak jednolitego systemu dowodzenia wykorzystali Ukraińcy.

Chaos się utrzymuje, bo nawet na najwyższym poziomie nie wiadomo, kto ma „przywrócić porządek" w zaatakowanym obwodzie. Z doniesień rosyjskich mediów wynika, że gen. Gierasimow, szef rosyjskiego sztabu generalnego i dowódca „całej specjalnej operacji", został odsunięty od nadzoru nad tym, co się dzieje w obwodzie kurskim i okolicach przez wściekłego Putina.

Ogłoszono „operację antyterrorystyczną"; za jej przeprowadzenie ma odpowiadać szef FSB Aleksandr Bortnikow, który zresztą jest na progu emerytury i w jego otoczeniu trwa rywalizacja o to, kto przejmie schedę po nim. W świetle oficjalnych informacji to FSB ma wypchnąć Ukraińców. Pojawiły się też inne doniesienia, w świetle których Putin mianował specjalnego nadzorcę – co ciekawe, swego byłego ochroniarza, uważanego też za ewentualnego następcę rosyjskiego prezydenta. Chodzi o Aleksieja Diumina, który w opinii deputowanego Nikołaja Iwanowa, „wybranego" do Dumy z Kurska, ma nadzorować całą operację.

PLANY KIJOWA WEDŁUG MOSKWY

Na razie Moskale ściągają dodatkowe siły, ale najwyraźniej nie mają zamiaru wycofywać jednostek frontowych. W rosyjskich mediach panuje powszechne przekonanie, że jednym z celów ukraińskiego uderzenia było zmuszenie rosyjskiego dowództwa do przesunięcia sił zaangażowanych do tej pory na froncie donieckim na nowy kierunek. W świetle tej narracji Kijowowi mogło chodzić o zmniejszenie presji, co w dłuższej perspektywie pozwoliłoby ustabilizować zagrożone odcinki. Tak odczytując intencje ukraińskiego dowództwa, Rosjanie nie mają zamiaru wykonywać tego rodzaju ruchów, a nawet, jak wynika z doniesień, zwiększają liczbę ataków tam, gdzie toczą się najbardziej intensywne walki. To oczywiście wpływa na ich zdolność do przeprowadzenia kontruderzenia w obwodzie kurskim, ale w Rosji panuje też przekonanie, że „nie musimy się spieszyć" – oczywiście pod warunkiem, że ostatecznie uda się odnieść zwycięstwo.

KOLEJNA MOBILIZACJA

Na razie pojawiły się doniesienia o tym, że wywierana jest silna presja na poborowych, aby podpisując kontrakty z siłami zbrojnymi, zgodzili się oni iść na pierwszą linię. Takie doniesienia napłynęły z Murmańska i Irkucka, a także od matek tych żołnierzy służby zasadniczej pełniących służbę w obwodzie kurskim, którzy zdołali się wycofać. „I tak pójdziecie – relacjonowała jedna z kobiet mediom słowa dowódcy jej syna – ale teraz zapłacimy wam żołd bojowy [...]. A jeśli się nie zgodzicie, to pójdziecie pod sąd, a i tak później będziecie walczyć".

Powołując się na trzy niezależne źródła zbliżone do Ministerstwa Obrony i Kremla, Bloomberg poinformował, że rosyjskie władze już jesienią mogą się zdecydować na ogłoszenie kolejnej mobilizacji, która zapewne nie będzie się tak oficjalnie nazywać. Będzie mowa o „rotacji" sił, ale istota działania się nie zmieni. Rosyjskie siły zbrojne potrzebują więcej ludzi, bo w ciągu ostatnich trzech miesięcy ich straty wyniosły już ok. 100 tys. zabitych i rannych, a wydolność systemu naboru ochotników mimo podwojenia premii i żołdu jest coraz mniejsza.

Mobilizacja może się też okazać niezbędna, bo jedną z odpowiedzi na działania Ukrainy w obwodzie kurskim może być rosyjska eskalacja wojny. Na naradzie z najwyższymi dowódcami Putin zapowiedział, że rozmów pokojowych z Kijowem nie będzie, bo ukraińska akcja ma charakter terrorystyczny i „z takimi ludźmi nie ma o czym rozmawiać". Dmitrij Miedwiediew zagroził rozszerzeniem wojny, zwiększeniem jej intensywności, zdobyciem ukraińskich miast. Od tej chwili, napisał następnego dnia po ataku na obwód kurski, „można i trzeba atakować ziemie istniejącej jeszcze Ukrainy. Iść do Odessy, do Charkowa, do Dniepropietrowska, do Nikołajewa. Do Kijowa i dalej". Problemem jest oczywiście to, że Moskale nie mają wystarczających sił, aby zrealizować tego rodzaju deklaracje. Jeśli więc chcą eskalować wojnę, to muszą zacząć myśleć o mobilizacji.

CO DALEJ?

W krótszej perspektywie Kreml wyda najprawdopodobniej rozkaz intensywniejszych bombardowań ukraińskich miast,

eprasa.pl b044129411

również przy użyciu systemów pozyskanych z Korei Północnej i Iranu. W Teheranie niedawno przebywał minister Biełousow, a zachodnie media donoszą o przekazaniu Rosji przez Iran rakiet balistycznych.

Inna opcja rozszerzenia wojny polegająca na próbie wciągnięcia Białorusi wydaje się mniej prawdopodobna. Reakcja Mińska na to, co się wydarzyło, była symptomatyczna i zdaniem Walerego Karbalewicza, komentatora Radia Svoboda, raczej nie zapowiada zmiany charakteru zaangażowania Łukaszenki w konflikt. Najpierw przedstawiciele reżimu milczeli, najwyraźniej nie wiedząc, jak zareagować, a potem białoruski dyktator przy okazji wizyty w jednym z gospodarstw rolnych powiedział o „niepokojach na granicy" i rzekomym ataku dronów z południa. Przedstawiciele białoruskiej opozycji i Sił Zbrojnych Ukrainy zaprzeczają tej narracji, ale była ona najwyraźniej potrzebna Łukaszence po to, aby retorycznie poprzeć Kreml i w obliczu „zagrożenia" wysłać własne oddziały na granicę. Ta dyslokacja ma charakter symboliczny i zdaniem obserwatorów służy raczej symulowaniu aktywności po to, aby przekonać Moskali, że białoruskie siły mają pełne ręce roboty u siebie i nie ma mowy o jakiejkolwiek pomocy.

W reakcji na to, co się dzieje, Rosjanie mogą oczywiście odwołać się do swojego starego instrumentarium i zacząć straszyć ryzykiem wojny nuklearnej albo przynajmniej niekontrolowanego rozwoju wydarzeń. Już pojawiła się narracja o tym, że „Ukraińcy mają brudną bombę jądrową" i mogą chcieć jej użyć. W oficjalnych relacjach mówi się też o stosowaniu broni chemicznej.

Uwagę międzynarodowej opinii publicznej przykuł również gęsty czarny dym wydobywający się z chłodni kominowej w kontrolowanej przez Moskali elektrowni atomowej w Zaporożu. Dmitrij Gorczakow, rosyjski fizyk jądrowy, obecnie pracujący na Zachodzie, powiedział emigracyjnej „Nowej Gazecie Europa", że obserwowany pożar nie stanowił zagrożenia dla reaktorów co najmniej z dwóch powodów. Nie pracują one od niemal dwóch lat, bo późnym latem 2022 r. zostały wprowadzone „w stan uśpienia", a ponadto chłodnia kominowa jest oddalona o 1,5 km od głównych obiektów elektrowni i służy schładzaniu wody, której teraz nie potrzeba, jako że reaktory nie pracują. Jego zdaniem zaobserwowany pożar został celowo wzniecony przez Rosjan albo mieliśmy do czynienia z zaprószeniem ognia.

Niektóre rosyjski kanały informacyjne na platformie Telegram podawały, że stacjonujący w elektrowni żołnierze podpalili zwiezione do chłodni kominowej opony i stąd gesty czarny dym. Niemniej o incydencie informowały na pierwszych stronach wszystkie światowe media i ten sygnał był, jak można przypuszczać, skierowany przede wszystkim do sojuszników Ukrainy, by ci wywarli presję na Kijów. Na razie bez większego skutku.

> O dotychczasowym sukcesie Ukrainy zadecydowały przede wszystkim słabość rosyjskiego systemu dowodzenia i chaos kompetencyjny. Nie do końca było wiadomo, kto odpowiada za bezpieczeństwo w obwodzie kurskim. „Żołnierze siedzieli w lesie i pili kawę" – piszą sarkastycznie rosyjscy korespondenci wojenni

Iwan Jakowina, komentator ukraińskiego portalu NV, przez lata mieszkający w Moskwie, pisze, że w działaniach rosyjskich władz wszystkich szczebli widać już oznaki paniki. Zostały zaskoczone i teraz podejmują nieskoordynowane, chaotyczne działania. Ewakuują ludzi z obszarów, które nie są zagrożone, transport kolejowy i drogowy praktycznie został unieruchomiony, szwankuje koordynacja, nie wiadomo, kto za co odpowiada. Jakowina zwrócił też uwagę na fakt, że po odejściu Szojgu i nominacji Biełousowa w resorcie obrony trwają czystki personalne. W ciągu ostatnich kilkunastu tygodni miały miejsce aresztowania generałów sprawujących do tej pory znaczące funkcje, dymisje i zagadkowe zgony. Jeśli w związku z atakiem na obwód kurski Putin odwołuje się do FSB Bortnikowa, Gwardii Narodowej, a nadzorcą mianuje Diumina, może to oznaczać, że relacje między Kremlem a wojskowymi nie układają się najlepiej.

Póki co nie ma sensu wdawać się w te rozważania i analizować, która frakcja w rosyjskim obozie władzy w związku z operacją kurską staje się coraz bardziej aktywna. Symptomatyczna jest jednak wypowiedź Olega Deripaski dla japońskiej gazety, w której wezwał on do zakończenia wojny, nazywając jej kontynuację „szaleństwem". Rosyjski oligarcha wygłaszał podobne tezy na początku konfliktu, potem przycichł, teraz najwyraźniej znów uznał, że trzeba zacząć o tym mówić.

Sytuacja w Rosji, również wewnętrzna, może się szybko zacząć zmieniać. Tym bardziej że ze strategicznego punktu widzenia Putin ma ograniczone możliwości. Nie osiągnie spektakularnego sukcesu ani w obwodzie kurskim, ani na pozostałych odcinkach frontu. Eskalacja wojny, jej rozlanie na inne tereny, w obliczu szczupłości sił, jakimi dysponuje Rosja, wydaje się mało prawdopodobna. Straszak nuklearny jest coraz mniej skuteczny. Można oczywiście robić dobrą minę i twierdzić, że Rosja i tak wygra wojnę, ale Ukraińcy nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa.

Jeden z rosyjskich ekspertów występujący w propagandowym kanale rosyjskiej telewizji prowadzonym przez Władimira Sołowiowa powiedział, że już za kilka tygodni, na przełomie sierpnia i września, siły ukraińskie dysponujące myśliwcami F-16 zniszczą most Kerczeński i będą starały się odciąć półwysep, a następnie mogą zacząć ofensywę na tym kierunku. Nie wiemy, czy tak się stanie, ale niewątpliwie jednym z już widocznych rezultatów ataku na obwód kurski jest to, że Rosja straciła inicjatywę i została, przynajmniej na jednym z odcinków frontu, zepchnięta do defensywy. To jeszcze nie zwycięstwo Ukrainy, ale z pewnością znacząca zmiana na korzyść Kijowa.

eprasa.pl b044129411

Wojna wiceprezydentów

Wybór J.D. Vance'a i Tima Walza wskazuje, że kampania wyborcza w USA zamienia się w wielki spór światopoglądowy i tożsamościowy

Fot. Phil Mistry/Shutterstock.com, lev radin/Shutterstock.com

Zarówno Donald Trump, jak i Kamala Harris wskazali kandydatów na wiceprezydentów. Są nimi: James Donald Vance i Tim Walz. Do tej pory główni pretendenci w wyścigu do Białego Domu zazwyczaj wybierali na swych zastępców osoby znacząco się od nich różniące, dzięki czemu mieli nadzieję na poszerzenie elektoratu. Stany Zjednoczone są bowiem krajem tak ogromnym i zróżnicowanym, że faworyt demokratów lub republikanów może spodobać się niektórym grupom wyborców, natomiast do innych może dotrzeć jego zastępca.

W br. liderzy obu partii złamali jednak tę regułę. I Trump, i Harris wybrali polityków, którzy w najważniejszych sprawach światopoglądowych niemal niczym się od nich nie różnią. Nie zamierzają więc przesuwać się ku centrum, by pozyskać umiarkowanych wyborców, lecz raczej grają na mobilizację twardego elektoratu, co zapowiada ostrą polaryzację podczas kampanii.

GRZEGORZ GÓRNY

WIEŚNIAK Z PASA RDZY

40-letni J.D. Vance pochodzi z Ohio, przemysłowego stanu, zaliczanego niegdyś do tzw. pasa stali, czyli obszaru geograficznego, którego znakiem rozpoznawczym były liczne kopalnie, huty i fabryki. Kiedy produkcję zaczęto przenosić do Chin, Indii lub Meksyku, region mocno podupadł i doczekał się nowej nazwy: pas rdzy.

Mieszkańców tych terenów określa się niekiedy mianem „redneck", czyli „czerwony kark", co oznaczało kiedyś wieśniaków pracujących w polu, którzy mieli opalone szyje. Z czasem jednak zaczęto tak nazywać osoby z białych robotniczych rodzin,

eprasa.pl b044129411

które po upadku przemysłu ciężkiego zostały dotknięte kryzysem. Innym terminem określającym tę grupę stało się słowo „hillbilly", oznaczające kogoś w rodzaju „miejskich wieśniaków", głównie potomków irlandzkich lub szkockich emigrantów, z jednej strony dumnych, niezależnych i samowystarczalnych, z drugiej nieufnych wobec nowoczesności i skłonnych do agresji. To oni stali się głównymi ofiarami deindustrializacji Ameryki – w ciągu jednego pokolenia z robotniczej arystokracji, czyli wielkoprzemysłowej klasy średniej, spadli do nizin społecznych, zasilając szeregi bezrobotnych lub niepewny jutra prekariat.

Jak pisze czeski bloger Marian Kechlibar: „Hillbillies mają swój własny sposób życia, który obejmuje bójki, alkohol, opiekę społeczną, hordy zastępczych ojców i wujków (każdy z rodzeństwa o innym nazwisku), ciążę w wieku 13 lat i zepsute zęby w wieku lat 20... Są to głównie etniczni Szkoci i Irlandczycy o bladych twarzach, a w odróżnieniu od większości Europy w tym zestawie znajduje się także znaczna ilość broni palnej. Czasem stanowi ona skuteczny hamulec konfliktu – nawet bardzo żywiołowy wnuczek nagle się uspokaja, gdy własna babcia wyceluje mu coltem w twarz – ale i tak kwitnie tam przemoc, czasem nawet w absurdalnej formie".

W takim właśnie świecie dorastał J.D. Vance, którego rodzice rozwiedli się, gdy miał kilka lat. Wychowywała go samotna matka, która nieustannie zmieniała partnerów, popadając najpierw w lekomanię, a potem w narkomanię. To, że nie trafił do więzienia lub nie skończył na ulicy, zawdzięczał głównie babci, która emanowała konserwatywną, choć niezinstytucjonalizowaną religijnością. Dzięki jej uporowi skończył szkołę średnią, a następnie zaciągnął się do wojska. Trafił do piechoty morskiej i przez pół roku służył w Iraku. Po powrocie do kraju podjął studia najpierw na Uniwersytecie Stanowym Ohio w Columbus, a potem na wydziale prawa Uniwersytetu Yale.

To właśnie tam namówiony przez swą nauczycielkę postanowił napisać autobiograficzną powieść, zawierającą doświadczenie dojrzewania „straconego pokolenia" w pasie rdzy. Tak powstała „Elegia dla bidoków" („Hillbilly Elegy"), nosząca podtytuł „Historia mojej rodziny i społeczeństwa w kryzysie". Książka sprzedała się w nakładzie aż 2 mln egzemplarzy, przez 60 tygodni utrzymując się na liście bestsellerów „The New York Times". Na jej podstawie powstał film, w którym zagrały m.in. takie gwiazdy Hollywood, jak Glenn Close i Amy Adams.

> J.D. Vance jako świadomy katolik ma jasno określone stanowisko: sprzeciwia się aborcji, eutanazji, ideologii gender i innym antychrześcijańskim postulatom niesionym na lewicowych sztandarach. Dokładnie na antypodach jego poglądów sytuuje się kandydat na wiceprezydenta z partii demokratycznej – starszy od niego o 20 lat Tim Walz

Premiera powieści odbyła się w 2016 r., gdy wybory prezydenckie wygrał Donald Trump. Zdaniem wielu komentatorów „Elegia dla bidoków" najlepiej wyjaśniała, dlaczego to właśnie on odniósł wówczas zwycięstwo. Opisywała bowiem tę część Ameryki, o której zapomniała lewicowo-liberalna elita, a o którą jako jedyny upomniał się kandydat republikanów. Książka idealnie trafiła na swój czas. W ten sposób nieznany debiutant z dnia na dzień stał się jednym z najpoczytniejszych pisarzy w Stanach.

DROGA DO DAMASZKU

W tamtym czasie pozostawał krytyczny wobec Trumpa, nazywając go wręcz idiotą i porównując do Hitlera. Jednak z czasem jego stosunek do 45. prezydenta USA zaczął się zmieniać. Ewoluował również światopogląd Vance'a. Po powrocie z Iraku deklarował się jako ateista. Z czasem uświadomił sobie jednak, że jego odrzucenie Boga i religii nie było wynikiem samodzielnych przemyśleń, lecz wyrazem przystosowania się do wielkomiejskiej elity. Pytania o sens życia, dobro i zło czy podstawy funkcjonowania wspólnoty doprowadziły go do zrewidowania swego stanowiska.

Wpływ na to miało kilku konserwatywnych autorów, m.in. Patrick J. Deneen, filozof polityki, autor bestsellerowej książki „Dlaczego liberalizm zawiódł", Rod Dreher, chrześcijański komentator, autor „Opcji Benedykta", czy bloger Curtis Yarvin, inicjator ruchu Mroczne Oświecenie. Duże znaczenie dla młodego pisarza miała również przyjaźń z Peterem Thielem, przedsiębiorcą z branży technologicznej, współzałożycielem PayPala i pierwszym inwestorem kapitałowym Facebooka, który dziś jest największym oprócz Elona Muska zwolennikiem Trumpa wśród gigantów w sektorze IT.

Decydujący wpływ na poglądy Vance'a wywarła jednak twórczość zmarłego w 2015 r. francuskiego filozofa René Girarda, a zwłaszcza jego koncepcje „mimetycznej rywalizacji" i „kozła ofiarnego". Sprawiły one, że dawny „redneck" z Ohio zwrócił się w stronę katolicyzmu. Odkryciem stała się dla niego lektura pism św. Augustyna, szczególnie zaś „Wyznań" i „Miasta Bożego". W pierwszym z utworów odnalazł siebie i swoją drogę duchową, w drugim, w opisie schyłkowego Rzymu z jego kultem konsumpcji i rozrywki („chleb i igrzyska"), współczesną mu Amerykę.

Gdy otwierała się przed nim obiecująca kariera prawnicza, odkrył, że jego obsesją stały się kolejne osiągnięcia zawodowe, które tak naprawdę nie dawały mu szczęścia. Jak później wyznał: „Spojrzałem w przyszłość i zdałem sobie

eprasa.pl b044129411

sprawę, że biegłem w desperackim wyścigu, w którym pierwszą nagrodą była praca, której nienawidziłem". Zapytał wówczas samego siebie: „Czy wszystkie te światowe wskaźniki sukcesu rzeczywiście czynią mnie lepszym człowiekiem?". Zamienił cnoty na sukcesy, jednak zdał sobie sprawę, że to pułapka, gdy dowiedział się, iż jego ówczesnej narzeczonej (późniejszej żonie) nie zależało na tym, czy uzyska stanowisko aplikanta w Sądzie Najwyższym, ale na tym, by był dobrym człowiekiem.

Pragnienie przemiany życia związane z intensywnymi poszukiwaniami intelektualnymi i duchowymi doprowadziły w końcu Vance'a do przyjęcia w sierpniu 2019 r. chrztu w Kościele katolickim. Katolicyzm odwoływał się do tej części w nim samym, która, jak wyznawał, „wymagała, bym traktował mojego syna z cierpliwością i sprawiała, że czułem się okropnie, gdy zawodziłem. Wymagała, bym powściągał swój temperament wobec wszystkich, a szczególnie wobec mojej rodziny. Wymagała, bym bardziej dbał o to, jak oceniam siebie jako męża i ojca niż jako osobę zarabiającą pieniądze. Wymagała, bym poświęcił prestiż zawodowy dla dobra rodziny. Wymagała, abym porzucił urazy i wybaczał nawet tym, którzy mnie skrzywdzili".

W wojnie kulturowej, która rozrywa dziś Amerykę, J.D. Vance jako świadomy katolik ma jasno określone stanowisko: sprzeciwia się aborcji, eutanazji, ideologii gender i innym antychrześcijańskim postulatom niesionym na lewicowych sztandarach. Dokładnie na antypodach jego poglądów sytuuje się kandydat na wiceprezydenta z partii demokratycznej – starszy od niego o 20 lat Tim Walz.

KALIFORNIA W MINNESOCIE

Gdy Kamala Harris ogłosiła, kogo widzi u swego boku jako przyszłego wiceprezydenta, większość Amerykanów po raz pierwszy usłyszała nazwisko Walz. Przeprowadzony naprędce sondaż wykazał, że 71 proc. mieszkańców USA w ogóle nie kojarzy gubernatora Minnesoty.

On sam dość późno wszedł do polityki. Przez 24 lata służył w Gwardii Narodowej, a potem pracował jako nauczyciel w szkole średniej i trener futbolu amerykańskiego. Jak sam wspominał, przełomem stał się dla niego 2004 r., gdy jego uczniowie, zwolennicy Johna Kerry'ego, chcieli zakłócić wiec wyborczy George'a W. Busha, jednak zostali wyrzuceni przez ochroniarzy. Walz stanął wówczas w ich obronie. To właśnie wtedy postanowił zaangażować się czynnie po stronie demokratów.

Dwa lata później uzyskał mandat do Izby Reprezentantów, a potem jeszcze pięciokrotnie uzyskiwał reelekcję do Kongresu USA. W 2018 r. został wybrany na gubernatora Minnesoty, a następnie powtórzył ten wynik w 2022 r. Demokraci po raz pierwszy od dekady zdobyli wówczas większość w obu izbach stanowego Kongresu. Mając pełnię władzy, zyskali możliwość przeforsowania każdej zmiany. Wtedy okazało się, że ich program jest skrajnie lewicowy, zaś twarzą tej lewackiej polityki został Walz.

To właśnie on firmował ustawę legalizującą w Minnesocie aborcję, która została uznana za podstawowe prawo kobiet. Obiecał też przekształcić swój stan w miejsce azylu dla osób, które chcą jej dokonać. Według jego deklaracji Minnesota ma być także schronieniem dla nieletnich, którzy pragną zmienić płeć, a ich własne stany im tego zabraniają. Dlatego podpisał ustawę chroniącą wszystkich zamieszanych w ten proceder przed konsekwencjami prawnymi grożącymi im w rodzimych stanach. Wspominane prawo zostało powszechnie odebrane jako akt wymierzony w sąsiednią Dakotę Północną, która zakazała na swym terenie aborcji oraz operacji tranzycji na osobach nieletnich. Składając podpis pod dokumentem, Walz oświadczył z dumą, że „marsz bigoterii i nienawiści zatrzymuje się na granicach Minnesoty".

Demokraci pod jego wodzą wprowadzili także wiele innych zmian, np. przyznali prawa wyborcze więźniom, zezwolili na wydawanie prawa jazdy nielegalnym imigrantom, zliberalizowali handel marihuaną czy zaczęli zieloną transformację energetyczną. Z tego powodu popularne stało się hasło, że Walz zamienia Minnesotę w drugą Kalifornię. On sam nie ukrywa jednak, że wprowadzone przez siebie rozwiązania chciałby przenieść ze szczebla stanowego na federalny.

MONOTEMATYCZNA PARA

Zanim Kamala Harris ogłosiła swą decyzję, publicyści uważali, że większe szanse, by kandydować na wiceprezydenta, ma inny proaborcyjny polityk – gubernator Pensylwanii Josh Shapiro. Jest on jednak pochodzenia żydowskiego i mocno wspiera państwo Izrael, co okazuje się nie do strawienia dla lewicowego skrzydła partii demokratycznej, które pozostaje zdecydowanie propalestyńskie. Sympatyzujący z tym środowiskiem Walz nie wypowiada się co prawda na temat konfliktu bliskowschodniego, jednak krytycy Izraela liczą na jego przychylność (tym bardziej że z wyścigu prezydenckiego wycofał się Joe Biden, uchodzący za polityka prożydowskiego). Republikanie z pewnością będą chcieli wykorzystać pęknięcie w obozie swych przeciwników na tle wojny w Gazie, dlatego już wkrótce Walz będzie musiał określić, jakie stanowisko w tej sprawie zajmuje.

Krytycy już teraz zarzucają mu mijanie się z prawdą, ponieważ wiele razy głosił publicznie, iż jest weteranem wojennym i służył jako żołnierz w Iraku. W rzeczywistości przeszedł na emeryturę kilka miesięcy przed wysłaniem jego jednostki w rejon konfliktu. Gubernator Minnesoty jest też obciążany odpowiedzialnością za wybuch zamieszek, które w 2020 r. rozlały się po USA, ponieważ zaczęły się one w jego stanie – w Minneapolis po zabójstwie George'a Floyda. Mimo że uzbrojone bandy bezkarnie grabiły miasto i terroryzowały ludność, on przez trzy dni zwlekał z wezwaniem Gwardii Narodowej.

Amerykanie nie mieli do tej pory okazji, by poznać zdanie Kamali Harris i Tima Walza w sprawach polityki zagranicznej, gospodarczej czy imigracyjnej. Specjalnością tej dwójki stały się problemy wojny kulturowej, takie jak aborcja czy gender. Pod tym względem są szalenie monotematyczni. Wiele wskazuje na to, że zmierzają ku polaryzacji społecznej, chcąc zamienić kampanię wyborczą w wielki plebiscyt światopoglądowy i tożsamościowy, ukazując siebie jak przedstawicieli postępu i rozumu, a swych przeciwników jako zacofanych bigotów i szaleńców.

eprasa.pl b044129411

„Cud” w Salwadorze

MAŁGORZATA WOŁCZYK

Jedno z najniebezpieczniejszych państw świata w ciągu paru lat stało się oazą spokoju. Jak udało się skończyć z terrorem narkotykowych gangów?

Na dostępnych zapisach wideo i zdjęciach widać setki klęczących więźniów w skłonie do ziemi na podłodze jednego z największych więzień na świecie, i to w jednym z najmniejszych krajów na planecie – Salwadorze. Mają ogolone głowy, ciała pokryte tatuażami, a kończyny skute kajdankami zespolonymi. To nie jest widok miły dla polskich oczu, bo skojarzenia z obozem koncentracyjnym nasuwają się same, choć lepiej ostudzić pierwsze wrażenia i poznać prawdę o eksperymencie.

WIĘZIENIE NA 166 HA

W lutym br., kilka dni po tym, jak prezydent Nayib Bukele odniósł kolejne zwycięstwo w wyborach (zyskując poparcie 83 proc. głosujących), osobiście otwierał obiecane narodowi gigantyczne więzienie o nazwie Centrum Zatrzymywania Terrorystów (CECOT). Wydawać się mogło, że chodzi o inaugurację jakiegoś stadionu olimpijskiego, a tymczasem stworzono rekordowo pojemne więzienie dla ponad 40 tys. osadzonych. I to mimo że w tym malutkim kraju znajduje się już ponad 20 innych ośrodków karnych, w których więźniowie przetrzymywani są czasem jak zwierzęta w klatkach. CECOT został zbudowany 74 km od stolicy San Salvador i zajmuje 166 ha, a mieści 8 pawilonów z 19 wieżami obserwacyjnymi. Spośród 7 pierścieni zabezpieczających więzienie wyróżnia się okalający betonowy mur o wysokości 11 m i długości 2 km, zwieńczony drutem pod napięciem.

Wszyscy jednak wiedzą, że było to oczko w głowie prezydenta, bo tak jak obiecał od czasu ogłoszenia stanu wyjątkowego w marcu 2022 r., chce uwięzić i odciąć od świata wszystkich ludzi należących do przestępczości zorganizowanej i współpracowników gangów. To dla nich przygotowano obiekt, w którym jedynym miejscem do życia pozostanie twardy beton (bez materaca czy poduszki). Więźniowie będą przebywać w 100-osobowych celach, gdzie do dyspozycji przewidziano zaledwie dwie umywalki i dwie toalety. Oczywiście odpowiednio „zasłużeni” spędzą lata w ciemnych izolatkach. „Wszyscy długo nie zobaczą słońca” – powiedział Bukele, któremu jednak nie można odmówić skuteczności w rozwiązaniu problemu, który wydawał się pogrążać kraj w spirali przemocy nie do zatrzymania.

GANGSTERZY WRACAJĄ DO OJCZYZNY

Początek rozkwitu mafii, z którą walczy Bukele, był związany z exodusem Salwadorczyków, którzy uciekali do USA przed wojnami domowymi (1980–1992). Zwykle w Kalifornii powstawały ich gangi znane z przemocy i tatuowania członków. Zaostrzenie polityki imigracyjnej w USA w latach 90. spowodowało powroty do ojczyzny. Deportowani i powracający zaczęli powielać struktury przestępcze, które prosperowały w USA. Nowe gangi szybko pochłonęły lokalne organizacje przestępcze, dzieląc się terytorium.

Ta mafijna ośmiornica zajmująca się handlem narkotykami faktycznie rządziła krajem, mając do dyspozycji przekupioną policję, sędziów, polityków, a jej władza rozciągnęła się na prawie całą Amerykę Środkową i regiony USA. Terror gangów stał się główną bolączką kolejnych rządów Salwadoru, które wielokrotnie

Fot. Joa Souza/Shutterstock.com

eprasa.pl b044129411

negocjowały z ich przywódcami, próbując przekonać do ograniczenia przelewu krwi (np. w 2015 r. wskaźnik oscylował wokół 110 morderstw na 100 tys. mieszkańców). Także samego Bukele oskarżano o prowadzenie negocjacji w latach 2015–2018, gdy był burmistrzem stolicy. Nie wiadomo, ile w tym prawdy, ale wiemy, że był on pierwszym, który zadał śmiertelny cios gangom, jak tylko objął stanowisko prezydenta w 2019 r. Kluczem jego udanej strategii było całkowite zerwanie komunikacji między osadzonymi szefami gangów a ulicą. Filmy o bossach narkotykowych pokazują, z jaką łatwością ci zarządzają strukturami przestępczymi nawet zza krat.

W marcu 2022 r. operacja przyspieszyła, gdy po fali 87 morderstw w zaledwie dwa dni prezydent zdecydował się ogłosić stan wyjątkowy (odnawiany przez kolejne miesiące), po czym zniósł prawo do obrony prawnej i informacji o podstawie aresztowania. Można więc było zostać zatrzymanym na podstawie arbitralnych decyzji służb. Strategia Bukele przyniosła natychmiastowy skutek. W wyniku masowych aresztowań za kratami umieszczono na początku 60 tys. osób, co stanowiło 1 proc. całej populacji.

Co ciekawe, represje ze strony władz wzbudziły aplauz zdecydowanej większości Salwadorczyków, zmaltretowanych terrorem mafii, gwałtami i wymuszeniami. Mogli wreszcie odetchnąć i poczuć się bezpiecznie. Popularność Bukele wciąż utrzymuje się na poziomie powyżej 80 proc. i jest najwyższa wśród prezydentów Ameryki Łacińskiej.

BUKELIZM STAJE SIĘ MODNY

Sukces głowy państwa wziął się z koncentracji władzy tylko w jego ręku i poświęceniu praworządności na rzecz bezpieczeństwa. Większość obywateli akceptuje ten pakt i nadal popiera Bukele, co zresztą przykuło uwagę pozostałych przywódców regionu, gdzie także szaleje przestępczość zorganizowana.

Od chwili objęcia urzędu przez argentyńskiego prezydenta Javiera Mileia obie administracje mają serdeczne relacje. Ostatnio wizytę w megawięzieniu złożyła argentyńska minister bezpieczeństwa i chwaliła pokój, który zaprowadził prezydent. Bukele podczas pierwszej kadencji pozostawał w dobrej relacji z ówczesną administracją Trumpa, ostatnio jednak Amerykanin oskarżył go, że sukcesy w wojnie z gangami zawdzięcza wyłącznie wydaleniu przestępców do USA. Bukele skomentował jego atak tylko jednym zdaniem na platformie X (d. Twitter): „Taking the high road". Może być więc pewny obranej drogi, bo „bukelizm" zaczął być chwalony i naśladowany w niektórych sąsiednich krajach. Pani prezydent Hondurasu również zarządziła w ub.r. stan wyjątkowy, aby ułatwić walkę z gangami, potem to samo zrobiła Jamajka, a Ekwador zainwestował dodatkowo w ośrodki penitencjarne i monitoruje obszary o wysokim wskaźniku zabójstw. Niedawno rząd Salwadoru zaoferował pogrążonemu w biedzie Haiti pomoc w wojnie przeciw gangom.

Ukrócenie przestępczości w Salwadorze może oznaczać efekt domina, początek militaryzacji regionu oraz budowę więzień w Ameryce Łacińskiej i na Karaibach. Dziś Salwador ma najwyższy na świecie wskaźnik więźniów (według oficjalnych danych 1536 na 100 tys. mieszkańców), a jednocześnie drastycznie obniżył się wskaźnik morderstw – o 57 proc. w ciągu jednego roku.

Oczywiście „bukelizm" wywołał alarm wśród organizacji międzynarodowych strzegących praw człowieka. Owszem, model masowych arbitralnych zatrzymań, tortur, zgonów i brutalnych postępowań karnych nie może budzić uznania. To też brutalna część prawdy o uzdrawianiu kraju: policja i wojsko mogą zatrzymać dowolną osobę bez powiadomienia rodziny o miejscu pobytu, przez co setki krewnych tłoczą się pod budynkami więzień, poszukując zaginionych bliskich. Dochodzi też do zatrzymań niewinnych osób i pomyłek. Zdarza się, że rodziny odbierają zwłoki bliskich ze śladami tortur i nie mogą liczyć na żadne wyjaśnienia ze strony administracji więzienia.

MISTRZ PR

Sam Bukele to ciekawa persona, rocznik 1981. Urodził się w zamożnej rodzinie powiązanej z władzą i biznesem. Jego ojciec był imamem pochodzenia palestyńskiego, a po osiedleniu się w Salwadorze wyróżnił się jako lider biznesu. Syn porzucił obiecujące studia prawnicze, aby całkowicie poświęcić się swojej firmie reklamowej. Szybko stał się jednym z najbardziej rozchwytywanych speców od reklamy i dlatego główna partia lewicowa FMLN zatrudniła go jako doradcę ds. komunikacji. W 2012 r. partia zaoferowała mu możliwość kandydowania na burmistrza miasta Nuevo Cuscatlán, a jego dobra fama sprawiła, że później kandydował na burmistrza San Salvador, gdzie również odniósł sukces w zarządzaniu i rewitalizacji historycznego centrum. Wszędzie zatrudniał też swoją żonę, dowodząc, że stanowi ona „uzupełnienie jego samego".

Co ciekawe, mimo swoich lewicowych sympatii Bukele demonstruje konserwatywne stanowisko, sprzeciwiając się małżeństwom homoseksualnym i aborcji. Za jego kadencji poprawiły się wskaźniki gospodarcze kraju, nastąpił spadek bezrobocia, wzrost PKB, redukcja deficytu i znaczny wzrost turystyki dzięki temu, że nagle kraj stał się bezpieczny.

Wciąż jednak nie brak takich, którzy uważają go za zagrożenie dla demokracji, bo skończył z systemem dwupartyjnym w kraju, w którym wzajemnie zwalczały się partie ARENA i FMLN.

Bukele stanął na czele swojej formacji Nuevas Ideas (NI), a ta zwyciężyła w wyborach, uzyskując większość. Umożliwiło mu to zatwierdzanie ustaw bez konieczności negocjacji z innymi ugrupowaniami, co doprowadziło do odwołania pięciu członków Sądu Najwyższego i prokuratora generalnego. Ich miejsce zajęli sędziowie sympatyzujący z prezydentem. Mimo skarg przeciwników i organizacji międzynarodowych na „niepraworządność" jego poczynań, orzeczenie sądu umożliwiło Bukele zakwestionowanie konstytucyjnego zakazu reelekcji i kolejne zwycięstwo w 2024 r.

Jak widać, gdy naród wybierze mądrze i zaufa prezydentowi, to nawet republika bananowa może stać się prosperującym i bezpiecznym krajem zadowolonych obywateli.

eprasa.pl b044129411

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Bitwa o alkohol

Grupa wpływowych naukowców przekonuje, że nie ma czegoś takiego, jak bezpieczna ilość alkoholu. Tyle że są oni związani z organizacjami promującymi wstrzemięźliwość, a ich badania są podważane przez ich kolegów po fachu, którzy oskarżają ich o chęć wprowadzenia prohibicji na poziomie globalnym

Fot. Shutterstock

Przez ponad dwie dekady czerwone wino było wychwalane jako dobre dla serca. W latach 90. XX w. badania przeprowadzone przez francuskiego lekarza i dietetyka Serge'a Renauda wykazały związek między piciem umiarkowanych ilości tego głęboko zakorzenionego w kulturze europejskiej trunku a poprawą układu krążenia, czyli tzw. francuski paradoks. Czerwone wino, twierdził Renaud, zawiera antyoksydanty, a więc chroni przed miażdżycą. Francuzi statystycznie rzadziej zapadają na choroby serca niż np. Amerykanie, mimo że stosują dietę bogatą w tłuszcze zwierzęce, jak masło czy śmietana. Gdy w 1996 r. korespondent amerykańskiej stacji CBS Morley Safer przedstawił amerykańskim widzom wyniki badań Renauda, sprzedaż czerwonego wina za oceanem wzrosła o ponad 40 proc.

Jednak w ostatnich latach korzyści z picia umiarkowanych ilości alkoholu, także wina, są systematycznie podważane przez ekspertów. „Jeden kieliszek jest zdrowy, dwa już nie" – tak naukowcy z Centrum Serca im. Petera Munka w Toronto podsumowali w 2008 r. swoje badania nad korzyściami zdrowotnymi alkoholu na łamach „American Journal of Physiology". Dodatkowo nie znaleźli oni różnicy między korzystnym efektem spożywania małej ilości wina a jakiegokolwiek innego alkoholu. „W przypadku większości ludzi kieliszek wina od czasu do czasu jest jak najbardziej w porządku. Ale nie wpływa to korzystnie na zdrowie serca. Czas rozstać się z tym przekonaniem" – mówiła w 2012 r. w rozmowie z „Times" dr Leslie Cho, kardiolog z Cleveland Clinic.

ZMIENIĆ WYTYCZNE

„Przemyślcie waszą postawę odnośnie do czerwonego wina" – ostrzegał także „The New York Times", podkreślając, że nie chroni ono przed chorobami serca, powołując się m.in. na badania dr. Tima Stockwella, kanadyjskiego psychologa i epidemiologa, przez lata związanego z Instytutem Badań nad Używkami i Uzależnieniami (CISUR) na Uniwersytecie Wiktorii. Według Stockwella tylko jeden drink dziennie może skrócić życie o trzy miesiące, a picie alkoholu zwiększa ryzyko zachorowania na raka o 23 proc. Ci, którzy konsumują 35 drinków tygodniowo lub więcej, mogą żyć nawet o dwa lata krócej. Stockwell i jego

eprasa.pl b044129411

koledzy przeanalizowali wyniki 107 badań z ostatnich czterech dekad z udziałem łącznie 4,8 mln osób, w których uwzględniono 724 czynniki ryzyka związane ze zdrowiem, w tym spożywanie alkoholu. Swoje ustalenia opublikowali pod koniec marca ub.r. Wynika z nich, że alkohol nawet w małych ilościach nie wpływa korzystnie na zdrowie, tylko co najwyżej mniej szkodzi. „To proste. U osób pijących umiarkowane ilości alkoholu ryzyko przedwczesnej śmierci jest wyższe niż u tych, które w ogóle go nie piją" – przekonywał epidemiolog w rozmowie z „Time". Poprzednie badania, także te Serge'a Renauda, nazwał „wadliwymi".

Stockwell to autorytet w swojej dziedzinie. Miał znaczący wpływ na decyzję kanadyjskiego rządu, by zmienić wytyczne odnośnie do bezpiecznej ilości alkoholu, którą można spożywać. Zalecenia z 2011 r. zakładały wypicie maksymalnie 10 drinków tygodniowo dla kobiet i 15 dla mężczyzn. Nowe wytyczne z 2023 r. mówią o 2 drinkach tygodniowo. Według „The Daily Telegraph" naukowcy, z którymi Stockwell współpracował przy badaniach nad szkodliwością alkoholu, zajmują wysokie stanowiska w instytucjach, takich jak Światowa Organizacja Zdrowia (WHO), trzech z nich zasiada w komisji, która ma zadecydować, czy amerykańskie wytyczne dotyczące spożycia alkoholu zostaną obniżone.

SPÓR NAUKOWY

Temu, że alkohol uzależnia, nikt nie zaprzecza. Ani temu, że spożywany w dużych ilościach szkodzi. Jak twierdzi „The Daily Telegraph", badania Stockwella wywołały jednak w społeczności naukowej ogromne oburzenie. Podważył on bowiem tzw. krzywą J, która stanowi, że spożycie małych ilości alkoholu przynosi pozytywne skutki, które następnie gwałtownie przechodzą do poziomu negatywnego, im więcej ktoś wypije. Według nich Stockwell wybrał z pośród 107 badań, które przeanalizował, zaledwie 6, ignorując pozostałe, bo nie potwierdzały jego tezy.

„Badania dr. Stockwella to zasadniczo epidemiologia, czyli badanie populacji" – powiedział w rozmowie z gazetą brytyjski naukowiec dr Richard Harding, który w przeszłości opracowywał wytyczne odnośnie do spożycia alkoholu dla rządu w Londynie. „Odnotowujesz styl życia ludzi, a następnie sprawdzasz, na jakie choroby zapadają i próbujesz powiązać chorobę z jakimś aspektem ich stylu życia. Ale to tylko korelacja, to tylko skojarzenie. Epidemiologia nigdy nie jest w stanie sama ustalić związku przyczynowo-skutkowego" – dodał. Jego zdaniem tym, co się liczy, jest rzeczywiste oddziaływanie alkoholu na ludzkie ciało. „Znamy powody, dla których krzywa ma kształt litery J. Dzieje się tak ze względu na ochronny wpływ umiarkowanej konsumpcji alkoholu na choroby serca i wiele innych chorób" – zaznaczył dr Harding.

PEŁZAJĄCA PROHIBICJA

Christopher Snowdon, szef działu ekonomii życia w Instytucie Spraw Gospodarczych w Londynie, także zarzuca Stockwellowi manipulację. „O ile mi wiadomo, dr Stockwell nigdy nie przeprowadził żadnych podstawowych badań na ten temat" – powiedział Snowdon. „On po prostu tworzy systematyczne przeglądy, których celem jest zaciemnienie krzywej J i korzyści płynących z picia alkoholu" – dodał. Zdaniem Hardinga i Snowdona kanadyjski epidemiolog należy do Ruchu Wstrzemięźliwości, którego długofalowym celem jest prohibicja. „Oni uważają, że powinniśmy traktować alkohol bardzo podobnie do tytoniu, że obie te rzeczy uzależniają, obie powodują raka" – podkreślił Snowdon. „Myślę, że grają w dość długofalową grę i muszą zaprzeczyć wielu całkiem wiarygodnym badaniom naukowym, aby to zrobić" – uważa naukowiec. Jak dodał, obecnie na ich celowniku są wytyczne brytyjskiego rządu z 2016 r. zalecające nie więcej niż 14 jednostek alkoholu tygodniowo dla mężczyzn i kobiet. „Stopniowo chcą sprowadzić te wytyczne do zera" – dodał.

Stockwell stanowczo zaprzecza tym oskarżeniom. Według niego jego krytycy są opłacani przez lobby alkoholowe, a on sam ma tylko „przelotne powiązania z Ruchem Wstrzemięźliwości". „Byłem na spotkaniu finansowanym przez Szwedzką Organizację Wstrzemięźliwości [Movendi International – przyp. red.] i napisałem artykuły, które ta organizacja opublikowała" – powiedział w rozmowie z „The Daily Telegraph". Jak dodał, ma też powiązania z Międzynarodowym Zakonem Dobrych Templariuszy – niegdyś organizacją paramasońską, dziś promującą styl życia wolny od narkotyków, tytoniu i alkoholu. „Brałem udział w niektórych ich spotkaniach, ale nie jestem ich członkiem" – zaznaczył.

Zdaniem krytyków rycerzom wstrzemięźliwości chodzi o pieniądze. Dr Dan Malleck, specjalista ds. polityki alkoholowej na Uniwersytecie Brock w Ontario, powiedział „The Daily Telegraph", że naukowcy tacy jak kanadyjski epidemiolog badają szkodliwość alkoholu, bo „tam są pieniądze". „Większość tych pieniędzy pochodzi z funduszy rządowych, z grantów, bo rządy bardziej troszczą się o ochronę swoich obywateli niż o zachęcanie ich do dobrej zabawy" – dodał.

TREND NA ABSTYNENCJĘ

Tyle że ruchy wstrzemięźliwości mają dziś spory wpływ na politykę alkoholową, choćby WHO. Przewodnik organizacji na temat szkodliwości alkoholu z 2023 r. opracowali właśnie eksperci z Movendi International oraz podobnych organizacji, jak Instytut Badań nad Alkoholem w Londynie. W przewodniku alkohol i skutki jego spożycia są porównywane do tytoniu. Zawiera on także stwierdzenie, że alkohol hamuje wzrost gospodarczy. Przewodnik był bardzo krytykowany przez organizacje producentów wina, bo zupełnie pominął kulturowy aspekt alkoholu, element tradycji. Movendi International i inne antyalkoholowe NGO uruchomiły zresztą globalną inicjatywę RESET31, która lobbuje za podwyżką akcyzy na alkohol, ograniczeniem jego dostępności oraz szerzeniem przekazu, że „nie ma bezpiecznego poziomu picia".

Ten przekaz już zaczyna docierać do odbiorców, bowiem jak wynika z badania Instytutu Gallupa z sierpnia 2023 r., 39 proc. Amerykanów uważa, że nawet umiarkowane picie szkodzi zdrowiu. Milenialsi oraz pokolenie Z i tak piją znacznie mniej alkoholu niż starsze pokolenia. Według danych magazynu „World Finance" konsumpcja alkoholu spadła przez ostatnią dekadę o ponad 20 proc. NoLo („no and low alcohol"), czyli abstynencja bądź picie małych ilości wysokoprocentowych trunków, stało się trendem wśród osób poniżej 30 lat, co doprowadziło do wzrostu zysków z segmentu bezalkoholowych piw, cydru i win do 11 mld dol. w 2022 r. Do 2026 r. ich sprzedaż ma wzrosnąć o kolejne 30 proc., a w wielu krajach, jak choćby w Wielkiej Brytanii, pojawiły się puby specjalizujące się w sprzedaży wyłącznie bezalkoholowych wersji alkoholi. Picie alkoholu nawet bez zmanipulowanych badań traci popularność.

eprasa.pl b044129411

Kościół ma dla wszystkich Jezusa Chrystusa

W czasie wizyty *ad limina* papież Franciszek powiedział nam: „Waszym najważniejszym narzędziem jest świadectwo". I to prawda. Świadectwo życia poddanego Ewangelii działa i na młodych, i na starszych, i na ludzi z tzw. peryferii, i na ludzi z centrum. Bez świadectwa wszystkie duszpasterskie propozycje są rachityczne, nieskuteczne i niepoważne

Z metropolitą katowickim abp. Adrianem Galbasem rozmawia Piotr Słabek

Jakie w obecnym czasie jest najważniejsze zadanie Kościoła?

Abp Adrian Galbas: Tak się składa, że jest ono zupełnie niezależne od czasu i niezmienne. Sformułował je sam Chrystus, mówiąc: „Idźcie na cały świat i czyńcie uczniów spośród wszystkich narodów" [Mt 28,19]. Problemem nie jest zatem, co robić, ale raczej jak, bo zdaje się, że Chrystus pozostawił to głównie naszemu rozeznaniu i odpowiedzialności.

Z czego wypływa tak silna obecnie laicyzacja i sekularyzacja polskiego społeczeństwa?

Tu chyba mamy dość dużą jasność dzięki różnym opisom socjologicznym. Po 1989 r. zaczęły następować w Polsce szybkie zmiany kulturowe, które wcześniej zostały wyhamowane, a nawet w pewien sposób odroczone przez czasy PRL i rolę, jaką odgrywał wówczas Kościół. Niestety, i trzeba to powiedzieć ze smutkiem, nie zawsze wykazaliśmy się dalekowzrocznością i odpowiednio wcześniej nie przewidzieliśmy tych zmian, a potem nie przeciwdziałaliśmy im pierwszym skutkom. Była na to pora, gdy Kościół miał większy autorytet społeczny, odpowiednie siły i środki. Być może niezbyt wyraźnie dostrzegliśmy ten proces, być może źle go zinterpretowaliśmy lub nawet częściowo zlekceważyliśmy. Obecnie zmiany kulturowe nie tylko nie zwolniły, lecz przeciwnie – zaczęły przyspieszać. Stało się to wraz z rozwojem technologicznym i pojawieniem się nowych sposobów komunikowania społecznego. Tradycyjny model przekazywania wiary oparty na tym, że stanowiła ona część dziedziczonej od rodziców formacji kulturowej, załamał się, gdy przestał działać mechanizm dziedziczenia kulturowego. Nie udało się zatem pokoleniowo przekazać wiary młodym, bo dziedzictwo ojców traktują oni wybiórczo, przejmując z niego to, co uznają za wartościowe. Jeśli więc nie potrafimy ukazać Ewangelii jako wartości, na której warto postawić życie, młodzi jej nie przyjmą. Do tego wszystkiego doszedł kryzys wiarygodności instytucji Kościoła, zwłaszcza w związku z ujawnianymi w ostatnich latach strasznymi przestępstwami niektórych duchownych i fatalnymi reakcjami niektórych pasterzy na te przestępstwa. Nie zadbano odpowiednio o pokrzywdzonych, co niestety nadal stanowi powód do zgorszenia. Czynników spadku wiarygodności Kościoła jest niestety więcej...

Jak ksiądz arcybiskup ocenia rozmowy z rządem i możliwość wzajemnego porozumienia?

Nie oceniam, bo na razie takich rozmów nie ma. W przeszłości Komisja Wspólna Rządu i Episkopatu była miejscem ważnego, choć czasem trudnego dialogu, który przyniósł dobre owoce. Liczę, że będzie tak nadal. Kościół, co już wielokrotnie deklarowano z naszej strony, zawsze jest gotów do takich rozmów, a tematów znalazłoby się bez liku. Kościół nie traktuje demokratycznie wybranej władzy jako swojego wroga i mam nadzieję, że to samo działa w drugą stronę.

Co w przekazie Ewangelii jest najbardziej uniwersalne i potrzebne współczesnemu człowiekowi?

Chyba nie istnieje ktoś taki, jak współczesny człowiek. Poszczególne osoby są bardzo różne i potrzebują innego wsparcia na różnych etapach życia – raz pocieszenia, raz wzmocnienia, raz światła, a kiedy indziej zachęty lub napomnienia. W przekazie Ewangelii najbardziej uniwersalne pozostaje to, co zawsze: ona jest dobrą wieścią o tym, że Bóg kocha wszystkie swoje stworzenia, a człowieka powołał do szczególnej jedności ze sobą i dlatego podnosi go z grzechu do godności dziecka Bożego. Ewangelia jest także przepiękną szkołą życia: ucząc miłości, uczy życia we wspólnocie z innymi ludźmi, i to aż po gotowość oddania go za bliźniego.

Co w Kościele jest stałe i niezmienne, a co tymczasowe i zmienne, dostosowujące się do potrzeb oraz czasów?

eprasa.pl b044129411

Abp Adrian Józef Galbas
SAC (Stowarzyszenie Apostolstwa Katolickiego Księży Pallotynów)
Urodził się 26 stycznia 1968 r. w Bytomiu. W latach 2011–2019 był przełożonym prowincjalnym Prowincji Zwiastowania Pańskiego w Poznaniu. 12 grudnia 2019 r. został mianowany przez papieża Franciszka biskupem pomocniczym diecezji ełckiej, a 4 grudnia 2021 r. arcybiskupem koadiutorem archidiecezji katowickiej. W Konferencji Episkopatu Polski jest przewodniczącym Rady ds. Apostolstwa Świeckich oraz członkiem Zespołu przy Delegacie KEP ds. Duszpasterstwa Emigracji Polskiej.

Gdyby odpowiedzieć na to pytanie szczegółowo, należałoby napisać kilka poważnych książek. Najprościej mówiąc: niezmienne jest to, co Bóg przez Chrystusa objawił nam dla naszego zbawienia. Zmienna jest nasza zdolność rozumienia i formułowania tego w języku, który byłby zrozumiały, choć nie prymitywny i banalny. Zmienne są także formy, w których wyrażamy to, co niezmienne. Stałe – jak ufamy – jest wsparcie udzielane przez Ducha Świętego, byśmy w Kościele umieli poprawnie odróżniać jedno od drugiego.

Jaką propozycję, szczególnie dla młodych ludzi, ma dziś Kościół? Co może zaoferować wiernym stojącym na jego obrzeżach. I najważniejsze pytanie: w jaki sposób może to uczynić?

Kościół ma dla wszystkich Jezusa Chrystusa. I to nie jest „jedynie", lecz „aż". Bo nie ma większego skarbu dla ludzkości niż osoba i dzieło Zbawiciela. Chodzi tylko o to, jak go pokazać, by inni poszli za nim. W czasie wizyty papież Franciszek *ad limina* powiedział nam: „Waszym najważniejszym narzędziem jest świadectwo". I to prawda. Świadectwo życia poddanego Ewangelii działa i na młodych, i na starszych, i na ludzi z tzw. peryferii, i na ludzi z centrum. Bez świadectwa wszystkie duszpasterskie propozycje są rachityczne, nieskuteczne i niepoważne.

Ważny jest także, o czym już wspomniałem, język, którym się komunikujemy. Dobrej Nowiny nie można głosić złymi słowami, takimi, które innych by obrażały, dyskryminowały czy – nie daj Boże – poniżały. I nie chodzi o to, czy ja uważam, że cię obraziłem, tylko o to, czy ty się tak czujesz.

Papież Franciszek podkreśla, że Ewangelia w każdym czasie wciela się w obecną kulturę i jest pokazywana poprzez nią. Co zrobić, by Ewangelia bardziej zagościła we współczesnej polskiej kulturze?

Jedynym nieprzemocowym sposobem kształtowania kultury jest docieranie z Ewangelią do poszczególnych osób. Jak słusznie zauważa papież Franciszek w „Ewangelii gaudium" (nr 115), kultura to „styl życia określonej społeczności, szczególny sposób relacji, które jej członkowie utrzymują ze sobą, z innymi stworzeniami oraz Bogiem". Taki styl życia kształtuje się przez osobiste wybory. Kiedyś Kościół katolicki był dużo bardziej śmiały i odważny w kształtowaniu tego stylu życia. Dziś jesteśmy zepchnięci do narożnika. Jeśli się tu odzywamy, to częściej, by coś skrytykować, niż coś zaproponować.

Wiele mówi się o synodalności, o Kościele jako wspólnocie, o używaniu języka relacyjnego w przekazie Ewangelii. Czy to przyszłość Kościoła w Polsce?

Tu chodzi nie tyle o relacyjny język, ile dostrzeżenie wagi relacji między osobami we wspólnotach podstawowych, takich jak parafia, a także na wszystkich innych poziomach kościelnej organizacji. Żywe relacje prowadzą do troski, współodpowiedzialności, doświadczenia uczestnictwa, sprawczości. Nadmierne akcentowanie znaczenia hierarchiczności w nauczaniu o Kościele, jak i jej nieraz wręcz feudalne praktykowanie są czynnikami generującymi obecne trudności. Uznanie, że synodalność jest jednym z filarów tożsamości Kościoła, będzie miało istotne znaczenie dla jego przyszłości, oczywiście jeśli uda się to przekuć na praktykę synodalnej wrażliwości we wspólnotach. A to niełatwe zadanie, bo nie mówimy o prostej reformie struktur, ale przebudowie mentalności w stronę relacji i współodpowiedzialności wszystkich, niezależnie od powołań, święceń, płci czy wieku.

Fot. Archidiecezja Katowicka

eprasa.pl b044129411

MACIEJ WALASZCZYK

Spełnione proroctwo Enocha Powella

Imigracja to dziś dla Brytyjczyków problem polityczny numer jeden. Setki tysięcy nowych przybyszów, społeczeństwa równoległe utrwalające różnice i pragnące dominacji nad resztą. Dokładnie to, przed czym ostrzegał Enoch Powell, wygłaszając swoje „Rzeki krwi”

eprasa.pl b044129411

Fot. Allan Warren/Wikipedia

Zatrzymanie nielegalnego handlu ludzi przerzucanych do Wielkiej Brytanii na małych łodziach przez albańskie gangi było jednym z głównych tematów wyborów w Wielkiej Brytanii. Niestety torysi, nie realizując obietnic w kwestii odzyskania kontroli nad falami pozaeuropejskiej imigracji, wykopali sobie grób i skłonili wyborców do masowego poparcia lewicy.

Na konsekwencje nie trzeba było długo czekać. Natychmiast porzucono m.in. program repatriacji do Rwandy. Choć Partia Pracy i nowy premier Keir Starmer zobowiązali się do rozbicia gangów przemytników ludzi organizujących przeprawy, jest jeszcze gorzej. Presja migracyjna wzrosła, a brytyjskie MSW otwarcie przyznaje, że w sierpniu są dni, kiedy przez kanał La Manche przedostaje się nawet 500–800 osób. Ich zakwaterowanie w hotelach kosztuje krocie i nie ma co z nimi zrobić. Od początku 2024 r. liczba nielegalnych przekroczeń granicy wzrosła do ponad 18 tys., co stanowi wzrost o 13 proc. w porównaniu z analogicznym okresem w ub.r. Od pewnego czasu legalnie przybywa na Wyspy ok. 600 tys. ludzi rocznie.

Notowania zarówno premiera, jak i szefowej MSW niemal zaraz po objęciu przez nich urzędów drastycznie spadły. Brytyjczycy są też zawiedzeni fatalną reakcją na kryzys i zamieszki, które wybuchły po ataku nożownika pochodzenia imigranckiego na dziecięcej imprezie tanecznej w Southport, w wyniku którego zginęły trzy dziewczynki. Niemal 60 proc. badanych nie ma pewności, że policja będzie w stanie chronić ludzi i mienie, gdy podobne niepokoje się powtórzą. A nie ma wątpliwości, że tak będzie.

Tym bardziej że Brytyjczycy mówią o istnieniu „dwupoziomowej policji", skarżąc się, że istnieje różnica w traktowaniu przez nią uczestników ulicznych zamieszek w zależności od tego, czy są biali, czy kolorowi. Ci drudzy czują się chronieni i bezkarni ze względu na prawo interpretowane w duchu politycznej poprawności. Na wielu filmach udostępnianych przez świadków widać jednak, że policja nie ma względów dla białych, z całą bezwzględnością używając wobec nich środków przymusu: pałek, gazu i armatek wodnych. Wobec często uzbrojonych w noże i broń białą muzułmanów zachowuje respekt i większą powściągliwość, narażając własnych funkcjonariuszy i zwykłych Anglików na zagrożenie.

Do aresztów trafiły również osoby umieszczające w mediach społecznościowych posty na temat zamieszek. Rządząca lewica postanowiła bowiem przywrócić do istnienia zespół, który w czasie pandemii monitorował media społecznościowe pod kątem „dezinformacji". Najśmieszniejsze jest to, że fałszywe informacje na temat mającego odbyć się marszu „skrajnej prawicy" rozsyłała nawet Jess Phillips, lewacka minister nowego rządu z Partii Pracy, próbując zmobilizować w ten sposób muzułmańską ludność do ich powstrzymania. Co ciekawe, w lipcowych wyborach omal nie przegrała w swoim okręgu z islamskim aktywistą rodem z Palestyny. To tylko garść informacji z kilku ostatnich dni. Wielka Brytania nie przypomina bowiem kraju sprzed 55 lat, gdy przed takim rozwojem wypadków i ich przyczynami przestrzegał Enoch Powell.

ODRZUCONE PROROCTWO

Wielka Brytania to byłe imperium kolonialne. Nic dziwnego, że na ulicach jej miast spotykamy tysiące potomków byłych mieszkańców Commonwealthu. Zjednoczone Królestwo od dawien dawna ściągało pracowników z kolonii, ale wszystko odbywało się pod pełną kontrolą i przy jasnych regułach społecznych. Nie podlegali oni jednak ustawom dyskryminacyjnym, będąc gośćmi równymi wobec prawa.

Przełomowy moment nastąpił w 1968 r., gdy rządzący Wyspą socjaliści rozpalili niezwykle gorącą debatę nad przeforsowaną potem ustawą o stosunkach rasowych, która prawnie zakazywała odmawiania zakwaterowania, zatrudnienia lub usług publicznych ze względu na rasę czy pochodzenie etniczne. „Nie ma bardziej fałszywej oceny rzeczywistości niż ta utrzymywana przez hałaśliwych obrońców tzw. ustaw antydyskryminacyjnych" – demaskował ich intencje Enoch Powell, jeden z prominentnych wówczas polityków Partii Konserwatywnej. Proroczo wyjaśniając, w jaki sposób prawo antydyskryminacyjne odwróci się przeciw samym Brytyjczykom. Słowa te wypowiedział 20 kwietnia 1968 r. podczas partyjnej konwencji w Birmingham.

eprasa.pl b044129411

Powell przestrzegał, że poziom imigracji jest zbyt wysoki, co w przyszłości będzie miało poważne konsekwencje społeczne. W tym czasie chodziło jedynie o 50 tys. imigrantów rocznie – dziś jedną dziesiątą tego, co notują służby imigracyjne. Swoje stanowisko wyjaśniał przekonaniem z nutą patosu, że nadrzędną funkcją męża stanu jest zapobieganie złu, którego można uniknąć, nawet wtedy, gdy początkowo można w nie wątpić.

Najtrudniej jest jednak być prorokiem we własnym kraju. Mimo entuzjastycznego przyjęcia jego wystąpienia przez rodaków kosztowało go ono karierę polityczną. Następnego dnia Powell został zwolniony z funkcji sekretarza stanu ds. obrony w gabinecie cieni Teda Heatha – tego samego, który ponosząc klęskę za klęską w październiku 1974 r., musiał oddać przywództwo partyjne Margaret Thatcher. Powell tymczasem stał się, jak przez lata głosili jego zwolennicy, „ofiarą wrogów brytyjskiego narodu", a więc liberalnej elity, która w swojej zaciekłości i „antyangielskim rasizmie" nacisnęła guzik autodestrukcji. Bo właśnie tak oceniał wprowadzenie do brytyjskiego prawa antydyskryminacyjnych regulacji.

A dlaczego słynne przemówienie znane jest dziś jako „Rivers of Blood" – „Rzeki krwi"? Jako profesor greki Powell aluzyjnie wplótł do swojego wystąpienia odwołanie do „Eneidy" Wergiliusza i schyłkowego cesarstwa rzymskiego. Wcielając się symbolicznie w rolę Sybilli wieszczącej „krwią pieniący się Tybr", sprawił, że zagadnienie imigracji stało się w brytyjskiej polityce tematem tabu, będąc przez blisko 40 lat kwestią niemożliwą do dyskutowania.

Jako polityk uosabiał sobą tzw. Powellite, a więc nacjonalistyczny nurt w Partii Konserwatywnej, którego był przywódcą, niezmiennie orientując się na obronę miejsca Wielkiej Brytanii w świecie jako suwerennej potęgi. Zmuszony wybierać między swoimi zobowiązaniami wobec neoliberalizmu i narodu brytyjskiego, jak tłumaczył jeden z biografów, „Powell wybrał naród". Reprezentował bowiem torysowską prawicę, torysowski rojalizm, konserwatyzm pojmowany przede wszystkim jako negację wszelkich ideologii, przywiązanie uformowanych przez wieki obyczajów, wspomnień, tradycji, form współżycia i odrębności.

IMIGRACJA I JEJ KONSEKWENCJE

Swoje słynne przemówienie oparł na opowiastce o mężczyźnie, Brytyjczyku, który po podniesieniu statusu społecznego swoich dzieci martwi się o ich przyszłość. Uważa, że powinni wyemigrować, gdyż za kilka dekad czarni będą dominować nad białymi. Taki język był jeszcze wówczas dopuszczalny w debacie publicznej, co, jak zresztą przypuszczał Powell, niechybnie się zmieni. Uzupełniał to już oficjalnymi, urzędowymi prognozami, zgodnie z którymi przy ówczesnej tendencji liczba imigrantów i ich potomków w ciągu 20 lat zwiększy się do 3,5 mln i będzie rosła, sięgając w 2000 r. jednej dziesiątej populacji. Jak podkreślał, wszystko to będzie wynikiem ustanowienia praw faktycznie dyskryminujących Brytyjczyków i obdarzających przywilejami ludność napływową, przez co „dyskryminacji, wywłaszczenia, nienawiści i rozterek" zaczną stopniowo doświadczać nie imigranci, ale ci, którzy ich przyjmują, zmuszani do tego i stający się w jakiś sposób „obcymi we własnym kraju".

> Powell przestrzegał, że poziom imigracji jest zbyt wysoki, co w przyszłości będzie miało poważne konsekwencje społeczne. W tym czasie chodziło jedynie o 50 tys. imigrantów rocznie – dziś jedną dziesiątą tego, co notują brytyjskie służby imigracyjne

Powell oceniał politykę otwartości i afirmacji mniejszości jako samobójczą, proponując administracyjne ograniczenie imigracji i przeprowadzenie akcji repatriacyjnej, widząc w tym ostatnią barierę umożliwiającą odwrócenie groźnych prognoz. Przestrzegał, że imigranci nie będą równomiernie rozrzuceni po całym kraju, ale stłoczeni w pęczniejących z roku na rok skupiskach w miastach i dzielnicach. Że w ciągu następnych lat obdarzeni prawnymi przywilejami nie będą dążyć do integracji, ale podtrzymają i uwydatnią widoczne gołym okiem różnice rasowe i religijne w celu sprawowania dominacji najpierw nad innymi migrantami, a następnie nad resztą społeczeństwa. Dlatego, jak twierdził, ustawa antydyskryminacyjna wbrew intencjom jest jedynie pożywką dla rozkwitu niezgody między autochtonami a przybyszami z innych kultur i kontynentów. Że dopiero jej wprowadzenie ustanowi obywatelstwo pierwszej i drugiej kategorii, naruszając dotychczasową równowagę i przechylając ochronę w stronę imigrantów, tworząc im i ich potomkom status szczególnego uprzywilejowania.

Powell zwracał uwagę, że jeśli obywatel zostanie pozbawiony prawa do dyskryminowania kogo chce w swoich sprawach prywatnych, automatycznie na mocy prawa narzucone mu zostanie odpowiednie zachowanie i wymuszenie konkretnych decyzji. Powoływał się zresztą na liczną korespondencję, którą otrzymywał w związku z tą sprawą, a której autorzy wyborcy nie podpisywali się lub chcieli pozostać anonimowi ze względu na obawy przez utratą pracy i konsekwencjami, jakie mogą wywołać. A był to koniec lat 60. XX w. Dzisiaj taki strach jest powszechny, paraliżuje debatę i możliwości samoobrony Europejczyków.

W kolejnych latach Powell wracał do tematu. Nie był w stanie uwierzyć, że część polityków naprawdę była przekonana, iż w miarę upływu czasu przybysze zerwą nici łączące ich z krajami pochodzenia, że nikt już nie będzie planował małżeństw i zakładania nowych rodzin z osobami zamieszkałymi na subkontynencie indyjskim. Działo się bowiem zupełnie odwrotnie. Zwracał też uwagę, że już wtedy w niektórych okręgach wyborczych głos imigranckiej populacji zaczynał decydować o tym, kto uzyska w nich mandat. Ostrzegał, że duża liczba przybyszów z Afryki i Azji ostatecznie będzie żyła oddzielnie, nie czując się Brytyjczykami i tak samo będą postępować ich dzieci oraz wnuki. Dziś Londyn i Birmingham to miasta z białą mniejszością.

Reklama | 11/0524/F

eprasa.pl b044129411

FORUM EKONOMICZNE

DOLNY ŚLĄSK
GŁÓWNY PARTNER

XXXIII FORUM EKONOMICZNE

KARPACZ 3-5 WRZEŚNIA 2024

Czas nowych liderów:
razem kształtując przyszłość

DOŁĄCZ DO NAS

forum-ekonomiczne.pl

eprasa.pl b044129411

Jeśli spumante, to tylko w Prosecco!

Gdy rano wchodzisz do ogromnej designerskiej winiarni i widzisz właściciela winnicy sączącego prosecco z sąsiadem, myślisz sobie: „Ten to ma życie!". Ale winiarz musiał ciężko zapracować na swój luksus, o czym świadczą setki nagród i publikacji zdobiących ściany niezwykłej Cantina Merotto w sercu Prosecco

PIOTR OSTROWSKI

Upalne, senne przedpołudnie niedaleko Treviso w Wenecji Euganejskiej nie zwiastuje wielkich przygód. Jedziemy przez wsie otoczone stromymi zboczami, a winnice wiją się po okolicznych wzgórzach po horyzont. Wygląda to sielsko i romantycznie, ale niech pozory was nie mylą. To kraina wielkiego biznesu i dużych pieniędzy. Każdy chce tu „być prosecco" i mieć prosecco. Czasem tylko wąska miedza przesądza o tym, czy twoja winnica jest szlachetna, czy nie. Jeśli nie znalazła się w granicach Conegliano–Valdobbiadene, czyli dwóch słynnych gmin, nie będziesz mógł produkować i sprzedawać Prosecco Superiore DOCG i tyle. Marka Prosecco, czyli krainy włoskiego wina musującego (spumante, frizzante), jest dziś niemal tak silna jak Szampanii. Rocznie powstaje ponad 300 mln butelek wina pod tą nazwą, z czego większość trafia na eksport. I to widać po inwestycjach zamożnych winiarzy. Jedni dziedziczą pałace i dwory z winnicami, inni budują nowoczesne kantyny, nie szczędząc pieniędzy na architektów i szlachetne materiały.

Graziano Merotto stworzył swoją firmę pół wieku temu w Col San Martino, choć początki rodzinnej marki sięgają nawet 1900 r. i jego przodka Agostino Merotto, który już wtedy był znany w okolicy z jakości swojego wina. Ale to Graziano miał jasną wizję win prosecco i pomysł na ich promocję. W winnicy

Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl b044129411

o powierzchni 40 ha uprawia owoce najwyższej jakości (drugie tyle skupuje od okolicznych rolników), z których powstaje rocznie ok. 600 tys. butelek prosecco, a także cabernet sauvignon i pinot bianco. To jedne z najznakomitszych trunków na Strada del Prosecco – szlaku, który można przebyć autem w jeden dzień. Ale nie warto się spieszyć.

– Wina Merotto już 12. rok z rzędu otrzymały prestiżową nagrodę Tre Bicchieri i są umieszczone w „winiarskiej biblii" Włoch Gambero Rosso Vini d'Italia – chwali swój produkt Gina, menedżerka winiarni, która zorganizowała dla nas degustację ze zwiedzaniem nowo otwartego obiektu. W niezwykle nowocześnie urządzonej sali siedzi dwóch niemłodych mężczyzn, którzy od rana piją wino i z zaciekawieniem przyglądają się nam. Są wyraźnie zaskoczeni, że moja żona mówi po włosku.

– Zapraszam do spróbowania naszego Prosecco Superiore – woła nagle jeden z nich, stawia przed nami kieliszki i butelkę trunku za 40 euro. Na ścianach wisi sporo zdjęć i wycinków ze światowych publikacji. A na nich tenże facet, który serdecznie zagaduje i częstuje nas winem – Graziano Merotto, właściciel winnego imperium. – Jesteście z Polski? Zróbmy sobie zdjęcie! Ale ma pan piękną żonę! – raduje się gospodarz komplementarz, jak przystało na prawdziwego Włocha. Minęło kilka chwil, a moja żona już ma na sobie firmową koszulkę winnicy Merotto, którą właśnie dostała w prezencie. Trwa sesja fotograficzna pt. „Graziano z dziennikarzami z Polski zachwyconymi nową winiarnią i słynnym winem".

Graziano ze swoim prosecco odniósł ogromny sukces, o czym donoszą włoskie i zagraniczne media. Dlatego dzisiaj może sobie od rana ucinać pogaduszki przy kieliszku wina, a nawet zajmować się gośćmi. Po dwóch godzinach kończymy jednak miłą degustację, bo po południu jest tu zjazd właścicieli ferrari i trzeba przygotować kilka sal i catering. Jedziemy zatem dalej, do Valdobbiadene.

WINNICA SAMOOBSŁUGOWA

Czegoś takiego jeszcze nie widzieliśmy, choć gościliśmy w wielu winnicach. Na przepięknym wzgórzu porośniętym winoroślą powstało hipsterskie

miejsce: L'Osteria Senz'Oste, czyli Karczma bez gospodarzy. Wspinamy się stromą ścieżką, a tam czekają... automaty. Za kilka euro wyskakują kieliszki oraz butelki prosecco. W sklepiku obok też nie ma obsługi, jedynie plączące się pod nogami kury i kaczki. W środku na stołach czeka świeże pieczywo, ugotowane jaja, salami, ser i inne specjały. Jest kartka z cennikiem, więc zostawiamy w skarbonce należną kwotę i zaznaczamy w zeszycie, co wzięliśmy. Turyści są zachwyceni. I najwyraźniej nie oszukują, bo interes się kręci.

Z kupionym prowiantem wspinamy się jeszcze wyżej, na grzbiet winnego wzgórza, aby zasiąść na ławkach pomiędzy rzędami winorośli i rozkoszować się smakiem i widokiem. Powalający zielony krajobraz: oto winnice Prosecco Cartizze, takie włoskie grand cru, czyli najlepszy z najlepszych teren pod uprawę wina. Na zboczach doliny o powierzchni niespełna 100 ha uprawia się wyłącznie szczep glera, z którego powstaje najsłynniejsze prosecco. Jest wytwarzane metodą charmata – w przeciwieństwie do szampana bąbelki powstają nie w butelkach, lecz w stalowych zbiornikach.

– Kto ma tu parcelę, ten jest bardzo zapracowany, ale i bardzo szczęśliwy – mówi Gregorio Bartolin, właściciel winnicy Ca' Salina, który od pół wieku produkuje słynne wino. – I bogaty – dodaję z uśmiechem. – To prawda, dziś nie ma już szans na założenie nowej winnicy w Valdobbiadene – śmieje się Gregorio, częstując mnie winem. – Mało miejsca i dużo, dużo chętnych.

Podobnie jest w restauracjach i tawernach – w porze obiadowej absolutnie wszystko zarezerwowane. Jest weekend i Włosi nie jedzą w domach. Do tego tysiące turystów. Ale Gregorio Bortolin, który jest dla nas niezwykle serdeczny, nie daje za wygraną. Przez pół godziny wydzwania do rodziny i znajomych, by przyjęli nas na obiad. Wreszcie udaje się i jemy w trattorii u Sabriny. Pysznie i serdecznie jak w domu.

SZLAK WINNY NIE MA KOŃCA

UNESCO wpisało winny szlak Strada del Prosecco na swoją prestiżową listę dziedzictwa kulturowego. W Conegliano i Valdobbiadene winorośl porasta każdy skrawek ziemi. Na stromych i pofałdowanych zboczach Dolomitów na wysokości kilkuset metrów nad poziomem morza aromatyczna glera owocuje doskonale. Ta dość kapryśna odmiana uwielbia słońce i deszcz, ale źle znosi suszę i mokrą glebę. Tutejszy mikroklimat i ukształtowanie terenu są wręcz stworzone dla niej. Ten górzysty i piękny krajobraz sprawia, że każdego roku winnice odwiedza kilkaset tysięcy enoturystów.

– Można u was spróbować i kupić wino? – pytam chłopaka, który przejeżdża obok nas traktorem. Właśnie zrobiłem kilka zdjęć malowniczej winnicy i jej szyldu: Tenuta Manzane. – Jasne, zapraszam do nas! – Młody winiarz wskazuje nam drogę i jedziemy za nim prosto do winiarni. – Jesteście z Polski? Wspaniale, nasze wina są już na polskim rynku. Spróbujcie, to jest nasz hit! – Wskazuje na własne prosecco i nalewa do kieliszków. – Nazywam się Marco Balbinot, a to nasza winiarnia – przedstawia się, a nam prawie opadają szczęki, bo chłopak ma dopiero dwadzieścia parę lat. Po raz kolejny gości nas właściciel winnicy, tym razem ponad 100-hektarowej. Marco prowadzi gospodarstwo z rodzicami, ale dziś to on kieruje całą uprawą i odpowiada za ekspansję Prosecco Manzane. – Zróbmy selfie i wracam do pracy – żegna nas z uśmiechem Marco i wsiada do traktora.

Jedziemy, a właściwie idziemy dalej, bo tuż za miedzą otwiera swe bramy kolejna winiarnia, winnica i hotel

eprasa.pl b044129411

w pięknej posiadłości Tenuta Contarini w San Pietro di Feletto. Pałac nosi nazwę – a jakże – Prosecco Superiore Villa Clementina. Hotel jest otoczony winnicami i kwiecistymi ogrodami. Należy do rodziny Scopri od pięciu pokoleń. W drzwiach wita nas dystyngowana dama, właścicielka posiadłości. – Niestety nie mamy wolnych miejsc, a degustacja nie będzie możliwa, bowiem dziś cały obiekt jest zarezerwowany na uroczystość. Ale mogą państwo na własną rękę obejrzeć winnicę – zachęca Alessandra, gospodyni o wyglądzie młodej Sophii Loren. Jak wszędzie jest serdecznie i gościnnie. A na spacer po winnicy idziemy z psem właścicielki.

PORA NA NOCLEG

Tym razem postanowiliśmy odwiedzić Wenecję Euganejską własnym samochodem. Bo jak można w takim miejscu zrezygnować z kulinarnych zakupów? Żaden samolot nie zabrałby nas z ogromnym ładunkiem win, oliwy, serów i wędlin. Bazy wypadowej do zwiedzania Conegliano–Valdobbiadene należy szukać w sercu Veneto, czyli w krainie prosecco. Warto zamieszkać w winnicy lub jej pobliżu. Tenuta Sant'Eufemia w San Pietro di Feletto koło Conegliano to stara posiadłość, której początki sięgają XII w.

– Należała do hrabiny Eufemii Dalla Bella z rodu Colleto, stąd dzisiejsza nazwa – opowiadają właściciele Greta i Fabio, którzy kupili tę niezwykłą nieruchomość. – Dziś dawny dwór, który odrestaurowaliśmy i otworzyliśmy w nim mały hotel, otacza winnica, którą sami posadziliśmy.

Na 9 ha powstają oczywiście wina prosecco. Do tego pyszna regionalna kuchnia i niesamowity krajobraz, który rozpościera się wokół kilku tarasów. Mały hotel pęka w szwach, a wieczorem goście zajmują wszystkie możliwe miejsca, by przy kieliszku wina i desce smakołyków – serów, oliwek i szynek – rozkoszować się zachodem słońca. W powietrzu unosi się zapach rozmarynu, tymianku i lawendy.

– Jesteście dziennikarzami? O, to musicie koniecznie odwiedzić nasze muzeum radia! – zachęcają gospodarze. – Radia? – dopytuję. – Tak, w miasteczku Cison di Valmarino, 15 km stąd. A jeśli już tam będziecie, zajrzyjcie do Vittorio Veneto. To magiczne miejsce. Stamtąd tylko krok do Treviso. Tak, Treviso musicie zobaczyć! – zachwalają okolicę nasi nowi włoscy znajomi.

RADIO, TIRAMISU I FONTANNA Z WINEM

Rano jedziemy do Museo della Radio d'Epoca w Cison di Valmarino. W miejskim Teatro La Loggia faktycznie działa muzeum z 250 eksponatami. Są tu zabytkowe radia, mikrofony, adaptery i inne urządzenia radiowe. Jak twierdzą gospodarze, swoistą gwiazdą tej ekspozycji jest polski radioodbiornik Detefon DT2 wyprodukowany prawie 100 lat temu w Krakowie. Czasy z początków radia we Włoszech ilustrują fotografie i dźwięki pierwszych radiowych występów. Inicjatorem powstania tego profesjonalnego muzeum był miejscowy dziennikarz i muzyk.

Do przeszłości możemy wrócić także w sąsiednim Vittorio Veneto, a właściwie w jego starej części, która kiedyś była osobnym miastem i nazywała się Serravalle. W położonym pod alpejskim wzgórzem miasteczku prawie nie ma ludzi, a czas się zatrzymał. Widać to po elewacjach zabytkowych budynków i nielicznych mieszkańcach, wśród których przeważają starsi ludzie. Elegancko ubrani, czytają papierowe gazety przy filiżance espresso lub idą do zegarmistrza, kapelusznika czy krawca, których małe zakłady ulokowały się pod starymi arkadami i nadal funkcjonują.

– Nasze miasteczko od 100 lat niewiele się zmieniło. Podobnie jak styl życia. Widzi pan, tu nie ma młodzieży i nikt się nie spieszy, a dzień ma swoje tempo – śmieje się barman, starszy pan z przewieszoną przez ramię elegancką ścierką, który właśnie robi nam kawę w Caffetteria Antolelli.

Serravalle jest dzisiaj uroczą starą dzielnicą Vittorio Veneto. 150 lat temu połączyło się z sąsiednią miejscowością Ceneda dla uczczenia zjednoczenia Włoch i pierwszego króla nowego państwa – Wiktora Emanuela II.

Pora na Treviso, czyli stolicę prowincji. Chciałoby się rzec, że to taka mała Wenecja. Miasto przecinają liczne kanały i odnogi rzeki, pełno tu mostków, zaułków i uliczek wychodzących na kolejne piazza. Warto zwrócić uwagę na architekturę i zabytki, choćby katedrę św. Piotra ze słynnym obrazem Tycjana „Zwiastowanie" czy niezwykłą fontannę w kształcie... obfitych kobiecych piersi. Przy doniosłych okazjach podobno z jednego sutka tryska białe, a z drugiego czerwone wino. Gołym okiem widać, że jest tu dużo taniej niż w sąsiedniej obleganej Wenecji. W restauracjach, tawernach i sklepach ceny są niższe nawet o połowę. Na starówce stoi okazała „rodowa" kamienica Benettona, który stąd pochodzi, i zachęca do niedrogich zakupów w firmowym sklepie. Wokół pełno tawern, pizzerii i barów. W Da Piano na Piazza dei Signori jemy pyszne szparagi i pizzę, a do tego popijamy tutejszą valpolicellę. Stoły i parasole tawerny wypełniają niemal cały miejski plac. Wszystkie miejsca zajęte, a wiekowi kelnerzy uwijają się jak w ukropie. Widać, że narzucają tempo, bo czekają kolejni goście. Czyli pora na deser.

– Dolce, caffe? Oczywiście tiramisu? – pyta kelner i od razu sam sobie odpowiada. Tiramisu to przecież kulinarna pokusa rodem z Treviso, któż go nie lubi? Słynny deser z biszkoptów Savoiardi nasączonych mocną kawą oraz migdałowym likierem amaretto jest przekładany kremem z serka mascarpone, jajek i cukru, posypany czekoladą i na koniec schłodzony. Nigdzie nie jadłem lepszego. Zamiast kawy kieliszek prosecco? Jasne! W końcu to kraina najlepszego musującego wina.

Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl b044129411

Jacek Borusiński ma powody do co najmniej podwójnego świętowania. Grupa Mumio obchodzi 25-lecie na scenie, a do kin frunie właśnie „Wróbel", w którym tytułowa rola została napisana specjalnie dla aktora. Film powalczy o Złote Lwy

Wróbel i Mumio

Fot. Jarosław Sosiński

eprasa.pl b044129411

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Polska prowincja. Spokojne życie wiedzie na niej Remek Wróbel – dobiegający czterdziestki kawaler, lokalny listonosz i zapalony piłkarz amatorskiej drużyny. Pewnego dnia jego poukładany świat wywraca się do góry nogami.

– Remek jest troszkę jak obywatel Piszczyk z „Zezowatego szczęścia" – mówi Jacek Borusiński. – Jest postacią tragikomiczną. Generalnie to gatunek, który cenię najwyżej. Uwielbiam, gdy w jednej scenie możemy się śmiać, by niemal za moment się wzruszyć, a nawet zasmucić. To wszystko jest w tym scenariuszu.

PO PROSTU REMEK

Aktor dodaje jeszcze do opisu swojego bohatera: – Jest prostolinijny, poczciwy, ma swoje dziwactwa. Bardzo lubi kakao i herbatniki, namiętnie czyta encyklopedię, stroni od elektronicznych przedmiotów typu telefon czy komputer. Ma świetną pamięć. Można powiedzieć, że jest everymanem, troszeczkę każdym z nas, który przeżywa swoje, może niezbyt wielkie, tragedie czy przygody. Wydaje mi się, że dawno nie było filmu o kimś, kto jest po prostu człowiekiem. Mam nadzieję, że interesującym człowiekiem – podsumowuje Borusiński.

Choć Remek nie jest szczególnie otwarty na świat, powoli akceptuje to, co mu się przydarza. A jest tego niemało: – Traci pracę, traci piłkę, a przecież granie było jego pasją, ale zyskuje coś innego – zauważa aktor. – I okazuje się, że cudownie uporządkowany świat, ale samotny, może przegrać w konfrontacji z burzliwym nieuporządkowanym światem często nie najłatwiejszych relacji.

ROLA NA MIARĘ

Borusiński mocno zaznacza autorskie zaangażowanie reżysera i scenarzysty „Wróbla" debiutującego w roli twórcy pełnometrażowej fabuły.

– Tomek Gąssowski poświęcił temu filmowi ostatnie lata, pracował bardzo mocno na każdym etapie powstawania i realizacji projektu. To jego film, choć mogę powiedzieć, że w jakiejś części też mój, nigdy nie zaangażowałem się tak w żadną produkcję i pod żadną inną nie podpisuję się tak mocno (oczywiście poza własnymi).

Aktor przywołuje zrealizowany osiem lat temu krótkometrażowy „Baraż". Film opowiadał o bezrobotnym byłym piłkarzu lokalnego klubu, który samotnie wychowuje syna. To było pierwsze spotkanie Borusińskiego i Gąssowskiego. – Zobaczyliśmy, że podobne rzeczy są dla nas ważne. Podobne drobiazgi, niuanse z jednej strony nas śmieszą, a z drugiej wzruszają. Wiedzieliśmy, że chcemy nakręcić razem pełny metraż – wspomina aktor.

„Baraż" zdobył wiele nagród, co potwierdzało wspólny kierunek myślenia o kinie. Pojawienie się kolejnego projektu było kwestią czasu.

Tytułowa rola we „Wróblu" była pisana z myślą o Borusińskim. – Spotykaliśmy się, wielokrotnie czytaliśmy scenariusz. Ta historia stawała się moją historią. Sporo nas łączy z Remkiem Wróblem, choć nie mogę powiedzieć, że Remek to ja – deklaruje.

CZAS NA SENTYMENTY

Wyszukiwanie podobieństw między aktorem a postacią może stać się dodatkową atrakcją filmu. Remek to zapalony piłkarz amatorskiej drużyny. – Kiedyś grałem w piłkę – przyznaje Borusiński. – Oczywiście chciałem być jak najbliżej pozycji napastnika, ale rozgrywający to też było coś. Zbyt daleko w tej dziedzinie jednak nie doszedłem. Mój bohater był na poziomie dużej bramki i wielkiego trawiastego boiska. Ja zatrzymałem się na podwórkowych rozgrywkach.

Aktor czuje sentyment do zawodu, który uprawia Remek. – To jest ta część świata, za którą się trochę tęskni. Ostatnio byłem na zupełnie innym planie i w czasie przerwy obiadowej zaczęliśmy opowiadać sobie ze scenografem o grze w kapsle, trzepakach, gumach balonowych... Wspominaliśmy ten

Fot. Dagmara Szewczuk

eprasa.pl b044129411

świat. Mimo że było biednie i szaro, był on bogaty w relacje i uruchamiał wyobraźnię, kreatywność. Listonosz ze swoim nieodłącznym rowerem stanowił część tamtego świata.

FILMOWA RODZINA

Reżyserowi udało się zebrać przed kamerą aktorów bardzo swoistych i świetnie ich zgrać. Jacek Borusiński opowiada: – Gdy dowiedziałem się, że Krzysztof Stroiński będzie moim (filmowym) dziadkiem, bardzo się ucieszyłem [...]. Jest między nami jakiś rodzaj podobieństwa, również fizycznego. Obydwaj bardzo poważnie traktujemy nasze zadania. Przez cały czas kręcenia filmu staraliśmy się trzymać na dystans, aby uwiarygodnić nasze filmowe relacje, choć pod koniec było już bardzo ciężko. Krzysztof miał ogromnie trudne zadanie, ponieważ w całym filmie wypowiada jedno słowo.

Jedynego przyjaciela Remka – zarazem przyszywanego brata od czasów, gdy wychowywali się razem w domu dziecka, a teraz osiedlowego „biznesmena" i lekko szemraną postać – zagrał Piotr Bogucki. Jak wspomina Botusiński, już na pierwszej próbie złapali dobry kontakt. Jakby się znali jeszcze z podwórka.

Bogucki tak mówi o „Wróblu": – Nie jest to Marvel czy science fiction, akcja czy spektakularne wybuchy. To kino slow, bardzo spokojne, które pokazuje, bazując na pewnych niuansach, obraz codziennego życia i znajduje przyjemność w odczuwaniu i przeżywaniu fajnej codzienności. Ten film dodaje otuchy i uzasadnia wiele rzeczy, które się wydarzają w życiu.

PO DRODZE Z MUMIO

Premiera „Wróbla" (a także obecność filmu w głównym konkursie tegorocznego Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni, który odbędzie się pod koniec września) ma miejsce w roku szczególnym dla Jacka Borusińskiego: 25-lecia grupy Mumio, dzięki której przed laty trafił do widzów.

Jak wspomina, wszystko zaczęło się od niezdanego egzaminu do krakowskiej PWST. Alternatywą stały się studia na wydziale teatrologii w rodzinnych Katowicach. To właśnie tam któregoś dnia trafił na próbę Gugalandera („który był wtedy teatrem o szerokim repertuarze dramatycznym – od Białoszewskiego poprzez Gombrowicza i Jarry'ego do Buchnera, Eurypidesa i Szekspira" – jak czytamy na oficjalnej stronie Mumio) i... od razu zagrał dwie role (Bardolfa i Westmorelanda) w spektaklu według „Henryka V".

W Gugalanderze poznał Dariusza Basińskiego, a potem też Jadzię (z czasem Basińską).

Z „ulotnych form teatralnych opartych na autorskim tekście i muzyce" zaczęło się wyłaniać PraMumio. W 1995 r. wymieniona wcześniej trójka postanowiła odejść na swoje i założyła Studio Aktorsko Reklamowe Epty-a, a zaraz potem Teatr Epty-a. Rok później grupa wystawiła spektakl pt. „Kabaret Mumio". Tytuł był na tyle nośny (i doceniony m.in. teatralną nagrodą im. Leona Schillera, nagrodami na Festiwalu Piosenki Aktorskiej czy nagrodą ZASP), że doszło do zmiany teatralnego szyldu na „Mumio". Przy okazji warto wspomnieć, że słowo to oznacza „wzmacniającą organizm naturalną substancję wydobywaną z wysokogórskich szczelin, zwłaszcza w Himalajach".

Fot. Jarosław Sosiński

TO NIE KABARET

Nazwa grupy zapadała w pamięć. Niestety nie do końca tak, jak by tego oczekiwali aktorzy. Zżymali się, gdy nazywano ich kabaretem. – A przecież nigdy kabaretem nie byliśmy. Nasze spektakle są absolutnie teatralne i fabularne, czy to „Welcome Home Boys", czy „Przybora na 102" z Magdą Umer. Oczywiście jak najbardziej śmieszne, komediowe, ale teatralne – podkreśla Borusiński.

Na rozpoznawalność Mumio w niebagatelny sposób wpłynęła też kampania reklamowa Plusa z 2005 r. – Mieliśmy możliwość zagrania setek ról, bardzo różnych postaci, a to nam wszystkim dało niesamowity warsztat – komentuje Borusiński. – Film reklamowy musiał się zmieścić w 25 sek. i my po którejś sesji mieliśmy już takie wyczucie, że zawsze wiedzieliśmy, ile mamy czasu, mimo że była tam improwizacja – wspomina.

Reklamowy pomysł i wykonanie zostały docenione m.in. statuetkami Wiktora (dla całej trójki tworzącej Mumio), przyznanymi w kategorii najwyżej ceniony piosenkarz lub artysta estrady oraz największe odkrycie telewizyjne 2005 r. Doświadczenia z reklamowego planu zaowocowały również w działaniach pozascenicznych, zwłaszcza Jacka Borusińskiego.

MOŻE I COŚ WIĘCEJ

– Z Mumio zagraliśmy ponad 1,5 tys. spektakli, ale film pociągał mnie wcześniej. Od prawie 30 lat to moja pasja, a może i coś więcej – deklaruje aktor. – Wystąpiłem w blisko 25 produkcjach. Z własnym scenariuszem wyreżyserowałem też „Hi-way", który był w kinach. Teraz napisałem scenariusz 10-odcinkowego serialu. Nawet nakręciliśmy pilota. Z Jadwigą Basińską, Katarzyną Wajdą i Adamem Woronowiczem. Zobaczymy, co będzie dalej. Piszę kolejne scenariusze i czekam na kolejne „aktorskie" propozycje, oby tak ciekawe i dobre jak „Wróbel".

W jubileuszowym roku grupa ruszyła w Polskę ze spektaklem „25 lat Mumio".

3 MIŁOŚCI

Umysł zamknięty

ROBERT TEKIELI

Dni już krótsze, od najdłuższego prawie o dwie godziny. Noce zaraz staną się rześkie, a do instytucji antykultycznych zaczną zgłaszać się rodzice dzieci, które w wakacje wpadły w łapy sekt.

Nikt nigdy nie wstąpił do sekty. Ludzie są zafascynowani niezwykłym guru czy wspólnotą pełną ciepła i zrozumienia. Gdyby wiedzieli, że mają do czynienia z grupą destrukcyjną, nigdy nie zdecydowaliby się do niej wstąpić.

Sekty i grupy psychomanipulacyjne mogą być zarejestrowane jako związki wyznaniowe, stowarzyszenia, fundacje, szkoły językowe, szkoły sztuk walki, gabinety odnowy psychologicznej, organizacje charytatywne, kursy pozytywnego myślenia, doskonalenia umysłu bądź poszerzania świadomości, partie polityczne czy firmy sprzedaży bezpośredniej. Mogą być też zupełnie niesformalizowane.

Werbunek do sekt ułatwia wyczerpanie psychiczne i emocjonalne, zmiana miejsca pobytu, poczucie niepewności, utrata domu lub bliskich, szok kulturowy, niezwykłe sytuacje społeczne, zażywanie niektórych narkotyków, wyobcowanie, natarczywe powtarzanie przekazu lub zawieszenie krytycznego osądu, np. w wyniku hipnozy czy sugestii.

Techniki i metody stosowane przez sekty są zazwyczaj połączeniem serdeczności i podstępu. Często mówi się o bombardowaniu miłością na etapie werbunku. Szczególnym przypadkiem jest tu stosowanie techniki flirtu czy prostytucji. Na kolejnym etapie aplikowane są metody przebudowy świadomości prowadzące do zaburzeń poznawczych: bombardowanie intelektualne, klisze blokujące myślenie, systemy zamkniętej logiki.

Poza zabiegami manipulacji umysłem stosuje się techniki opanowywania woli. Nowo zwerbowanych utrzymuje się w ciągłej aktywności, nigdy nie pozostawia się ich samych, doprowadza do stanu duchowej egzaltacji, zmienionej świadomości i automatycznego podporządkowania się poleceniom.

Kontrola świadomości zmierza do zniszczenia ludzkiej tożsamości przy rzeczywistym braku wolności wewnętrznej. Mają się zmienić wierzenia, zachowania, sposób myślenia oraz emocje.

Najpierw jest dowartościowywanie człowieka, zaspokojenie jego deficytów emocjonalnych i psychicznych, potem uzależnienie od guru lub grupy, następnie izolacja, przebudowa świadomości i opanowanie woli. Stosowana jest cenzura, pewne myśli są nie do wypowiedzenia. Psychomanipulacja to narzędzie doprowadzania ludzi do stanu, w którym robią rzeczy, których nie chcą, które ich niszczą, zniewalają, kaleczą.

Jak rozpoznać, że ktoś z naszych bliskich dostał się w oddziaływanie sekty? Jednym z sygnałów może być radykalna zmiana diety. Podobnie zmiana wyglądu zewnętrznego, preferowanie jakiegoś koloru, czarnego czy szafranowego, noszenie amuletów, koralików, talizmanów. Odrzucenie dotychczasowych przyjaciół. Praktyki medytacyjne, palenie kadzidełek, zbieranie dziwnych przedmiotów, rezygnacja z mszy, żądania zdjęcia ze ścian domu krzyża czy świętych obrazów, nowe obyczaje, nowi znajomi, opuszczanie się w pracy czy szkole i wreszcie używanie dziwnego, ideologicznego języka.

Istnieje bardzo wiele cech wspólnych pomiędzy działaniami znanych nam sekt i technologią sprawowania władzy przez współczesne liberalno-lewicowe elity. Nie ma tu symetrii. Głoszenie bezsensownych poglądów jest czym innym – prawa strona sceny politycznej też często opowiada dyrdymały. Co innego to systemowe zaprzeczanie prawdzie. Mówienie, że nie da się odróżnić biologicznego mężczyzny od biologicznej kobiety, mimo iż istnieje ponad 200 takich cech, nie jest pomyłką, błędem. To sposób zdobywania i utrzymywania władzy.

Istnieją dwa bieguny, pomiędzy którymi rozpięte są wszystkie ideologie sekt. Im bardziej ideologia odbiega od zdrowego rozsądku i naukowej prawdy, tym silniejszych metod trzeba używać, by podtrzymać spójność grupy. Ale też osoby, które zaakceptowały jawny absurd, tym silniej będą się bronić przed prawdą i tym mocniej będą atakować osoby, które ją głoszą. Tym silniej są związane z guru i grupą.

Uśmiechniętych przekonano, że są elitą, zniszczono ich tożsamość i wykorzeniono z polskości. Codziennie są doprowadzani do stanu permanentnej egzaltacji, zmienionej świadomości i automatycznego podporządkowania się poleceniom. Dziś cieszą się, że w szkołach ich małe dzieci będą sadzane na kolanach podekscytowanych, umalowanych mężczyzn przebranych za kobiety.

Zachodnia cywilizacja została skutecznie poddana ideologicznej obróbce. „Europejskie wartości" są już tak absurdalne, że dziś, by utrzymać system, niezbędna jest cenzura i przemoc sądowa. UE musi ocenzurować Trumpa i Muska. Potem przyjdzie fizyczna przemoc wobec zwykłych obywateli. Potem poleje się krew.

W ostatnim półwieczu najbardziej krwawe sekty przyniosły 900 ofiar w Gujanie, 55 w Kanadzie i 500 w Ugandzie. Jak będzie z cywilizacją, która została przejęta przez sektę?

eprasa.pl b044129411

WOJNA CYWILIZACJI

POPKULTURA

Warte Gdyby ten film skrócić o połowę, ***„Babilon"*** z Margot Robbie i Bradem Pittem doczekałby się nie tylko pobłażliwych lub obraźliwych recenzji. Są w nim bowiem sceny ekstatyczne. I nie chodzi o to, że jestem wrażliwy na estetykę campową, nie przekonuje mnie ani kicz, ani nadmierność, ani dewiacja. A Damien Chazelle uznał, że w pierwszych pięciu minutach filmu o hollywoodzkiej fabryce snów najprościej można opowiedzieć poprzez naturalistyczne przedstawienie na ekranie płynów, które 100 lat temu nie miały na nim prawa zaistnieć. Jednak ballada wyśpiewana przez łajno, urynę i wymiociny okazała się niczym więcej, jak tylko fekalno-gastryczną afazją. Bo właśnie w przyjętej stylistyce Chazelle komponuje porywające sekwencje, w których rytm świateł i ruchów kamery wywołuje u widzów doznania wręcz euforyczne. Jednak to, co udaje się na poziomie taktycznym, nie zaowocowało zwycięską filmową bitwą.

Jako całość „Babilon" jest skomponowany wadliwie. Zawiódł reżyserski zamysł lub wyczerpały się pomysły.

Opowieść jest zresztą autoteliczna. Kończą się dekadenckie lata 20. w Hollywood, nastaje czas, gdy bezgłośnie umiera nieme kino. Rodzi się nowa miłość i nowa filmowa gwiazda. Ale trudno w to uwierzyć, bo Margot Robbie nie uniosła swojej roli. Nie potrafię znaleźć w niej choćby obietnicy tajemnicy, która przykuwa wzrok do tak różnych aktorek, jak Audrey Hepburn, Julia Roberts czy Anya Taylor-Joy. Zresztą aktorstwo nie jest atutem tego filmu. Było mi przykro oglądać Brada Pitta snującego się po ekranie bez najmniejszego pomysłu na swoją rolę. Choć jest też wyjątek: świetny, nieopatrzony jeszcze Diego Calva, który wciela się w rolę zakochanego w kinie bez pamięci człowieka znikąd i człowieka do wszystkiego.

Na szczęście dowartościowywanie mniejszości – wśród głównych postaci mamy Meksykanina, czarnego Amerykanina i azjatycką lesbijkę – okazuje się nie być tępym zabiegiem ideologicznym. Nie doznajemy przebudzenia i nie chcemy klękać, by całować buty wykluczonych. Choć warto pamiętać o nieprzezwyciężalnym zdaje się rasizmie WASP-ów. I nie zmienia tego jeszcze bardziej monstrualny rasizm antyrasistów.

Chazelle potrafi tworzyć sceny wręcz bolesne. Czasami, gdy Jaś Fasola wydobywał na jaw którąś z powszechnych niedojrzałości, widz, czując się przyłapany, musiał odwracać wzrok od ekranu. Tak samo jest tutaj przy okazji sceny wytwornego przyjęcia, gdy w czasie konwersacji wychodzi na jaw nieskończone wręcz prostactwo głównej bohaterki.

„Babilon" to film o przegranych. Przegrywa i starzejący się gwiazdor, i nowo rozbłysła młoda gwiazda. Marzenia o bajkowej karierze artystycznej zderzają się z twardymi realiami show-biznesu. I zdaje się tu słyszeć echo zwierzeń z własnych reżyserskich lęków Chazelle'a. Brukowym językiem opowiada on o niewinnej lub naiwnej wierze w magię kina. Lecz sam nie ma złudzeń. Ale czy „Babilon" to film płytki? Hollywood jako biblijny symbol moralnego zepsucia – myśl nie do końca odkrywcza. Jednak przypowieść o sięgającej nieba babilońskiej wieży jest ostrzeżeniem przed pychą. A ta jest koroną wszystkich grzechów. Czy da się tak odczytać obraz twórcy „La La Landu"?

POPKULTURA

Warte ***„Lavondyss"*** to druga powieść z wielotomowego cyklu „Las Ożywionego Mitu" Roberta Holdstocka. Uniwersum fantasy stworzone przez tego brytyjskiego autora jest niezwykle oryginalne. Mityczna rzeczywistość prastarej puszczy i twory tłoczące się na skraju pola widzenia. Mała dziewczynka, zwyczajny świat małej brytyjskiej wioski po II wojnie światowej i tworzone przez tysiąclecia archetypy zbiorowej świadomości naszego gatunku. Mitotwory, istoty, które w końcu materializują się na tyle, by przybrać postać niemal z krwi i kości. O wyjątkowości świata przedstawionego przez Holdstocka stanowi nieliteracka jak sądzę wiara, iż opisuje on świat rzeczywisty. Dla wielu osób nieuchwytny, ale dla wybrańców realny. Jak ktoś napisał, powieść jest urocza. Zatem warta polecenia dla osób, których taki opis nie odrzuca. Ale nie dajmy się zmylić.

***Robert Tekieli**, Polskie Radio*

eprasa.pl b044129411

„O!peretka" według W. Gombrowicza, reż. Andrzej S. Dziuk, Teatr Witkacego w Zakopanem

Maciej Walaszczyk

Ludowy Wersal, czyli „O!peretka"

Wielogodzinna i przepełniona symboliką ceremonia otwarcia igrzysk olimpijskich w Paryżu słusznie wzbudziła dyskusje. Była przecież estetyczną i ideologiczną manifestacją klasy panującej, której władza wykracza daleko poza domenę polityki i pieniądza. Tym samym, co z takim upodobaniem celebrują władze Korei Północnej, Chin czy Rosji – manifestacją kulturowej i politycznej dominacji, a w przypadku Francji wszystkiego, co uosabia dziś prezydent Macron. O czym czujnie przekonywali też klakierzy panującego nam „na wysokościach" establishmentu. Ten entuzjazm świetnie oddał w swoim felietoniku naczelny „Kultury Liberalnej", wpadając w zachwyt nad „powrotem zbiorowego entuzjazmu" ludowego Wersalu. A każdy, kto tego entuzjazmu nie podziela, jest jedynie marginesowym produktem polaryzacji debaty w cyfrowym świecie. Być może zasługującym, jak uczestnicy protestów „żółtych kamizelek", na spałowanie przez zwarte kompanie CRS.

W zakopiańskim Teatrze Witkacego od kilku lat można zobaczyć inscenizację „Operetki" Witolda Gombrowicza. Bardzo dobrą, stylizowaną nieco na rock-operę, z kapitalnymi kreacjami Doroty Ficoń i Krzysztofa Łakomika w postaciach pary księstwa Himalajów. Tymczasem odgrywa się przed nami ten sam operetkowy spektakl, bo w krzywym zwierciadle „Operetki" nawet po upadku starego, dobrego świata hrabiów i markizów, krwawych rewolucjach i zwycięstwie „lokajstwa" świetnie widać, jak przebrane w stare kostiumy nowe elity sprawują dziś nad nami władzę z wyżyn owego ludowego Wersalu. Na „europejskich" tym razem „krzesełkach lorda Blotton" rozsiadły się jeszcze butniejsze, obsługiwane przez jeszcze liczniejsze hufce lokajów. Nauka tak samo wysługuje się władzy, kolejni dyktatorzy ideologicznych mód tresują masy, duchowni odgrywają dwuznaczne role, aspirujący do prestiżu dworacy.

Współczesne lokajstwo już od dawna szykuje się do nowej rewolucji. Powszechne chamstwo lejące się z mediów, płonące i zdemolowane dzielnice zachodnich miast, gwałty przybierające postać fali bezkarnej przemocy wobec obezwładnianego symboliczną i administracyjną przemocą społeczeństwa to realia triumfującego ludowego Wersalu. Monumentalna celebra paryskich igrzysk jest jego częścią. Jakże operetkową!

Nowe „Maski" i „Mity"

To jedna z prób nowego spojrzenia na muzykę Szymanowskiego. Bardzo dobrze, że podjęli ją muzycy Filharmonii Narodowej, a nie doszukujący się gejowskich sensacji muzykolodzy, nie rozumiejący, że „klucz seksualny deszyfruje wyłącznie trzeciorzędne problemy". W tę pułapkę wpadła np. Danuta Gwizdalanka w książce „Uwodziciel". Płyta zawiera więc wyjątkowe instrumentalizacje kompozycji pisanych pierwotnie na fortepian i skrzypce. Zadania tego przed rokiem podjął się dyrygent Andrzej Boreyko, kontynuując dzieło zapoczątkowane przez naszego „drugiego po Chopinie", jak i jego interpretatorów. Etiuda b-moll op. 4 nr 3 została na nowo opracowana w czasie wojny jeszcze przez Grzegorza Fitelberga, „Mity" op. 30 przez Willema Strietmana na początku lat 90. ub.w., a „Maski" op. 34 to wersja symfoniczna według transkrypcji Jana Krenza z 1985 r.

„Szymanowski Reimagined", (Boreyko, Nizioł),, Filharmonia Narodowa 2024

Otwierająca płytę romantyczna etiuda to właściwie swego rodzaju przebój, który w wersji wzmocnionej wagnerowską orkiestracją wzruszy chyba każdego. Słychać w niej przecież Chopina, stawianego przez Szymanowskiego na piedestale. Skomponowane już pod wpływem podróży w rejon Morza Śródziemnego „Mity" i powstałe już po wybuchu Wielkiej Wojny programowo odwołują się w treści do orientu, homeryckiej starożytności, a muzycznie do ravelowskiego impresjonizmu, celowo zrywając z niemieckimi nawiązaniami. Na pierwszy plan wysunięte są wciąż wirtuozerskie partie skrzypiec (Bartłomiej Nizioł), którymi ze względu na skomplikowaną harmonikę i różnego rodzaju efekty artykulacyjne inspirowali się Strawiński i Prokofiew. Jednak w całości opowieści o nimfie Aretuzie zamienionej w źródło, zakochanym w swym odbiciu Narcyzie czy driadach tańczących do muzyki Pana, grającego na fletni, uzupełnione rozpisaną na liczne instrumentarium orkiestry migotliwą kolorystyką, wciągają w labirynt mitologicznej symboliki. No i tryptyk „Maski" – zdecydowanie najbardziej emocjonujący fragment tych nagrań. Literackie postaci Szeherezady, Tristana, przybierającego postać błazna Tantrisa oraz uwodzącego Don Juana ożywają w muzycznych obrazach, w których zostaje uwolniona siła i możliwości, które daje duża orkiestra symfoniczna. To również dowód na to, jak wysokie wymagania stawiał Szymanowski pianistom mającym zmierzyć się z tymi kompozycjami.

eprasa.pl b044129411

Twierdza dorosłego Księcia

Przesłonięty grubą warstwą klisz „Małego Księcia" Saint-Exupéry to radykalny krytyk nowoczesności, poetycki piewca nietzscheańskiego arystokratyzmu i miłości Ewangelii

Twórczość tego pisarza zredukowano do kilku cytatów z lektury „Małego Księcia", pięknej opowieści dla dzieci czy może dla dorosłych? Książki wydawanej i tłumaczonej na świecie niemal tak często jak Biblia.

Jednak opublikowana pośmiertnie „Twierdza", której już kolejną edycję otrzymujemy, nieukończona i skompilowana z fragmentów zapisków stylizowanych na święty tekst, usuwa grubą warstwę klisz przez lata przesłaniających postać pisarza, którego 80. rocznicę tragicznej śmierci właśnie obchodziliśmy. Saint-Exupéry, władca-narrator, ojciec nauczający syna, ukryty za murami pustynnej fortecy, ujawnia się jako myśliciel znacznie ciekawszy, niż się powszechnie sądzi. Motyw wszechogarniającej pustyni to oczywiście obraz utrwalony dzięki licznym podróżom, w tym wypadkowi lotniczemu na Pustyni Libijskiej, dzięki którym zgromadził wiele wspomnień i emocji. Ale to także doświadczenia życia w Stanach Zjednoczonych w czasie wojny. Pustynia to bowiem naczelny symbol powszechnej niwelacji, banalizacji życia, jego ekonomizacji i wyjałowienia, którego tam doświadczył.

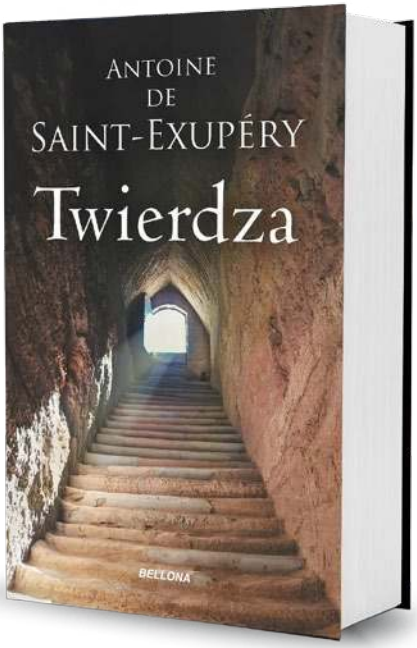

Ten traktat okrywa więc przed czytelnikiem również poetę-filozofa rozumiejącego prawidła antropologii i politycznej mechaniki. Pisarza potrafiącego ukryć w formie metaforycznych przypowieści swoją całościową wizję życia. Dla wielu interpretatorów utopijną, poszukującą śladów Boskiego porządku i Boga w ogóle wizję radykalnie przeciwstawiającą owej niwelującej wszystko nowoczesności wartość ofiary i surowości łączonej „hedonizmem dobrego życia". Bo w jego syntezie to one razem dają nam poczucie jego pełni. Przestrzega też przed absolutystami posługującymi się wyłącznie językiem techniki i logiki. „Jeśli nadymają się pychą, może się z ich winy polać ludzka krew" – przestrzega, rozumiejąc, że to dozorcy więzień, a nie geometrzy posiedli prawdziwą wiedzę o człowieku.

Saint-Exupéry to po prostu krytyk nowoczesności zarówno liberalnej, jak i totalitarnej. Nieuniknione są więc również odniesienia do Nietzschego, dostrzegalna jest synteza Ewangelii i Zarathustry znaczona jego silnym poczuciem przynależności do cywilizacji chrześcijańskiej z utraconą łaską wiary. Stąd jego akces do awiacji, ryzykownej pracy w poczcie lotniczej, będącej ucieczką od mieszczańskiego świata. Nie podziela więc optymizmu idei „społeczeństwa obywatelskiego" i liberalizmu. Prawa świątyni są dla niego sensem tworzących je kamieni, a prawa królestwa sensem ludzi. „Nie uznaję praw kamieni wymierzonych przeciwko świątyni [...] ani praw człowieka – przeciwko królestwu" – rzecze niczym biblijny prorok. Staje po stronie wartości heroicznych, mężczyzn i wojowników, których przeznaczeniem nie jest upokorzenie „paziów i ministrów", ale bycie ofiarą składaną z siebie. Człowiek nie istnieje bowiem sam z siebie, a wolność nie istnieje bez przymusu i jest inną stroną tej samej konieczności. Całość spaja pewne, może bardzo utopijne pragnienie budowy harmonijnego porządku opartego na wymagającej miłości. „Poddałem więc ludzi królestwu po to, aby ich zbudować; a nie po to, by zbudować królestwo" – obwieszcza.

Państwa nie ocalą „zniewieściali w wygodach", ale „zahartowani w przeciwnościach" i przepełnieni jego miłością. Tylko taki żołnierz osłoni w bitwie swojego kaprala, bo „przyjaciel to punkt, z którego się patrzy na świat". Władza to dla niego twórczy akt wykraczający znacznie dalej poza wolę dominacji, wolność pragnie on łączyć z dyscypliną, hierarchię z partycypacją, miłość kochanków z agape, budowanie przyszłości z ocalaniem przeszłości, a w końcu „siejącą ziarno" wojnę z pokojem „zbierającym plony".

To nie jest zwykły manifest humanizmu zredukowany do pięknoduchowskiego pacyfizmu, a raczej wyraz tęsknoty za ładem organicznym, wręcz feudalnymi hierarchiami i kosmicznym porządkiem dawno minionych epok. „Mały Książę" słusznie więc budzi dziecięce dusze tych, którzy, choć się postarzali, pozostali poetami. „Twierdza" w swym poetyckim uwodzeniu ożywia w nas człowieka, który „trwa niezmienny jak rufa statku, wbrew szaleństwu morza w nieodgadniony sposób powracając wciąż pod tę samą gwiazdę".

Antoine de Saint-Exupéry, „Twierdza", Bellona 2023

eprasa.pl b044129411

RAFAEL STACHOWIAK AKTOR

Oczywiście po polsku

Urodziłem się (w 1981 r.) w Sosnowcu. Miałem cztery lata, kiedy rodzice z powodów politycznych postanowili wyjechać do Niemiec. Dwa lata temu wróciłem do Polski. Chciałem doświadczyć czegoś nowego. Miałem wewnętrzne przekonanie, że jest na to dobry czas.

Uczyłem się w niemieckiej szkole, potem studiowałem w Berlinie aktorstwo i pracowałem w teatrze. Najpierw w Berlinie, później w Hamburgu. 16 lat byłem związany etatowo ze sceną i równocześnie próbowałem swoich sił przed kamerami.

W Niemczech jestem postrzegany jako Niemiec, chociaż w nominowanym w br. do Oscara (w kategorii film nieanglojęzyczny) obrazie „Pokój nauczycielski" zagrałem (po niemiecku) Milosza Dudka – nauczyciela i „ukrytego" Polaka. Takich ludzi nie brakuje w Niemczech. Są na tyle zasymilowani, że właściwie nie wiadomo, że są Polakami. Nie mają akcentu, biegle posługują się językiem, ale mają polskie korzenie.

Na początek pobytu w Polsce postanowiłem zamieszkać w mieście, które już znałem, a potem spróbować przenieść się do Warszawy. W Poznaniu spotkałem się z Maciejem Nowakiem, dyrektorem artystycznym tamtejszego Teatru Polskiego. Myślałem o nawiązaniu współpracy z polską sceną. Z tego, co słyszałem, to właśnie Nowak polecił mnie Marcinowi Koszałce, który pracował wtedy nad filmem „Biała odwaga". W ten sposób dostałem rolę oficera SS Bruno Berga, który próbuje wymusić na góralach współpracę z nazistami.

„Biała odwaga" (która powalczy o Złote Lwy podczas tegorocznego Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni) to mój pierwszy film polskojęzyczny, choć akurat w tej produkcji nie mówię po polsku. Inaczej niż w serialu Netfliksa „Wzgórze psów" (adaptacja prozy Jakuba Żulczyka), w którym zagrałem Niemca, choć jest tutaj pewien rozwój, bo gram po polsku.

W niemieckim jestem bardziej biegły, bo z nim była związana moja edukacja, a potem intensywna praca aktorska, ale to polski jest moim pierwszym językiem. Tym, w którym zacząłem się komunikować ze światem. Wyczuwam w nim inną emocjonalność. Kiedy jestem w Polsce, myślę po polsku i śnię też najczęściej w tym języku, chociaż tu bardziej się to miesza.

Od najmłodszych lat rodzice rozmawiali ze mną po polsku. Ojciec nie uznawał niemieckiego w domu, był w tym bardzo ekstremalny. Każde wakacje spędzaliśmy w Polsce. Na czas urlopu rodzice wybierali wyłącznie ten kierunek. Poznałem więc dobrze i Tatry, i polskie plaże nad Bałtykiem, a także miejsca zamieszkania bliższej i dalszej rodziny. Poza Sosnowcem i Dąbrową Górniczą również te w województwie świętokrzyskim czy okolicach Poznania.

Nim trafiłem na plan „Białej odwagi", znałem już Tatry i Zakopane, ale to dzięki filmowi zobaczyłem je z innej perspektywy, poza typowymi turystycznymi szlakami i atrakcjami. Mogłem też lepiej poznać i zrozumieć górali.

W filmie Marcina Koszałki zagrałem czarny charakter, wydawałoby się trudny do obronienia, ale jako aktor zrobiłem wszystko, by Berg nie był jednoznaczny i widz sam może podjąć decyzję, jak go ocenia.

Nie mogę zdradzić wszystkich planów, ale zawodowe wyzwania zaprowadziły mnie m.in. nad Bałtyk, do realizowanej dla platformy Netflix produkcji, której akcja rozgrywa się w dramatycznych morskich realiach. To serial „Heweliusz", w którym reżyser Jan Holoubek opowiada o zatonięciu polskiego promu w styczniu 1993 r. Zagrałem Niemca, co jest językowym krokiem do tyłu, ale wciąż szukam i mam nadzieję, że będę mógł zagrać większą rolę Polaka. Oczywiście po polsku.

Notowała
Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. AKPA

eprasa.pl b044129411

SŁODKO-SŁONY

Musi się uleżeć

ANNA MONICKA

Dzika polna grusza – ulęgałka – to matka wszystkich grusz. Trudno w to uwierzyć, gdy spojrzy się na jej małe, złociste owoce, które prosto z drzewa zjadłby chyba tylko najbardziej zdeterminowany wędrowiec, bo są cierpkie i mimo zachęcającego koloru za twarde. Najpierw muszą się uleżeć, zmięknąć i nabrać słodyczy, żeby można było „przebierać w nich jak w ulęgałkach", czyli grymasić i wybierać te najlepsze spośród całego mnóstwa nienadających się do spożycia. Znawcy tematu twierdzą, że w ogóle nie warto ich zrywać, tylko poczekać, aż same spadną. Gdy opadają na trawę, to niezawodny znak, że są dojrzałe, a i takie powinny poleżeć ze dwa dni, żeby zrobiły się naprawdę słodkie i soczyste. Jeśli jednak za długo walają się pod drzewem, niechybnie zgniją, a wtedy będą pożywką dla os i szerszeni, które bardzo je lubią.

Najlepiej więc nie liczyć na przydrożną ulęgałkę (i tak jest ich już coraz mniej), a posadzić sobie w ogrodzie własną, a jeszcze lepiej – zrobić cały żywopłot (sadzonki można kupić w szkółkach). Ma same zalety – wiosną pięknie wygląda obsypany białymi kwiatami, jest odporny na suszę i chłody (w końcu drzewko radzi sobie nawet w szczerym polu na między, smagane wiatrami i wystawione na mróz), będzie bronił domu, bo jest ciernisty, a jednocześnie łatwiej wtedy kontrolować stopień dojrzałości owoców, których zazwyczaj jest znacznie więcej niż na szlachetnych odmianach. Wreszcie – da schronienie ptakom.

Jak wykorzystać owoce? Na kompot, marmoladę, można na nich nastawić pyszny i zdrowy domowy ocet. W wielu regionach na wsiach pieczono z nich gruszczok – biedaciasto z posiekanych gruszek wymieszanych z mąką. Nie trzeba go było dosładzać, bo zupełnie wystarczała naturalna, miodowa słodycz dojrzałych ulęgałek. Na stronie smaker.pl znalazłam uwspółcześniony, bardziej wypasiony przepis – potrzebujesz 2,5 kg obranych i wypestkowanych ulęgałek, 3 szklanek mąki krupczatki, 4 łyżek kaszki orkiszowej, 5 jajek, 15 g proszku do pieczenia, łyżeczki kardamonu i cukru trzcinowego, którym ewentualnie dosładzamy placek. Owoce trzeba zmielić, wymieszać z zresztą składników i upiec na wyłożonej pergaminem blasze. Na koniec posypać cukrem.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Rzeki Polski

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Gdy oczami wyobraźni widzi się Sienkiewiczowskie obrazy „zapadłych brzegów Suły, Rudej, Ślepordodu, Korowaja, Orżawca, Pszoły i innych większych i mniejszych rzek i przytoków", nad którymi „tworzyły się mokradła zarośnięte częścią gęstwiną krzów i borów, częścią odkryte, pod postacią łąk", gdy czyta się o tych niezbadanych przestrzeniach nietkniętych ludzką stopą, w których poza czyimkolwiek wzrokiem rozgrywały się niewyobrażalne spektakle przyrodnicze, można chwilami z nostalgią pomyśleć, że czasy dzikich rzek już minęły.

Na szczęście nic bardziej mylnego. Wody płynące nie tylko symbolizują odrodzenie, lecz także ze swojej natury ciągle dążą do odnawiania się i przywracania naturalnego, dawnego przyrodzonego porządku. Jeśli rzekę pozostawić samej sobie, w uregulowanych brzegach szybko zaczną pojawiać się wymyte wodą zatoczki, nurt ponownie wybije głębokie doły i kryjówki, a wyprostowane koryto znowu zacznie się kręcić i meandrować. Takie są również nasze rzeki, nawet te pozornie dobrze znane, na odcinkach przepływających przez miasta, w których funkcjonujemy na co dzień, nie zawsze świadomi dzikiego życia rzek. Trzeba zajrzeć w głąb.

Stojąc jakiś czas temu na kładce nad Wartą przepływającą przez środek Uniejowa, miasteczka pięknego i w lecie bardzo licznie odwiedzanego przez turystów, usłyszałem głośny plusk z płynącej dołem rzeki. Po dłuższym wpatrywaniu się w toń dostrzegłem w wodzie kształt dużej ryby. Woda była na tyle przejrzysta, że rozpoznałem bolenia o długości co najmniej 60 cm. Duży drapieżnik, jedyny z polskiej ichtiofauny karpiowaty o takim trybie życia, polował na drobnicę tuż obok plaży, wypożyczalni kajaków, restauracji i pomostu dla wycieczkowych stateczków, nie dostrzegany przez ludzi ani nie zwracający na nich uwagi, tak jak polowały przed nim pokolenia boleni.

Innym razem wczesnym rankiem w centrum Krakowa w małej rzeczce Rudawie zobaczyłem trzy wydry, z wolna płynące w górę rzeki i szukające ryb w podwodnych norach.

Czasem życie rzeki kryje się tuż przy wodzie – tak jak nad brzegiem dopływu Liwca w mazowieckim Węgrowie, gdzie gnieździł się trzciniak, zimujący na południe od Sahary, skąd przynosi wplecione w swój śpiew elementy głosów afrykańskich ptaków.

eprasa.pl b044129411

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Dezinformacja – oręż wojny

Nasilają się represje wobec PiS, jedynej liczącej się w Polsce opozycji demokratycznej. Celem koalicji 13 grudnia jest wyeliminowanie tej partii z życia publicznego, zgodnie z życzeniem władz w Berlinie i Brukseli. Absurdalność oskarżeń, astronomiczne wyliczenia strat spowodowanych rządami Zjednoczonej Prawicy, terror lewicowej ideologii, jawne zwalczanie Kościoła i tępa propaganda przejętych nielegalnie mediów publicznych sprawiają, że życie w Polsce staje się nie tylko nieznośne, lecz także niebezpieczne. To już nie jest „zakamuflowany totalitaryzm", jak pisze prof. Wojciech Polak w miesięczniku kulturalnym „Wpis", ale jawny totalitaryzm, eliminacja państwa polskiego. Tracimy państwo, naszą suwerenność i niepodległość.

Dokładniejsze informacje na temat agenta GRU Pawła Rubcowa *vel* Pablo Gonzaleza, przyjętego z honorami w Moskwie przez Putina, znane są tylko tym, którzy zaglądają do mediów prawicowych czy konserwatywnych. Ważnym źródłem informacji staje się także platforma X (d. Twitter) Elona Muska. Są tam również informacje na temat polskich wątków działalności rosyjskiego agenta, w tym jego kochanki, polskiej korespondentki zachodnich mediów Magdaleny Chodownik, aresztowanej razem z Rubcowem w 2022 r. w Przemyślu za pomocnictwo w szpiegostwie na rzecz Rosji. Do dziś nie jest jasne, na jakiej podstawie prawnej zwolniono Rubcowa, wobec którego toczyło się śledztwo, i na jakiej podstawie tuż po aresztowaniu uwolniono Chodownik. Dzięki temu nadal mogła uprawiać antypolską propagandę. Dziś tylko w niezależnych mediach analizowana jest jej dziennikarska aktywność, a pierwsze wnioski sprowadzają się do tego, że miała znaczący wkład w tworzenie negatywnej opinii o polskim rządzie w sprawach tzw. praworządności w europejskich mediach. Odnaleziono jej krytyczne wypowiedzi na temat polskiej Straży Granicznej operującej na granicy z Białorusią, przykłady „łamania prawa" przez PiS, co z pewnością było ważnym argumentem w walce Brukseli z polskim rządem.

Pojawiają się też nowe elementy tej szpiegowskiej historii, która mogła się łączyć z bezprawnym przejęciem mediów publicznych przez ekipę Tuska. Wśród wielu znajomych pary Gonzales–Chodownik: dziennikarzy, korespondentów, polityków i różnych aktywistów, goszczonych w ich warszawskim mieszkaniu, byli ponoć uczestnicy tzw. grupy wejście, czyli osoby zaangażowane w siłowe przejęcie mediów publicznych. Gdyby te informacje się potwierdziły, mielibyśmy przesłanki świadczące o zaangażowaniu rosyjskich służb specjalnych w przejęcie mediów w Polsce. Ponieważ jeszcze nie ma na to dowodów, muszą nam wystarczyć szokujące, bo szeroko udokumentowane fakty współpracy polskich służb specjalnych z tajnymi służbami federacji rosyjskiej ukazane w słynnym serialu „Reset".

O wojnie propagandowej, dezinformacji jako o współczesnym orężu wojny jako jeden z pierwszych na Zachodzie pisał Vladimir Volkoff. Mass media są najlepszym narzędziem manipulowania opinią publiczną. Niekiedy ich działalność przewyższa w skutkach działania militarne. Destabilizacja kraju to główny cel dezinformacji. Dlatego tak ważna jest nasza ostrożna reakcja na przejawy ewentualnej manipulacji faktami i szerzenia dezinformacji. Można było się o tym przekonać na przykładzie wydarzeń w Olsztynie, które rozegrały się 19 lipca br. Tam właśnie miało dojść do pobicia ze skutkiem śmiertelnym 35-letniego Polaka przez trzech Ukraińców. Grobowym głosem opowiedziała o tym na TikToku pewna blondynka. Wiadomość szybko znalazła się na Instagramie. W sumie przekazano ją 3,6 tys. razy i do dziś w internecie krąży opowieść o tym, jak to Polak został brutalnie zabity za zwrócenie uwagi Ukraińcom, aby nie ubliżali Polakom.

Bez rzetelnego, uczciwego dziennikarstwa nie mamy szans dojść do prawdy. Na szczęście są dziennikarze, którzy traktują swoją pracę odpowiedzialnie. Adam Socha z olsztyńskiego miesięcznika „Debata" natychmiast skontaktował się z biurem prasowym Komendy Miejskiej Policji w Olsztynie. Tam dowiedział się, że fakt tragicznego pobicia miał miejsce i po dwóch dniach poszkodowany rzeczywiście zmarł, ale w szpitalu. Odesłany do rzecznika prokuratury usłyszał, że napastnikami było dwóch młodych mężczyzn, Polaków, i że pobity wrócił do domu, ale po dwóch dniach zmarł w szpitalu w Olsztynie. Po przeprowadzonej sekcji zwłok prokuratura otrzymała informację, że nie zachodzi bezpośredni związek przyczynowo-skutkowy pomiędzy pobiciem a śmiercią pokrzywdzonego. Śledztwo w toku.

Otwarta pozostaje sprawa odpowiedzialności osoby, która jako pierwsza fałszywie nagłośniła to wydarzenie. Ona także powinna ponieść karę za swój haniebny, a może nieprzemyślany czyn. Czy była to tylko głupota, czy świadome wykorzystanie mediów do szerzenia dezinformacji jako oręża wojny, w tym przypadku siania nienawiści na tle narodowościowym, antagonizowanie Polaków z Ukraińcami, co leży w interesie Rosji? I to także powinna wyjaśnić olsztyńska prokuratura.

www.wojciechreszczynski.pl

OGNIEM NA WPROST

Ruski w szoku

Andrzej Rafał Potocki

Według niektórych ekspertów w natarciu na kierunku kurskim działają cztery pełne brygady Sił Zbrojnych Ukrainy, a sześć zaś pozostaje w odwodzie. Przeciw nim miały stać dwa moskiewskie pułki i trochę luźnych batalionów (portal DeepState zidentyfikował tylko 71. Gwardyjski Pułk Strzelców Motorowych). Przekładając na język cywila, Ukraina ma na tym odcinku od 30 do 50 tys. ludzi, zaś Ruski dysponuje siłami mniej więcej dwa, trzy razy mniejszymi. Dodając, że po stronie ukraińskiej działają weterani wywiadu wojskowego Kijowa oraz moskiewscy legioniści bijący się po stronie Ukrainy, a po stronie Kremla są prawie same niewyszkolone mobiki (świeżo zmobilizowani) i czeczeńskie „achmaty" od Kadyrowa, przewaga po stronie Tryzubów wydaje się znacznie, znacznie większa. Rosyjskie samoloty nie miały za dużo do gadania, bo Ukraińcy ściągnęli w rejon działań tyle środków obrony przeciwlotniczej, że kacapy albo nie mogły się zbliżyć do sił ukraińskich na odpowiedni dystans, albo musieli latać tak nisko, że mogli używać tylko działek pokładowych, bo rakiety i bomby byłyby bezużyteczne. W dodatku na tym pułapie stanowią idealny cel dla ręcznych wyrzutni pocisków przeciwlotniczych. Kiedy siły ukraińskie podeszły pod Sudżę, a właściwie oskrzydliły ją, Rosjanie w panice pod osłoną nocy porzucili miasto. Najpierw wojsko, a potem mieszkańcy, których błyskawicznie ewakuowano. Sytuację barwnie opisuje jeden z moskiewskich wojskowych blogerów: „Granica jest po prostu roz...ana. Miasto Sudża płonie, Chochły [pogardliwa nazwa Ukraińców] atakują nasze wojska i kolumny artylerią i bezzałogowymi statkami powietrznymi, w samym mieście dochodzi do wielu trafień! [...] Ciekawe, jak Ministerstwo Obrony tym razem uzasadni to piep...e gó...o!?".

Do końca nie wiadomo, jak jest z tą Sudżą. Co prawda żołnierze z 61. Brygady Zmechanizowanej oświadczają, że miasto jest kontrolowana przez Ukrainę, ale spływają również inne informacje. Ponoć Tryzuby trzymają większą (zachodnią) część Sudży, a ruska zbieranina broni się we wschodniej dzielnicy, czekając na posiłki. Zgodnie z przewidywaniami Moskale rzucają na odsiecz, co mają pod ręką. Pierwszy konwój z odwodami został trafiony pod Rylskiem. Zniszczeniu uległo ok. 15 ciężarówek z ludźmi i amunicją. Przynajmniej 100 zabitych. W ustaleniu co, którędy i dokąd jedzie Ukraińcom bardzo pomagają rosyjscy dziennikarze, którzy filmują się na tle przejeżdżających samochodów z wojskiem. Jedna z ruskich kolumn idących z odsieczą składała się z dziesiątek busików, zwanych „buczankami", wypełnionych bojcami. Taki jest stan kacapskiej logistyki. W dodatku Ukraińcy włamali się na ruski system monitoringu, który wykorzystują zgodnie z przeznaczeniem – do obserwacji, gdzie pętają się Moskale i ich pojazdy.

Ruski ściąga odwody, więc tempo natarcia spadło. Udało mu się przyhamować Ukraińców w Korenewie, ale i tak szpica Tryzubów zbliża się do Lgowa. Stamtąd do Kurska tylko dwa kroki. Póki co w opuszczonym przez wojsko i władze rosyjskie Lgowie grasują cygańskie gangi, rabując co popadnie. W samym Kursku, jak i w Biełgorodzie, nagle zaroiło się od grzybów wielkości dużej kamienicy, czyli trwa ostrzał z rakiet i dronów. Ukraińskie działania są prowadzone w taki sposób, żeby mieć blisko do dróg i linii kolejowych (zapewnienie zaopatrzenia sobie i odcięcie go przeciwnikowi), a jeśli natarcie idzie po terenie, to jakimś dziwnym trafem zawsze jest to grunt stabilny i twardy, po którym może poruszać się ciężki sprzęt. Oznacza to bardzo dobre rozpoznanie terenu do sprawdzenia grząskości włącznie! Jak do tego dodamy, że na każdym pojeździe został namalowany biały trójkąt jako znak operacji, to dojdziemy do wniosku, że atak był już przygotowywany od jakiegoś czasu i Ukraińcy solidnie wykonali robotę.

Co na to kremlowska propaganda? Jak zwykle bije wszystkie rekordy niedorzeczności. Rzeczniczka rosyjskiego MSZ Maryśka Zacharowa nazwała ofensywę „aktem terroru przeciw spokojnym mieszkańcom". Jednocześnie jej resort zażądał od ONZ potępienia działań Ukrainy. „Moskwa wzywa międzynarodową społeczność, żeby nie stała z boku i śmiało osądziła przestępcze działania kijowskiego reżimu" – oświadczyła Zacharowa. Oj, musiała sobie zdrowo golnąć z Miedwiediewem tym razem „na smutno". Rozkminienia, czemu Ruski dostaje baty pod Kurskiem, podjął się komandir Apti Ałujew (wicedyrektor departamentu politycznego w rosyjskim Ministerstwie Obrony) i doszedł do wniosku, że operacją dowodzi Kwatera Główna NATO, a atakują głównie Polacy wspierani przez najemników z Francji. I wszystko jasne. Prędzej jeden kacap z drugim się skicha, niż przyzna, że łoją ich „Chochły".

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b044129411

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Sukcesy nie biora się z nikąd

Aleksander Nalaskowski

Igrzyska olimpijskie będą zapewne szeroko komentowane i podsumowywane. Także w Polsce. Kontrowersyjne i mocno bluźniercze otwarcie, nudnawe zakończenie, liczne błędy organizacyjne i niekiedy bałagan nie zapiszą się złotymi zgłoskami w historii olimpijskiego sportu.

Ale i my nie mamy się czym specjalnie chwalić. Nie przywieźliśmy worka medali, nie przywieźliśmy nawet wcześniej sygnalizowanych 15 krążków i mamy tylko 1 złoto w niszowej bądź co bądź dyscyplinie – wspinaczce po ściance. Nie umniejsza to sukcesu naszych zawodniczek, ale wspinaczce daleko do królowej sportu. No właśnie, bardzo marnie wypadli nasi lekkoatleci. Tradycyjnie „polskie" dyscypliny, a w szczególności miotacze (kula, młot, dysk, oszczep), wypadły słabo i poniżej oczekiwań. W lekkiej atletyce zdobyliśmy brązowy medal i na tym nasze apetyty muszą się zatrzymać. Z poprzednich igrzysk olimpijskich (Tokio) przywieźliśmy w sumie 14 medali, w tym 4 złote. Teraz chwilami żal było patrzeć na dalekie miejsca naszych zawodników.

Podnoszony w nauce kryzys męskości staje się faktem w obszarze sportu

Indywidualnie w naszej ekipie dominowały wyłącznie kobiety. Medalu indywidualnie nie zdobył żaden mężczyzna. Najwyraźniej panowie najlepiej czują się w kupie (wioślarstwo, siatkówka), zaś kobiety lubią powalczyć na własny rachunek. I to niekiedy dość oryginalnie. Mam tu na myśli okrzykniętą bohaterką narodową Julię Szeremetę. Jej połączenie tańca disco z boksem to na dłuższą metę ślepa uliczka. Jej styl przypominający uliczną bójkę spotkał się w finale z prawdziwym boksem, rzekłbym – z męskim boksem. Zimno wykalkulowanym, dobrym technicznie i zdecydowanym. Musiała przegrać tę walkę. Zwłaszcza że zachodzą podejrzenia, że był to jednak pojedynek międzypłciowy.

Po raz pierwszy od wielu lat nie wysłaliśmy na igrzyska ciężarowców, przedstawicieli dyscypliny, która dostarczała nam pewnych medali. Nasza jedyna zawodniczka spaliła rwanie i nie została sklasyfikowana. A gdzie mężczyźni? Gdzie są następcy Baszanowskiego, Ozimka, Smalcerza czy Kołeckiego?

Igrzyska w Paryżu nie epatowały najwyższą formą zawodników. Ustanowiono wprawdzie kilkanaście rekordów świata, ale to najmniej w tym stuleciu. W Atenach, Pekinie, Londynie, Rio de Janeiro i Tokio było ich razem niemal dwukrotnie więcej.

Mam przeczucie, że zbliża się koniec sportu olimpijskiego, jaki znamy. Sportu, o którym pisali prof. Zofia Żukowska czy prof. Piotr Błajet. Zwiastuje go na naszym gruncie wspomniana wcześniej dominacja kobiet. Podnoszony w nauce kryzys męskości staje się faktem w obszarze sportu. Na igrzyskach kobiety walczyły do ostatniego tchu, biły rekordy świata (pobiły więcej niż mężczyźni, wliczając w to składy mieszane w różnych konkurencjach). W królowej sportu padły trzy rekordy świata, w tym dwa z udziałem kobiet.

Pieniądze w postaci premii i nagród za medale mają skutek uboczny. Dla medalu i idących za nimi apanaży warto czasami stać się kobietą. To znane dwa przypadki w boksie, gdy azjatyccy pięściarze (genotypowi XY) bili kobiety w walce o złoto. Zwyciężyła poprawność polityczna, przegrała idea olimpijska. Myślę, że podczas następnych igrzysk (Los Angeles) takich przypadków będzie daleko więcej. Jeśli teraz MKOl nie położy tamy takim kombinacjom, to zostawi gumowe wrota, przez które przejdą następni cwaniacy żądni premii i zaszczytów. Idei olimpizmu nie wypełnia się kontrowersyjnymi otwarciami igrzysk, ale prowadzoną fair walką na sportowych arenach. Konkurują kobiety i mężczyźni, nie inaczej. Naruszenie tej zasady to pożegnanie barona Pierre'a de Coubertina już na zawsze. W zamian otrzymamy ersatz w postaci genderowych teorii i genderowych zawodów. To walka, którą igrzyska muszą stoczyć i wygrać, aby zachować sens.

Olimpijskie sukcesy nie biorą się znikąd. To lata ciężkiej pracy znaczonej sukcesami, porażkami, a nierzadko kontuzjami. Aby wyłonić największe talenty, trzeba nam silnego i szerokiego zaplecza. Może więc warto pomyśleć o obowiązkowym, w ramach wychowania fizycznego i SKS, intensywnym programie szkolenia z lekkiej atletyki i dyscyplin rzadkich, o których przypominamy sobie tylko przy okazji największych imprez.

W wielu szkołach amerykańskich, czego mogłem doświadczyć, są zajęcia z zapasów, łucznictwa, judo, a nawet strzelectwa. Dlaczego u nas nie mogłoby tak być? Czas skończyć z WF spod hasła „byle się ruszali". Nauczycieli wychowania fizycznego można przecież przeszkolić w ramach instruktażu właśnie najrzadszych dyscyplin sportowych. W ten sposób możemy zwiększyć nasze szanse na medale olimpijskie. Dyscypliny rzadkie muszą wyjść z niszy!

Niestety mam pewność, że nie wymyślą tego ani Nowacka, ani tym bardziej Nitras. Na zmianę będziemy musieli jeszcze sporo poczekać.

eprasa.pl b044129411

Michał Korsun prezentuje:
...a na Kremlu szok, skandal, niedowierzanie

Wycinki z przeszłości

W sierpniu 1934 r. magazyn „Morze" ze smutkiem donosił o śmierci polskiej noblistki:

„Dnia 4 lipca rozstała się z życiem w jednym z sanatoriów nad Rodanem we Francji znakomita uczona polska, śp. Maria Curie-Skłodowska.

Epokowy wynalazek odkrycia radu w wyniku żmudnych badań naukowych prowadzonych z całym poświęceniem wspólnie z mężem śp. Piotrem Curie, profesorem Sorbony, okrył Jej imię światową sławą. Był jednym z największych w dziejach odkryć naukowych.

Warszawianka z urodzenia – żądna wiedzy od najwcześniejszych lat, po ukończeniu szkoły średniej w rodzinnym mieście, udała się na wyższe studia do Paryża, w którym pozostała już na zawsze, obierając Francję jako drugą swoją ojczyznę. Początkowo pracowała jak asystentka w Instytucie Chemicznym Sorbony, a od 1906 r. jako profesor w Sorbonie i kierowniczka pierwszego na świecie Instytutu radowego.

Po wojnie niejednokrotnie przebywała w wyzwolonej już Polsce i wydatnie przyczyniła się do wybudowania w Warszawie Instytutu Radowego.

Życie śp. Marii Skłodowskiej to klasyczny przykład szlachetnej ekspansji polskiej myśli i genialnej wnikliwości w dziedzinie żmudnych i wytrwałych badań naukowych".

Podpisujemy się pod tym wspomnieniem, załączając jako ilustrację piękny znaczek z 2011 r. ***(mk)***

Z WOLEJA

Fatalne igrzyska

Ryszard Czarnecki

Nie będę owijał w bawełnę: na igrzyskach w Paryżu Biało-Czerwoni ponieśli klęskę. Mniej medali – bo 9 – mieliśmy 68 lat wcześniej, na egzotycznych IO w Australii. Tyle że polska reprezentacja była tam trzy razy mniejsza niż obecna z 10 medalami.

Owszem, tyle samo krążków co teraz Polska zdobyła 20 lat temu w Atenach (byłem obecny, więc trudno to zapomnieć), ale wówczas mieliśmy trzy „Mazurki Dąbrowskiego", a teraz raptem jeden.

O medalowej posusze mówią wszyscy, ale nikt nie porównał klasyfikacji narodowej na koniec igrzysk. Dopiero to pokazuje zapaść polskiego sportu. Na IO w Paryżu Biało-Czerwoni uplasowali się na 42 miejscu i jest to najgorszy wynik w historii naszych startów na letnich igrzyskach. Dotychczas najgorzej było w Londynie w 1948 r., gdzie nasz kraj, który stracił podczas wojny wywołanej przez Niemcy 6 mln obywateli, zajął 34 miejsce.

W klasyfikacji medalowej ostatnich IO wyprzedziły nas kraje, które zawsze oglądały plecy Biało-Czerwonych. Zaciskam zęby, gdy czytam tabelę, w której jesteśmy za m.in.: Izraelem, Indonezją, Algierią, Filipinami, Hongkongiem, Tajwanem, Bahrajnem, Kubą, Azerbejdżanem, Gruzją, Iranem, Uzbekistanem. Ten ostatni kraj zdobył osiem razy więcej złotych medali niż Polska.

Z powodu pandemii ostatnie igrzyska odbyły się nie cztery, a trzy lata temu w Tokio. W ciągu tych raptem 36 miesięcy zaliczyliśmy spadek o 25 pozycji w klasyfikacji medalowej. W stolicy Japonii byliśmy, biorąc pod uwagę tylko państwa Europy, na 8 miejscu. Teraz na 23. Jeśli spojrzymy na kraje członkowskie UE, to na IO 2020 (a *de facto* 2021) zajęliśmy 6 miejsce i poza Holandią wyprzedzały nas tylko kraje większe od nas. Teraz w tej „unijnej" tabeli Polska znalazła się na miejscu 17. To dramatyczny zjazd.

Prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego zapowiadał przed francuskimi igrzyskami 16 medali. Plan został wykonany w zaledwie 62,5 proc. Teraz rząd obwinia o klęskę w Paryżu PKOl i związki sportowe, a władze PKOl oskarżają ministra sportu, że „nie było dialogu" i że ten przetrzymał pieniądze dla kolarzy torowych.

Czy są jakieś pozytywy? Paradoksalnie tak. Po pierwsze, medale na IO 2024 zdobyli przedstawiciele dziewięciu dyscyplin, a na igrzyskach w Japonii tylko pięciu. Po drugie: może ten wstrząs będzie początkiem stworzenia innego systemu, np. na wzór brytyjski, w którym wspiera się najbardziej medalodajne dyscypliny plus te, w których dany kraj odnosi największe sukcesy.

Na pewno czas na poważną debatę o przyszłości polskiego sportu!

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

*Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl b044129411

OD A DO ZYBERTOWICZA

Kompromitacja dziś niemożliwa (prawie)

Stary świat odchodzi, a nowy ma w nosie stare, sprawdzone oczywistości

„Front obrony szpiega" – taki tytuł nosi interesujący artykuł Marka Pyzy („Sieci", 12–18 sierpnia 2024 r.). Rzecz dotyczy rosyjskiego szpiega Pawła Rubcowa, działającego w Polsce jako hiszpański dziennikarz Pablo Gonzalez. Jego kariera i powiązania znalazły się w polu uwagi polskiej opinii publicznej, gdy wyszło na jaw, że zwolniono go z naszego więzienia i oddano prezydentowi Putinowi w ramach amerykańsko-rosyjskiej wymiany więźniów. Włączenie Rubcowa do szerszego pakietu rosyjskich szpiegów to jasne potwierdzenie prawdziwej tożsamości i misji tego „dziennikarza".

Tekst redaktora Pyzy jest poświęcony osobom występującym w naszym kraju, nie mając w zanadrzu żadnych sprawdzonych informacji, z krytyką podległych rządowi PiS polskich tajnych służb, które przyczyniły się do umieszczenia Rubcewa w areszcie.

Pyza, odnosząc się do grupy dziennikarzy, aktywistów, obrońców praw człowieka i ekspertów ds. bezpieczeństwa zaangażowanych w obronę szpiega, pisze: „Dziś powinni przeprosić i zamilknąć. A najlepiej zmienić zajęcie, **bo bezpodstawna obrona rosyjskiego szpiega jest kompromitacją, której nie da się wymazać**".

Gotów bym się założyć z Markiem Pyzą, że prędzej czy później w infozgiełku, w którym żyjemy, ostatnie zdanie jego wypowiedzi okaże się niestety błędne. Dlaczego? To proste i zawiłe zarazem.

Proste – ponieważ nadeszły czasy, gdy w życiu publicznym, w tym politycznym, już (niemal) nie sposób się skompromitować. Przykład? Oto Leszek Miller. Na początku transformacji ustrojowej okazało się, że wziął pieniądze od KGB. Nie tylko nie stanął za to przed sądem (sprawę w odpowiednim czasie umorzył jego partyjny kolega, ówczesny minister sprawiedliwości), lecz także został nawet premierem rządu III RP, a już po latach – z woli Donalda Tuska – posłem do Parlamentu Europejskiego. Można przytoczyć liczne inne, choć pewnie nie tak wyraziste przykłady podobnej „niekompromitacyjności".

A z jakiego powodu odpowiedź na pytanie, dlaczego obecnie nie sposób niemal się skompromitować, jest zawiła?

Bo wiąże się z szerokim, złożonym, wielowymiarowym kompleksem zjawisk typowych dla dzisiejszej cyfrowej komunikacji masowej. Co ma do tego cyfryzacja? To też jest dość zawiłe. Pewnie łatwiej będzie mi teraz przekonać osoby, które przeczytały ubiegłotygodniowy felieton pt. „Zrujnowana oczywistość". Bo mechanizm zdrowej, zasłużonej kompromitacji także został zrujnowany. Ujmę to w punktach.

1. W silnie spolaryzowanych społeczeństwach wyborcy często wykazują większą lojalność wobec „swojej" strony, co sprawia, że są bardziej skłonni wybaczać błędy i skandale „swoim" politykom, a jednocześnie znacznie surowiej oceniają przeciwników.
2. Wiele środowisk – tu z bólem, ale gwoli prawdy muszę dodać, że także będących po naszej, niepodległościowej stronie sceny politycznej – nie ma woli zmierzenia się z prawdą.
3. Opinii publicznej przedstawia się tak ogromną liczbę skandali, że społeczeństwo staje się na nie coraz bardziej obojętne. To, co kiedyś mogłoby zrujnować karierę polityczną, dzisiaj może być szybciej zapominane lub zbagatelizowane.
4. Media społecznościowe przyniosły ciągłe infoprzeciążenie, co sprawia, że wiele osób utraciło zdolność odróżniania prawdy od fałszu, a politycy mogą skutecznie odwracać uwagę od swoich błędów, tworząc nowe narracje.
5. Polityka jest w dużej mierze grą percepcji. Skomplikowane sytuacje polityczne nie zawsze są jednoznacznie kompromitujące. A nie brakuje komentatorów, którzy starają się kompletnie zamulić nawet proste sytuacje.

Niby wiemy to, co napisałem powyżej, ale słowa redaktora Pyzy o kompromitacji rzekomo niedającej się zmazać dowodzą, że ciągle używamy starych słów, tak jakby świat też był stary.

Stary świat odchodzi, a nowy ma w nosie stare, sprawdzone oczywistości. Nawet jeśli obiektywnie mamy rację, to zamęt dyskursu medialnego powoduje, że wcale nie musi ona dotrzeć do większości wyborców. Tam są inne „racje" i „oczywistości".

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl b044129411

NOWA TELEWIZJA

W POLSCE PL

POLITYKA NA DESER

CODZIENNIE O 20:35

Wydarzenia dnia komentują dla Państwa znani i lubiani:

- **Dorota Łosiewicz**
- **Krzysztof Feusette**
- **Stanisław Janecki**

OGLĄDAJ NAS

polsat box (wcześniej Cyfrowy Polsat)	NA POZYCJI 196
NETIA	NA POZYCJI 192
orange	NA POZYCJI 32
vectra	NA POZYCJI 825
PLAY (dawniej UPC)	NA POZYCJACH 339 dekoder Mediabox, 121 dekodery KAON i Horizon

www.wPolsce.pl

eprasa.pl b044129411

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy, że jesteście z nami. To z myślą o Was co tydzień przygotowujemy nowe wydanie „Sieci", abyście mogli:

- wygodnie śledzić najważniejsze informacje z Polski i ze świata,
- czytać ekskluzywne wywiady z najważniejszymi postaciami polskiej polityki, biznesu, nauki i sztuki,
- poznawać mocne i wyraziste opinie redakcji, analizy ekspertów i komentarze naszych publicystów.

Zachęcamy do wykupienia prenumeraty dla siebie albo bliskiej osoby. Dzięki wsparciu naszych Prenumeratorów będziemy mogli nadal publikować wysokiej jakości materiały oraz dbać o rzetelność i patriotyzm w polskiej publicystyce.

Życzymy dobrej lektury każdego numeru tygodnika „Sieci"!

Serdecznie pozdrawiamy,
Zespół tygodnika „Sieci"

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
109 zł	189 zł	349 zł

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na poczcie:
Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.
Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
Tytuł wpłaty: .....
.....
(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)
Kwota: .....
(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 349 zł)

cprasa.pl | 004129411